



MRO CZNA
SERIA

JEAN-CLAUDE
IZZO

solea

MARSEIL





MRO CZNA
SERIA



Babette, dociekliwa dziennikarka, zdobywa materiały na temat działalności mafii we Francji. Ścigana przez morderców, przerażona i bezradna prosi o pomoc Fabia Montalego, zaufanego przyjaciela i byłego policjanta. Aby dotrzeć do swojej ofiary, zabójcy usiłują zmusić Montalego do współpracy, prześladując bliskie mu osoby.

Solea to ostatnia część „trylogii marsylskiej”, w której jednym z bohaterów jest kipiące życiem, niepokorne miasto – miejsce konfliktów rasowych, mafijnych porachunków, a jednocześnie ukochany dom sentymentalnego twardziela Montalego.

Powieści Izzo zyskały uznanie krytyków i czytelników na całym świecie, zostały przetłumaczone m.in. na angielski, niemiecki, hiszpański, włoski, grecki, portugalski i rosyjski. Na podstawie *Total Cheops* w 2002 roku powstał film w reżyserii Alaina Bévériniego, z Richardem Bohringerem i Marie Trintignant, oraz serial telewizyjny z Alainem Delonem w roli głównej.

Cena 29,90 zł



978-83-7414-254-0

9 788374 142540

W
ab

JEAN-CLAUDE
IZZO

Solea



Patronat medialny:



Ce livre beneficie du soutien du Ministere des Affaires Etrangeres francais et du Service de Cooperation et d'Action Culturelle de l'Ambassade de France en Pologne.

Książka ta została wydana z pomocą francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Działu kulturalnego Ambasady Francji w Polsce.

Tytuł oryginału: *Solea*
Copyright © Editions Gallimard, 1998
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2007
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2007
Wydanie I
Warszawa 2007

Od autora

Wypada powtórzyć jeszcze raz: to jest powieść. Nic z tego, o czym przeczytacie, się nie zdarzyło. Ponieważ jednak nie mogę pozostać obojętny na to, co codziennie czytam w gazetach, historia przeze mnie wymyślona siłą rzeczy podąża tropem rzeczywistości. Bo tam - w realnym świecie - wszystko się rozgrywa. A groza rzeczywistości przerasta wszelką fikcję. Jeśli idzie o moje miasto, Marsylię, zawsze w pół drogi między tragedią a światłem, to odbija się w niej echem - i tak być powinno - wszystko, co nam zagraża.

Dla Thomasa, kiedy będzie duży

Ale coś mi mówiło, że to normalne, bo są w naszym życiu takie chwile, kiedy nie pozostaje nic innego jak całować trupy.

Patricia Melo

Prolog

Z dała od oczu, blisko serca,
zawsze Marsylia

Jej życie było tam, w Marsylii. Za tymi górami, oblanymi jaskrawoczerwonym blaskiem zachodzącego słońca. „Jutro będzie wiatr” - pomyślała Babette.

Dwa tygodnie temu przyjechała do Le Castellas, wioski w Sewenach, i od dwóch tygodni co dzień pod wieczór wchodziła na grań ścieżką, po której Bruno pędził swoje kozy.

Pierwszego dnia po przyjeździe pomyślała sobie, że tutaj nic się nie zmienia. Wszystko umiera i wszystko się odradza. Nawet jeśli umierających wiosek jest więcej niż tych, co się odradzają. W którymś momencie człowiek zawsze wraca do pradawnych gestów i wszystko zaczyna się od nowa. Zarośnięte ścieżki odnajdują rację bytu.

- To się nazywa pamięć gór - powiedział Bruno, stawiając przed nią kubek czarnej kawy.

Poznała go w 1988 roku. Robiła wtedy na zamówienie redakcji swój pierwszy wielki reportaż. Co się dzieje z bohaterami maja 1968 dwadzieścia lat później?

Młody filozof i anarchista, Bruno, bił się na barykadach Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu. „Biegnij, towarzyszu, stary świat cię ściga”. To było jego jedyne hasło. I biegł, obrzucając policjantów kamieniami i koktajlami Mołotowa. Biegł

w oparach gazu łzawiącego, ścigany przez żandarmów. Miotał się na wszystkie strony, w maju i w czerwcu, byle tylko go nie dopadł stary świat, byle go nie dopadły marzenia i moralność starego świata. Jego głupota i draństwo.

Kiedy związki zawodowe podpisały układy w Grenelle, robotnicy wrócili do fabryk, a studenci na wydział, Bruno zrozumiał, że biegł nie dość szybko. On sam i całe jego pokolenie. Stary świat ich dogonił. Marzeniem i moralnością współczesnych stała się forsa. Jedyne dostępne szczęście. Stary świat wkroczył w nową erę ludzkiej nędzy.

Takie rzeczy opowiadał Bruno. „Mówi jak Rimbaud” - pomyślała Babette, wzruszona i urzeczona tym pięknym czterdziestoletnim mężczyzną.

Jak wielu innych zbuntowanych wyniósł się wtedy z Paryża. Kierunek: Ariège, Ardeche, Seweny. Ku opuszczonym wioskom. *Lo Pais*, jak lubili mówić. Na gruzach złudzeń rodziła się nowa rewolta. Braterska i wspólnotowa. Bliska natury. Wymyślili sobie inny kraj: *d z i k ą F r a n c j ę*. Rok czy dwa później wielu wróciło do miasta. Najbardziej wytrwali wytrzymali pięć, sześć lat. Bruno uczeplił się swojej osady, którą podniósł z ruin. Mieszkał tam sam ze stadkiem kóz.

Tamtej nocy, po przeprowadzeniu wywiadu, Babette przespała się z Brunem.

- Zostań - poprosił.

Nie została. To nie było jej życie.

Ale często do niego wpadała w ciągu następnych lat. Ilekroć była w okolicy albo gdzieś niedaleko. Bruno miał teraz towarzyszkę życia i dwoje dzieci. Elektryczność, telewizję, komputer. Produkował kozie sery i miód.

- Jeśli będziesz miała kłopoty, przyjedź bez wahania - powiedział do Babette. - Tutaj, aż po dolinę, mieszkają wyłącznie kumple.

Bardzo jej brakowało Marsylii tego wieczoru. Nie wiedziała, kiedy będzie mogła wrócić. I w ogóle - nawet jeśli kiedyś wróci, nic już nie będzie takie jak dawniej. Nie to, żeby Babette miała kłopoty. Było o wiele gorzej. Groza zagnieździła się w jej głowie. Gdy tylko przymykała oczy, widziała martwego Gianniego. A za trupem Gianniego zwłoki Francesca i Beppa, których nie zobaczyła na własne oczy, ale je sobie wyobrażała. Zmasakrowane, okaleczone ciała. Czarną, zakrzepłą krew. I jeszcze inne trupy - za nią, a zwłaszcza przed nią. Nie może być inaczej.

Kiedy wyjechała z Rzymu, przestraszona i bezradna, nie wiedziała, dokąd się skierować. Gdzie znaleźć schronienie. Gdzie wszystko przemyśleć, najspokojniej jak się da. Gdzie uporządkować notatki, zrobić selekcję, poszufladkować informacje, porównać je, usystematyzować, sprawdzić. Zamknąć najważniejsze w życiu dziennikarskie śledztwo na temat mafii na południu Francji. Nikt jeszcze nie posunął się tak daleko jak ona. Dziś wie, że posunęła się za daleko. Przypomniała sobie słowa Bruna.

- Mam kłopoty. Poważne.

Zadzwoiła z kabiny w La Spezia. Była prawie pierwsza w nocy. Bruno spał. Wstawał wcześniej z powodu zwierząt. Babette dygotała. Dwie godziny temu, po nieprzerwanej, szalonej jeździe z Orvieto, zatrzymała się w Manaroli. W położonej na szczycie góry wiosce w Cinqueterre, gdzie mieszkał Beppe, stary przyjaciel Gianniego. Wykręciła jego numer, tak jak jej kazał zrobić tego samego ranka. „Tak będzie bezpieczniej” - powiedział.

- Pronto.

Odłożyła słuchawkę. To nie był głos Beppa. Potem ujrzała dwa samochody carabinieri, zaparkowane na głównej ulicy. Nie wątpiła ani przez chwilę: mordercy zjawili się tutaj przed nią.

Wycofała się tą samą górską drogą, wąską i krętą. Kurczowo uczepona kierownicy, wyczerpana, ale wpatrująca się czujnie w nieliczne samochody, które ją mijały.

- Przyjedź - powiedział Bruno.

Znalazła nędzny pokoik w Albergo Firenze e Continentale przy dworcu. Przez całą noc nie zmrzyła oka. Pociągi. Cień śmierci. Przypomniało jej się wszystko z najmniejszymi szczegółami. Zajeżdżała taksówką na piazza Campo dei Fiori. Gianni wrócił z Palermo. Czekał na nią w domu. Dzie sięć dni to długo, powiedział jej przez telefon. Dla niej też było długo. Nie wiedziała, czy kocha Gianniego, ale pragnęła go całym ciałem.

- Gianni! Gianni!

Drzwi były otwarte, nie przejęła się tym.

- Gianni!

Siedział przywiązany do krzesła. Nagi. Martwy. Zamknęła oczy, ale za późno. Wiedziała, że będzie musiała żyć z tym obrazem.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała ślady oparzeń na torsie, brzuchu, udach. Nie, nie chciała tego oglądać. Odwróciła wzrok od okaleczonego penisa. Zawyla. Widziała samą siebie wyjąca, zmartwiała, z opuszczonymi bezradnie rękami i szeroko otwartymi ustami. Odór krwi, gówna i moczu wypełniał pokój i jej krzyk. Wyrzygała się, gdy poczuła brak tchu. Gianniemu pod nogi. Tam, gdzie na podłodze widniał napis kredą: „Prezent dla panny Bellini. Do zobaczenia”.

Francesco, starszy brat Gianniego, został zamordowany o świcie tego dnia, kiedy wyjechała z Orvieto. Beppe - zanim do niego dotarła.

Polowanie się zaczęło.

Bruno czekał na nią na przystanku autobusowym w Saint-Jean-du-Gard. Zrobiła tak: pociągiem z La Spezia do Venrille, potem wynajętym samochodem przez mały punkt graniczny w Mentonie, stamtąd pociągiem do Nimes i dalej autokarem. Na wszelki wypadek, bo nie wierzyła, żeby ją śledzili. Będą na nią czekać w domu w Marsylii. To logiczne. A mafia jest nieubłaganie logiczna. W ciągu dwóch lat

dziennikarskiego śledztwa nieraz miała okazję się o tym przekonać.

Bruno zatrzymał swojego starego dżipa po drodze do Le Castellas, w miejscu, gdzie szosa górowała nad doliną.

- Chodź, przejdziemy się.

Weszli na zbocze. Le Castellas ledwo można było dojrzeć trzy kilometry wyżej, u kresu bitej drogi. Dalej nie dało się jechać.

- Tutaj jesteś bezpieczna. Gdyby ktoś jechał samochodem w górę, Michel, leśniczy, do mnie zadzwoni. A gdyby chciał przejść górami, Daniel nas uprzedzi. Nie zmieniliśmy zwyczajów: dzwonię do niego cztery razy dziennie i on cztery razy do mnie. Jeśli któryś z nas nie zadzwoni o umówionej porze, znaczy, że coś się spieprzyło. Kiedy Daniel miał wywrotkę na traktorze, dzięki temu się zorientowaliśmy.

Babette patrzyła na niego w milczeniu, nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Nawet „dziękuję”.

- Nie musisz mi opowiadać o swoich problemach.

Objął ją i wtedy się rozplakała.

Babette wzdrygnęła się z zimna. Słońce się schowało, fioletowe góry rysowały się przed nią na tle nieba. Starannie przydeptała niedopałek, wstała i zeszła do Le Castellas. Codzienny cudowny spektakl zachodu słońca podzielał na nią kojąco.

W pokoju raz jeszcze przeczytała długi list, który napisała do Fabia. Wszystko mu opowiedziała - od swojego przyjazdu do Rzymu dwa lata wcześniej aż do chwili obecnej. Napisała mu, że jest zrozpaczona, ale i zdeterminowana. Nie cofnie się. Pójdzie aż do końca. Opublikuje wyniki śledztwa. W gazecie albo w książce. „Ludzie muszą się dowiedzieć”.

Miała w głowie obraz zachodu słońca i tak chciała zakończyć list. Powiedzieć mu, że nad morzem zachód słońca

jest jednak piękniejszy. Może nie piękniejszy, ale prawdziwszy. Nie, to nie to: że pragnęłaby znaleźć się razem z nim w łódce, na pełnym morzu, i patrzeć, jak słońce gaśnie w wodzie.

Podarła list. Na czystej kartce napisała: „Wciąż Cię Kocham”. A pod spodem: „Strzeż tego pieczołowicie”. Włożyła do koperty pięć dyskietek i wstała od stołu, żeby zejść na kolację z Brunem i jego rodziną.

Rozdział pierwszy,
w którym czasem lepiej słycać to, co leży
człowiekowi na sercu, niż to, co mówi

Życie cuchnie śmiercią.

To miałem w głowie, kiedy wczoraj wieczorem wszedłem do knajpy Hassana, Bar des Maraichers. Nie żeby mi taka myśl przemknęła przez głowę, jak to się czasem zdarza - naprawdę czułem śmierć wokół siebie. Jej obrzydliwy smród. Powąchałem rękę. Ten sam wstrętny odór. Ja też cuchnę śmiercią. „Nie denerwuj się, Fabio - powiedziałem sobie. - Wrócisz do domu, weźmiesz prysznic i spokojnie wsiądziesz do łódki. Rzeńskie morskie powietrze dobrze ci zrobi, zobaczysz”.

Prawda, że było gorąco. Ze trzydzieści stopni, brudne, wilgotne powietrze. Marsylia się dusiła. Pić się chciało. Więc zamiast pojechać najprostszą drogą do domu, przez Vieux-Port i Corniche, wjechałem w wąską rue Curiel na końcu Canebiere. Bar des Maraichers znajdował się na końcu uliczki, dwa kroki od place Jean-Jaures.

Lubiłem zachodzić do baru Hassana. Człowiek czuł się tam lekko - żadnych barier z uwagi na wiek, płeć, kolor skóry czy środowisko, było się wśród przyjaciół. Miało się pewność, że ten, kto tu wpada na aperitif, nie głosuje na Front Narodowy i nigdy tego nie robił, ani razu. Nie tak jak poniektórzy moi znajomi. W tym barze ~~każdy~~ dobrze

wiedział, dlaczego mieszka w Marsylii, a nie gdzie indziej. W oparach anyżówki czytało się w spojrzeniach przyjaźni. Nasi ojcowie byli wygnańcami, i to było pokrzepiające. Nie mieliśmy nic do stracenia, bo wszystko już kiedyś straciliśmy.

Gdy wszedłem, Ferre śpiewał:

Czuję: są coraz bliżej pociągi naładowane
Brauningami, berettami, czarnymi kwiatami,
A kwiaciarze już szykują krwią zbryzganę
Telenewsy, by nas bawić wieczorami...

Wypiłem przy barze pastis, Hassan jak zwykle nalał mi następną kolejkę. Później przestałem liczyć. W pewnym momencie, chyba przy czwartym kieliszku, nachylił się do mnie.

- Klasa robotnicza jest trochę lewa, nie uważasz?

To właściwie nie było pytanie, tylko konstatacja. Hassan nie był rozmownym facetem. Ale lubił rzucić czasem zdanko klientowi, który akurat się nawinał. Jakby sentencję, nad którą warto się zastanowić.

- Co ci mam powiedzieć - odparłem.

- Nic. Nie ma nic do gadania. Idziemy tam, dokąd idziemy. To wszystko. No, dopij.

Bar powoli się zapełniał, temperatura podniosła się o parę stopni. Ale na chodniku, gdzie niektórzy klienci przynieśli się z kieliszkami, wcale nie było lepiej. Noc nie przyniosła najłżejszego chłodu. Wilgoć kleiła się do skóry.

Wyszedłem na zewnątrz, żeby porozmawiać z Didier Perzem. Wszedł do baru, przywodził mnie i ruszył w moją stronę.

- Szukałem cię.

- Masz szczęście, bo właśnie zamierzałem się wybrać na ryby.

- Wyjdziemy?

Pereza przedstawił mi kiedyś Hassan. Perez był malarzem. Opętany magią znaków. Byliśmy w tym samym wieku. Jego rodzice, rodem z Almerii, wyemigrowali do Algierii po zwycięstwie generała Franco. Tam się urodził. Kiedy Algieria zdobyła niepodległość, ani on, ani jego starzy się nie wahali. Będą Algierczykami.

Perez opuścił Algier w 1993 roku. Był profesorem Szkoły Sztuk Pięknych i jednym z liderów Stowarzyszenia Artystów, Intelktualistów i Naukowców. Kiedy zaczęto mu poważnie grozić śmiercią, przyjaciele poradzili, żeby lepiej na jakiś czas zniknąć. Zaledwie tydzień po przyjeździe do Marsylii dowiedział się, że dyrektor i jego syn zostali zamordowani na terenie szkoły. Postanowił zostać z żoną i dziećmi w Marsylii.

Urzekła mnie z miejsca pasja, z jaką mówił o Tuaregach. Nie znam pustyni, ale znam morze. Wydaje mi się, że to to samo. Długośmy o tym rozmawiali. O ziemi i wodzie, o pyle i gwiazdach. Pewnego wieczoru podarował mi srebrny grawerowany pierścień.

- Jest stamtąd. Ta kombinacja kropek i kresek to Khaten. Mówi, co spotka ludzi, których kochasz i którzy wyjechali. I co będzie z tobą w przyszłości.

Perez położył mi pierścień na dłoni.

- Nie jestem pewien, czy naprawdę chcę wiedzieć.

Roześmiał się.

- Spokojna głowa. Musiałbyś umieć czytać znaki. Znać Khat el R'mel. Nieprędko ci się uda! Ale co napisane, to napisane, nie będzie inaczej.

Nigdy w życiu nie nosiłem pierścionka. Nawet tego po ojcu. Teraz zawahałem się chwilę, po czym wsunąłem pierścień na serdeczny palec lewej ręki. Jakby po to, by przypieczętować na zawsze swój los. Pomyślałem sobie tego wieczoru, że już do tego dorosłem.

Na chodniku, z kieliszkami w rękach, wymieniliśmy parę banalnych uwag, po czym Perez wziął mnie pod ramię.

- Mam do ciebie prośbę.

- Wal.

- Czekam na kogoś. Kogoś od nas. Chciałbym go umieścić u ciebie, jeśli się zgodzisz. Na jakiś tydzień. U mnie jest za ciasno, dobrze wiesz.

Wpatrywał się we mnie czarnymi oczami. U mnie też było ciasno. Domek, który odziedziczyłem po rodzicach, miał tylko dwie izby. Małą sypialnię i dużą kuchnię, służącą jako pokój stołowy. Urządziłem tę chatę najlepiej, jak umiałem, najzwyczajniej, żeby nie dać się zjeść przez meble. Dobrze się tam czułem. Taras wychodził na morze. Osiem schodków niżej stała przycumowana łódka, którą kupiłem od Honorine, mojej sąsiadki. Perez to wszystko świetnie wiedział. Nieraz zapraszałem go z żoną i przyjaciółmi do siebie na kolację.

- Byłbym spokojniejszy, gdyby zamieszkał u ciebie - dorzucił.

Teraz ja mu się uważnie przyjrzałem.

- W porządku, Didier. Od kiedy?

- Jeszcze nie wiem. Jutro, pojutrze, może za tydzień.

Nie mam pojęcia. Wiesz, to nie jest proste. Zadzwoń do ciebie.

Pożegnaliśmy się i wróciłem na swoje miejsce przy kon-tuarze, żeby napić się z tym czy owym, no i z Hassanem, który nigdy nie przepuszczał kolejki. Słuchałem rozmów, słuchałem muzyki. Po Ferrem w oficjalnej porze aperitif-u Hassan puszczał jazz. Starannie dobierał kawałki. Chciał się wpasować w panującą atmosferę. Śmierć z jej smrodem od-dalała się. Bez dwóch zdań, wolę odór anyżówki.

- Wolę odór anyżówki! - krzyknąłem do Hassana.

Byłem już lekko wstawiony.

- Pewnie.

Mrugnął do mnie. Niezawodny druh w każdej sprawie. Miles Davis zaatakował solea. Uwielbiam ten kawałek. Słuchałem go bez końca w tę noc, kiedy Lola ode mnie odeszła.

- Solea to kręgosłup śpiewu flamenco - powiedziała któregoś wieczoru.

- Dlaczego nie śpiewasz? Flamenco czy jazz...

Miała wspaniały głos. Pedro, jej kuzyn, mi to powiedział. Ale Lola nie chciała śpiewać nigdzie poza rodzinnymi spotkaniami.

- Jeszcze nie znalazłam tego, czego szukam - odparła po dłuższym milczeniu.

Takie właśnie milczenie trzeba znaleźć w chwili najwyższego napięcia śpiewu solea.

- Nic nie rozumiesz, Fabio.

- Co tu jest do rozumienia?

Uśmiechnęła się smutno.

To był jeden z ostatnich tygodni naszego wspólnego życia. Jedną z tych nocy, kiedy doprowadzaliśmy się do stanu skrajnego wyczerpania niekończącą się rozmową, paleniem papierosa za papierosem i powolnym tankowaniem lagavulina.

- Powiedz, Lola, co tu jest do rozumienia?

Oddalała się ode mnie, czułem to. Z każdym miesiącem coraz bardziej. Nawet jej ciało się zamknęło. Nie było już w nim pasji. Nasze pożądanie nie wymyślało niczego nowego. Powtarzało jedynie starą miłosną historię. Tęsknotę za miłością, która mogłaby się kiedyś ziścić.

- Nie ma co tłumaczyć, Fabio. To właśnie jest w życiu tragiczne. Od tylu lat słuchasz flamenco i nadal pytasz, co tu jest do rozumienia.

Wszystko sprowokował jeden list, list od Babette. Poznałem Babette, kiedy dostałem nominację na szefa brygady nadzoru sektorów w północnych dzielnicach Marsylii. Była

początkującą dziennikarką. Redakcja „La Marseillaise” zleciła jej, trochę przypadkowo, przeprowadzenie wywiadu z rzadkim okazem, wysłanym przez policję na front. Zostaliśmy kochankami. „Dorywczy pracownicy miłości”, mówiła o nas Babette. A potem zostaliśmy przyjaciółmi. Nigdy nie powiedzieliśmy sobie, że się kochamy.

Dwa lata temu spotkała włoskiego adwokata, Giannię Simone. Miłość od pierwszego wejrzenia. Pojechała za nim do Rzymu. Znałem ją, wiedziałem, że to nie jedyny powód. Nie myliłem się. Jej kochanek adwokat specjalizował się w procesach mafii. Od kiedy Babette stała się znaną reporterką, wolnym strzelcem, marzyła o tym, że zrobi dziennikarskie śledztwo i opublikuje możliwie najbardziej szczegółową analizę funkcjonowania mafii na południu Francji.

Opowiedziała mi o wszystkim - co zrobiła i co pozostaje do zrobienia - kiedy przyjechała do Marsylii sprawdzić kilka informacji, dotyczących środowisk biznesowych i politycznych w regionie. Spotkaliśmy się trzy czy cztery razy, żeby pogadać przy dorszu opiekany w koprze u Paula na rue Saint-Saens. To jedna z nielicznych restauracji w porcie, gdzie nie traktują człowieka jak turysty. Tylko w Oursin jest podobnie. Nasze spotkanie miało przyjemnie fałszywy charakter randki. Nie umiałem powiedzieć dlaczego. Nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć. Loli, oczywiście, też nie.

A kiedy Lola wróciła z Sewilli, dokąd pojechała zobaczyć się z matką, nie powiedziałem jej nic o Babette ani o naszym spotkaniu. Znaliśmy się z Lolą od najmłodszych lat. Kochała Uga. Potem Manu. Potem mnie. Ostatniego, który przeżył nasze marzenia. Moje życie nie miało dla niej tajemnic. Wiedziała o kobietach, które kochałem i które ode mnie odeszły. Ale o Babette nigdy jej nie mówiłem. To, co między nami zaszło, wydawało mi się zbyt skomplikowane. Albo raczej to, co wciąż jeszcze między nami trwało.

- Co to za Babette, do której mówisz: „Kocham cię”?
Otworzyła list od Babette. Przypadkiem albo z zazdrości, nieważne. „Dlaczego słowo miłość ma tyle znaczeń?”
- pisała Babette. - Powiedzieliśmy sobie: kocham cię...”

- To można różnie powiedzieć - wybąkałem.

- Oświeć mnie.

Jak? Jak wytłumaczyć, że „kocham cię” przez wierność dla miłości, której nigdy nie było, różni się od „kocham cię” w imię prawdy miłości, której szczęścia doznajesz każdego dnia?

Nie byłem dość szczery. Dość otwarty. Gubiłem się w fałszywych wyjaśnieniach. Niejasnych, coraz bardziej niejasnych. Aż u kresu pięknej letniej nocy straciłem Lolę. Siedzieliśmy na tarasie, dopijając butelkę białego wina z Cinqueterre, vernazę przywiezioną przez znajomych.

- Wiesz, jak człowiek nie czuje się na siłach dłużej żyć, to ma prawo umrzeć i wykrzesać ze swej śmierci ostatnią iskrę. Rozumiesz?

Od kiedy Lola odeszła, uznałem jej słowa za swoje. I rozpaczliwie szukałem tej iskry.

- Co ci jest? - spytał Hassan.

- Mówiłem coś?

- Tak mi się zdawało.

Nalał mi kolejkę i pochyliwszy się ku mnie, dodał:

- Czasem lepiej słyszeć to, co człowiekowi leży na sercu, niż to, co mówi.

Na tym powinienem był skończyć, wypić kieliszek do dna i wrócić do domu. Wsiąść do łódki i wypłynąć na morze w stronę wysp Riou, popatrzeć, jak wstaje dzień. Dręczyły mnie myśli kłębiące się w głowie. Poczułem, że wraca odór śmierci. Musnąłem palcami pierścionek od Pereza, niepewny, czy to dobra, czy zła wróżba.

Za moimi plecami toczyła się dziwna rozmowa między jakimś młokosem i czterdziestoletnią kobietą.

- Psiakrew! - irytował się młody człowiek. - Wypisz, wymaluj markiza de Merteuil!

- A co to za jedna?

- Markiza de Merteuil z Niebezpiecznych związków. To taka powieść.

- Nie znam. Mam się obrazić?

Rozbawiło mnie to, poprosiłem Hassana, żeby mi jeszcze nalał. I w tym momencie do baru weszła Sonia. Nie wiedziałem wtedy, że tak ma na imię. Ostatnimi czasy często widywałem tę kobietę. Ostatnio w czerwcu, na święcie sardynek w Estaque. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy.

Sonia utorowała sobie drogę do kontuaru i wśliznęła się między jakiegoś klienta i mnie. Stała tuż obok.

- Proszę nie mówić, że mnie pani szukała.

- Dlaczego?

- Już mi to dzisiaj ktoś powiedział.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Nie szukałam, ale miło mi tu pana spotkać.

- Mnie też! Hassan, obsłuż panią!

- Pani ma na imię Sonia - wtrącił Hassan.

I postawił przed nią whisky z lodem. Bez wahania. Jak starej klientce.

- Na zdrowie, Soniu.

Wtem noc zawirowała. Kiedy stuknęliśmy się kieliszkami. I kiedy szaroniebieskie oczy Soni utonęły w moich. Stała mi. Tak mocno, że aż zabołało. Nie liczyłem miesięcy, ale od strasznie dawna nie spałem z kobietą. Prawie zapominałem, że istnieje erekcja.

Piliśmy równo. Najpierw przy barze, potem przy stoliku, gdy zwolniło się miejsce. Udo Soni przyklejone do mojego. Gorące. Zastanowiło mnie, pamiętam, że to się zawsze tak szybko dzieje. Miłosne sprawy. Człowiek wołałby, żeby to się stało w innym momencie, kiedy jest w lepszej formie, gotów na spotkanie z innym człowiekiem. Kobieta. Mężczyzną. Pomyślałem sobie, że nad niczym się w życiu nie

panuje. I jeszcze coś myślałem, dużo, ale nie pamiętam. Nie pamiętam, co jej opowiadałem. Ani jak się ta noc skończyła.

Dzwonił telefon.

Dzwonek telefonu świdrował mi skronie. Burza pod czaszką. Zebrałem wszystkie siły i otworzyłem oczy. Leżałem nago we własnym łóżku.

Telefon wciąż dzwonił. Cholera jasna! Zawsze zapominałem włączyć tę przekłętą sekretarkę!

Przewróciłem się na bok i sięgnąłem po słuchawkę.

- Tak?

- Montale?

Obrzydliwy głos.

- Pomyłka.

Odłożyłem słuchawkę.

Chwilę później telefon znów się rozdzwonił. Ten sam obrzydliwy głos. Z leciutkim włoskim akcentem.

- Sam widzisz, że nie pomyłka. Wolisz, żebyśmy do ciebie przyjechali?

Nie było to przebudzenie, o jakim bym marzył. Głos tego faceta podziałał na mnie jak zimny prysznic. Mróz mi przeszedł po kościach. Umiałem nadać takim głosom twarz i ciało, a nawet powiedzieć, gdzie chowają broń.

Nakazałem sobie w głowie ciszę.

- Słucham.

- Tylko jedno pytanie. Nie wiesz aby, gdzie jest Babette Bellini?

Już nie zimny prysznic, tylko polarny mróz. Dreszcz mnie przebiegł. Naciągnąłem na siebie prześcieradło.

- Kto taki?

- Nie wygłupiaj się, Montale. Twoja kumpelka Babette, ta zadymiara. Nie wiesz, gdzie ją znaleźć?

- W Rzymie - powiedziałem, bo pomyślałem, że skoro tu szukają Babette, znaczy, że już jej tam nie ma.

- Już jej nie ma.
- Zapomniała mnie uprzedzić.
- A to ciekawe! - Facet zaśmiał się.

Potem zapadło milczenie. Tak ciężkie, że aż dzwoniło w uszach.

- To wszystko?

- Słuchaj no, Montale. Rób, jak chcesz, ale masz nam znaleźć tę twoją kumpelkę. Bo wiesz, ona jest w posiadaniu różnych rzeczy, które chętnie byśmy odzyskali. A że nie masz nic do roboty, to ci to szybko pójdzie, nie?

- Odpieprzcie się!

- Jak drugi raz zadzwonię, nie będziesz taki hardy, Montale.

Odłożył słuchawkę.

Życie cuchnęło śmiercią, nie pomyliłem się.

Rozdział drugi, w którym przyzwyczajenie nie jest dostatecznym powodem do życia

Na stole, obok kluczyków od mojego samochodu, Sonia zostawiła kartkę: „Za bardzo się spiłeś. Szkoda. Zadzwoń do mnie wieczorem, koło siódmej. Całuję”. A dalej numer telefonu. Dziesięć cyfr niczym szczęśliwy los na loterii.

Sonia. Uśmiechnąłem się na myśl o jej szaroniebieskich oczach i gorącym udzie, przyklejonym do mojego. I o jej uśmiechu, rozświetlającym całą twarz. Jedyne wspomnienie Soni. Ale piękne wspomnienie. Zapragnąłem, żeby już był wieczór. Stanął mi.

Głowę miałem ciężką jak góra. Zawahałem się, czy wejść pod tusz, czy najpierw zrobić kawę. Kawa była konieczna. No i papieros. Przy pierwszym sztachnięciu bebechy podeszły mi do gardła. Myślałem, że mi wyjdą pyskiem. „Kurwa mać!” - mruknąłem i zaciągnąłem się drugi raz, dla zasady. Mdłości jeszcze silniejsze niż poprzednio. Gwałtowne pulsowanie w skroniach.

Schyliłem się nad zlewem w kuchni. Ale nie miałem czym rzygać. Nawet płucami. Jeszcze nie! Gdzie te czasy, kiedy za pierwszym sztachem pierwszego papierosa budził się we mnie apetyt na życie? Daleko, bardzo daleko. Demony uwięzione w mojej piersi nie miały co wziąć na

zęb. Bo przyzwyczajenie nie jest dostatecznym powodem do życia. Codziennie przypominały mi o tym poranne mdłości.

Wsadziłem głowę pod strumień zimnej wody, wrzasnąłem, potem przeciągnąłem się i głęboko wciągnąłem powietrze, nie wypuszczając z ręki papierosa, który parzył mi palce. Od jakiegoś czasu przestałem uprawiać sport. Nieczęsto zdarza mi się chodzić do *calanques**. Nie trenuję boksu w szkole Mavrosa. Dobre żarcie, alkohol, fajki. „Za dziesięć lat cię nie ma, Montale - powiedziałem sobie. - Weź się w garść!” Znów pomyślałem o Soni. Z wielką przyjemnością. Potem na jej obraz nałożył się obraz Babette.

Gdzie ona jest? W co się wpakowała? Facet, który mi groził przez telefon, nie żartował. Poczułem realny ciężar każdego jego słowa. I ten zimny głos. Zdusiłem wypalonego papierosa i zapaliłem następnego. Nalałem sobie kawy. Łyk kawy, głęboki sztach, potem wyszedłem na taras.

Pałące słońce wałęsało mnie potężnie. Oślepienie. Ciało pokryło się potem. Zakręciło mi się w głowie. Przez moment zdawało mi się, że zemdleję. Ale nie. Posadzka tarasu wróciła do równowagi. Otworzyłem oczy. Przede mną jedyny prawdziwy prezent, jaki mi życie podarowało. Jaki mi ofiarowywało każdego dnia. Morze i niebo. Nieskazitelne. Bez końca. I to zrodzone z nich, z niczym nieporównywalne światło.

Nieraz myślałem sobie, że wziąć kobietę w ramiona to tak, jakby przygarnąć do siebie całą tę radość idącą z nieba ku morzu.

Czy przygarnąłem do siebie Sonię tej nocy? Jeśli Sonia tu ze mną przyjechała, to jak wróciła do domu? Czy to ona mnie rozebrała? Czy spała tutaj? Ze mną? Czy się kochałiśmy? No, nie. Za bardzo się spałem. Tak napisała.

Głos Honorine przerwał te rozmyślenia.

* Szereg niewielkich wąskich zatok na wschód od Zatoki Marsylskiej. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.)

- Widział pan, która godzina?

Odwrociłem głowę. Honorine. Kochana stara Honorine. Wszystko, co pozostało z mego zniszczonego życia. Wierna do końca. Osiągnęła wiek, kiedy człowiek przestaje się starzeć. Tyle że z roku na rok robiła się coraz mniejsza. Twarz miała niemal gładką, bez głębokich bruzd i zmarszczek, jakby ciosy losu spływały po niej, nieznaczając jej zbytnio, nie zabijając wrodzonej radości życia. „Szczęśliwi, którzy to widzieli - mawiała czasem, wskazując niebo i morze przed nami, z wyspami w tle. - Choćby dlatego nie żałuję, że się urodziłam. Mimo tego, co przeszłam...” Zawsze urywała zdanie. Jakby nie chciała splamić smutkiem i biedą zwykłej radości istnienia. Honorine miała teraz wyłącznie dobre wspomnienia. Kochałem ją. Była najlepszą z matek. I tylko dla mnie.

Otworzyła furtkę dzielącą nasze tarasy i podeszła do mnie krokiem ociężałym, ale pewnym. W ręku trzymała koszyk na zakupy.

- Dochodzi dwunasta!

Szerokim gestem pokazałem niebo i morze.

- Wakacje.

- Wakacje są dla tych, co pracują.

To była jej obsesja od dawna. Znaleźć mi pracę. Niech poszukam pracy. Nie mogła znieść, że mężczyzna „jeszcze młody, jak pan” całymi dniami nic nie robi.

Nie była to do końca prawda. Od ponad roku co dzień po południu zastępowałem Fonfona za kontuarem. Od drugiej do siódmej. Postanowił zamknąć bar. Sprzedać go. Ale nie mógł się zdecydować. Zamknąć interes po tylu latach obsługiwanie klientów, gadania i kłócenia się z nimi to jakby umrzeć. Pewnego dnia zaproponował, że odda mi bar za symbolicznego franka.

- W ten sposób będę ci mógł pomagać od czasu do czasu. Powiedzmy w porze aperitifów. No wiesz, żeby mieć coś do roboty.

Odmówiłem. Niechaj zachowa bar, to ja mu będę pomagał.

- No dobra, w takim razie popołudniami.

Tak się dogadaliśmy. Miałem w ten sposób trochę grosza na benzynę, papierosy i wieczorne wypady do miasta. Z oszczędności pozostało mi jakieś sto tysięcy franków*. Niewiele, pieniądze szybko topniały, ale dawały trochę czasu, żeby się rozejrzeć. Nawet dużo czasu. Potrzeb miałem coraz mniej. Najgorsze, co mogło się zdarzyć, to gdyby moja stara renówka wysiadła i byłbym zmuszony zmienić samochód.

- Daj spokój, Honorine, nie będziemy teraz o tym gadać.

Przeglądała mi się uważnie. Zmarszczone brwi, zaciśnięte usta. Cała twarz chciała być surowa, ale oczom się to nie udawało. Sama czułość. Krzyczała na mnie tylko z miłości. Ze strachu, że coś złego mi się stanie, jeśli nic nie będę robił. Wszystkie grzechy biorą się z lenistwa, wiadoma rzecz. Ile razy nam to wbijała do głowy, kiedy przyjeżdżaliśmy się tutaj objąć z Ugiem i Manu? Odpowiadaliśmy jej, cytując Baudelaire'a. Wiersze z *Kwiatów zła*. Szczęście, przepych, spokój i rozkosz. Krzyczała wtedy na nas. Wystarczyło, bym jej zajrzał w oczy, a wiedziałem, czy naprawdę się gniewa, czy nie.

Może rzeczywiście powinna była nas opieprzać. Ale Honorine nie była naszą matką. I skąd mogła wiedzieć, że nasze wygłupy przerodzą się w prawdziwe rozróby? Dla niej byliśmy tylko dzieciakami, nie gorszymi i nie lepszymi niż inne. I zawsze znosiliśmy tony książek, słyszała ze swego tarasu, jak czytaliśmy nocami na głos, patrząc na morze. Honorine wierzyła w to, że od czytania człowiek mądrzeje, staje się poważny i roztropny. A nie w to, że książki mogą go doprowadzić do napadania na apteki i stacje benzynowe. Ani do strzelania do ludzi.

* Chodzi o stare franki.

Kiedy trzydzieści lat temu przyszedłem się z nią pożegnać, miała w oczach gniew. Wielki gniew, aż nie mogła mówić. Zaciągnąłem się na pięć lat do Kolonialnej. Kierunek - Dżibuti. Żeby uciec od Marsylii i od mojego życia. Ponieważ przekroczyliśmy granice. Manu w popłochu strzelił do aptekarza z rue des Trois-Mages, któregośmy razem obrabowali. Nazajutrz dowiedziałem się z gazety, że ten człowiek, ojciec rodziny, pozostanie sparaliżowany do końca życia. Nie mogłem się pogodzić z tym, żeśmy coś podobnego zrobili.

Od tego czasu mam wstręt do broni palnej. Fakt, że zostałem gliniarzem, niczego tu nie zmienił. Nigdy nie umiałem się przemóc, żeby nosić przy sobie broń. Często dyskutowałem na ten temat z kolegami. Jasne, że łatwo trafić na wariata czy bandziora. Lista ludzi gwałtownych, szalonych lub po prostu zrozpaczonych, którzy mogli się znaleźć na naszej drodze, była długa. Nieraz mi się takie spotkania zdarzały. Ale zawsze miałem przed oczyma Manu ze spluwą w rękę. A za nim Uga. I niedaleko od nich - siebie.

Manu zabili bandyci. Uga - gliniarze. A ja wciąż żyję. Uważam, że miałem szczęście. Szczęście polegające na tym, że wyczytałem w spojrzeniu niektórych dorosłych, że jesteśmy ludźmi. Istotami obdarzonymi życiem. I że nie mamy prawa odbierać życia innym.

- Co tu gadać. Jak do głuchego.

Honorine przycisnęła koszyk do piersi i ruszyła do siebie na taras. Przy furtce odwróciła się.

- A gdybym tak otworzyła słoik papryki? Dodam parę sardeli i zrobię sałatkę na obiad... Straszny upał.

Uśmiechnąłem się.

- Chętnie bym zjadł omlet z pomidorami.

- A co was dzisiaj napadło? Fonfon też chce omlet!

- Zdzwoniliśmy się.

- No tak, śmieję się ze mnie!

Od kilku miesięcy Honorine gotowała także dla Fonfona. Wieczorami często jedliśmy kolację we trójkę na moim tarasie. Fonfon i Honorine coraz więcej czasu spędzali razem. Ba, kilka dni temu Fonfon przyszedł do niej na popołudniową sjęstę. Około piątej wrócił do baru zakłopotany jak chłopak, który pierwszy raz pocałował dziewczynę.

Pomogłem Honorine i Fonfonowi zbliżyć się do siebie. Nie podobało mi się, że każde z nich żyje samotnie. Żałoba i wierność ukochanej istocie zjadły im piętnaście lat życia. Uznałem, że to zupełnie dość. Żaden wstyd, że nie chce się dokonać żywota w samotności.

Którejś niedzieli zaproponowałem, żebyśmy pojechali razem na piknik na wyspy Frioul. Długo trwało, nim zdołałem przekonać Honorine. Od śmierci męża, Toinou, nie wsiadła do łódki. Trochę się zdenerwowałem.

- Honorine, rany boskie! Od kiedy mam tę łódkę, wziąłem na nią wyłącznie Lolę. Zapraszam was, bo was kocham. Oboje, rozumiesz?

Oczy jej się zaszklily, uśmiechnęła się do mnie. Zrozumiałem wtedy, że jest gotowa odwrócić stronicę, nie wypierając się bynajmniej swojej przeszłości. Po powrocie z wycieczki trzymała Fonfona za rękę i usłyszałem, jak do niego szepcze:

- Teraz moglibyśmy umrzeć, prawda?

- Mamy chyba jeszcze trochę czasu, nie? - odpowiedział.

Odwróciłem głowę w stronę morza, błędząc wzrokiem po horyzoncie. Tam, gdzie morze robi się ciemne i gęste. Powiedziałem sobie, że tu leży rozwiązanie wszystkich moich życiowych dylematów. W moim Morzu Śródziemnym. I ujrzałem, jak w nim znikam. Jak się w nim roztapiam i wreszcie rozwiązuję to wszystko, czego nie umiałem rozwiązać we własnym życiu i co pewnie nigdy mi się nie uda.

Płakać mi się chciało na myśl o tych dwojgu zakocha-
nych starszuchach.

Honorine, dziwnie milcząca przy kolacji, spytała w
końcu:

- A ta czarnulka, która tu pana przywiozła, czy ona
wróci? Sonia, prawda?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem.

- Nie wiem. Bo co? - wymamrotałem niepewnie.

- Bo sympatycznie mi wygląda. Więc pomyślałam
sobie...

To była kolejna obsesja Honorine. Muszę sobie znaleźć
kobietę. Miłą dziewczynę, która o mnie zadba. Powtarzała
mi to w kółko, nawet jeśli nie bardzo jej się podobało, że
ktoś zamiast niej będzie dla mnie gotował.

Tłumaczyłem jej nie wiem ile razy, że dla mnie liczy się
tylko Lola. Odeszła ode mnie, bo nie byłem takim mężczyz-
ną, jakiego potrzebowała. Nie spełniłem jej oczekiwań. I
dziś nie mam wątpliwości, że sam zmusiłem ją do odejścia.
Najgorsze, co mogłem Loli zrobić. Często budziłem się w
środku nocy, czując ból, jaki jej sprawiłem. Jej i sobie.

Ale całe życie czekałem na Lolę i nie miałem zamiaru
z niej zrezygnować. Musiałem wierzyć, że do mnie wróci.
Że zaczniemy od nowa. Że marzenia, które nas połączyły
i dały nam ryle szczęścia, wreszcie się spełnią. Swobodnie.
Bez lęku i bez wątpliwości. Z pełnym zaufaniem.

Kiedy to mówiłem, Honorine patrzyła na mnie ze smut-
kiem. Wiedziała, że Lola żyje dziś własnym życiem w
Sewilli, z gitarzystą, który rzucił flamenco dla jazzu, jak nie-
gdyś Django Reinhardt. Ktoś w stylu Birelego Lagrene'a.
Lola zdecydowała się wreszcie śpiewać dla gad'jos*. Od ro-
ku była w zespole swojego przyjaciela i występowała na

* Po cygańsku: obcy, nie-Romowie.

koncertach. Nagrali razem płytę. Wielkie jazzowe standardy. Przysłała mi ją, dołączając tylko te słowa: „A u Ciebie wszystko dobrze?”

I Can't Give You Anything But Love, Baby... Nie umiałem wyjść poza pierwszy kawałek. Nie żeby był zły, przeciwnie. Miała gardłowy, ciepły głos. Z taką intonacją odzywała się do mnie czasem w łóżku. Ja jednak słyszałem nie głos, tylko gitarę, która przydawała ciała głosowi Loli. Niosła go. Nie mogłem tego wytrzymać. Odłożyłem płytę na półkę, ale nie zrezygnowałem z moich szalonych złudzeń.

- Rozmawialiście ze sobą? - spytałem Honorine.

- Owszem. Wypiłyśmy razem kawę.

Honorine spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Biedactwo. Nie była w formie, żeby iść do pracy.

Nie podjąłem tematu. Nie zachowałem żadnego obrazu Soni nagiej. Wiedziałem tylko, że lekka sukienka, którą miała wczoraj na sobie, obiecywała kupę szczęścia znającemu się na rzeczy facetowi. Ale może nie ja byłem tym facetem.

- Fonfon zadzwonił do Aleksa. Wie pan, tego taksówkacza, który czasem grywa z panem w karty. Żeby ją odwiózł do miasta. Chyba była trochę spóźniona.

Życie, jak zawsze, toczy się dalej.

- I co Sonia mówiła?

- O sobie niewiele. O panu dużo. No, ale nie plotkowałyśmy specjalnie, tylko troszeczkę.

Złożyła serwetkę i przyjrzała mi się uważnie, jak wcześniej na tarasie. Poważnym wzrokiem.

- Powiedziała, że jest pan nieszczęśliwy.

- Też coś!

Zaśmiałem się sztucznie i dla kurazu zapaliłem papierosa. Co też mogłem naopowiadać Soni? Czuję się jak dzieciak, który coś przeskrobał.

- Prawie mnie nie zna.

- Dlatego mówię, że miła. Zaraz pana zrozumiała. W krótkim czasie, o ile się orientuję?

- Właśnie. Bardzo dobrze się orientujesz, Honorine - powiedziałem, wstając od stołu. - Idę na kawę do Fonfona.

- Idź, jak ci się nie chce ze mną gadać!

Obraziła się.

- Przepraszam, Honorine. Nie wyspałem się.

- Co prawda, to prawda. Ja tylko mówię, że chętnie bym ją znów zobaczyła.

W jej oczach pojawiły się wesołe błyski.

- Ja też, Honorine. Też bym chciał ją zobaczyć.

Rozdział trzeci,
w którym nie jest źle mieć w życiu
jakieś złudzenia

Fonfon wzruszył ramionami. Powiedziałem mu przy kawie, że dziś po południu nie będę mógł stanąć za barem. Paskudna historia, w jaką się wpakowała moja przyjaciółka, nie dawała mi spokoju. Muszę ją zlokalizować. A w wypadku Babette to nie było proste. Niewykluczone, że przebywa na jachcie jakiegoś arabskiego emira. Ale to tylko przypuszczenie. Najbardziej sympatyczne. Bo im dłużej o tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że Babette dokądś ucieka. Albo że gdzieś się ukryła.

Postanowiłem zajrzeć do mieszkania na cours Julien, które zachowała w Marsylii. Kupiła je za grosze na początku lat siedemdziesiątych, teraz było warte majątek. Cours Julien to obecnie najmodniejsza dzielnica Marsylii. Po obu stronach rozległej ulicy, aż do stacji metra Notre-Dame-du-Mont, ciągną się restauracje, bary, kawiarnie, antykwariaty i modne butikiki. Od siódmej wieczór cała nocna Marsylia tutaj się spotyka.

- Wiedziałem, że to nie potrwa długo - burknął Fonfon.
- Daj spokój, Fonfon! Tylko ten jeden raz.
- No, niech tam... Tak czy owak, klientów jak na lekarstwo. Wszyscy moczają tyłki w wodzie. Dać ci jeszcze kawy?
- Jak chcesz.

- Nie obrażaj się! Mówię tylko tak, żeby cię trochę rozruszać. Nie wiem, co te małe wam dzisiaj robią, ale jak wstajecie z łóżka, to jakby walec po was przejechał.

- To nie małe, to pastis. Przesadziłem tej nocy.

- Powiedziałem małe, ale miałem konkretnie na myśli tę, co ją rano wsadziłem do taksówki.

- Sonię.

- Właśnie, Sonię. Sympatycznie wygląda.

- Wolnego, Fonfon! Nie dokładaj się i ty. Wystarczy, że Honorine mi nagadała.

- Nic się nie dokładam. Mówię, jak jest. Zamiast nie wiem gdzie się włóczyć w taki żar, powinienesz wziąć ze mnie przykład i zrobić sobie małą sjęstę. W ten sposób w nocy będziesz rześki...

- Zamkniesz bar?

- A co myślisz? Że będę sterczał całe popołudnie, czekając, aż wejdzie jakiś klient, żeby się napić wody z miętą? Daj spokój! Jutro będzie to samo. I pojutrze też. Jak długo panuje taki upał, nie warto zatruwać sobie życia. Daję ci zwolnienie, kochasiu. Idź się wyśpij, idź!

Nie posłuchałem Fonfona. A powinienem był. Sen mnie morzył. Złapałem kasetę Mongo Santamarii i puściłem na cały głos. *Mambo terrifico*. Nacisnąłem na gaz, żeby poczuć choćby nikły powiew wiatru w samochodzie. Opuściłem wszystkie szyby, ale i tak pot się ze mnie lał. Plaże od Pointe-Rouge po Rond-Point de David były czarne od ludzi. Cała Marsylia moczyła sobie tyłki, jak mówił Fonfon. Słusznie zamknął bar. Nawet w kinach, mimo że klimatyzowane, wyświetlano filmy dopiero od piątej.

Niecałe pół godziny później stanąłem przed domem Babette. Marsylia latem to gratka dla kierowców. Żadnego ruchu w mieście, żadnych problemów z parkowaniem. Zadzwoiłem do pani Orsini. Sprzątała u Babette pod jej

nieobecność, sprawdzała, czy wszystko w porządku, przesyłała pocztę. Zatelefonowałem do niej wcześniej, żeby się upewnić, czy będzie w domu.

- Na pewno nie wyjdę w taki upał, nie ma obawy. Niech pan przyjeżdża, kiedy chce.

Otworzyła mi drzwi. Trudno powiedzieć, w jakim była wieku. Na oko między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Zależnie od pory dnia. Tleniona blondynka, niewysoka, raczej pulchna, w lekkiej luźnej sukience, która pod światło nie kryła niczego z jej wdzięków. Spojrzała na mnie tak, że zrozumiałem, że nie powiedziałaaby „nie” na małą sjęstę w moim towarzystwie. Nic dziwnego, że Babette ją lubi. Ona też jest łasa na mężczyzn.

- Napije się pan czegoś?

- Nie, dziękuję. Potrzebuję tylko kluczy.

- Szkoda.

Uśmiechnęła się. Ja też. Podała mi klucze.

- Dawno nie miałam wiadomości od Babette.

- Wszystko w porządku - skłamałem. - Ma dużo pracy.

- Nadal jest w Rzymie?

- Ze swoim adwokatem.

Pani Orsini spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Ach tak...

Sześć pięter wyżej stanąłem zdyszany przed drzwiami Babette. Jej mieszkanie było wspaniałe. Tak je zapamiętałem. Ogromne okno wychodziło na Stary Port. W dali widać było wyspy Frioul. Pierwsze, co się rzucało w oczy od wejścia, to ten cudowny widok, chwytający człowieka za gardło. Zachłysnąłem się tym pięknem. Przez ułamek sekundy, bo cała reszta wyglądała o wiele gorzej. Wszystko wybebezszone. Ktoś mnie uprzedził.

Zalała mnie fala gorąca. Upał i niespodziewana obecność Zła. Nie miałem czym oddychać. Podszedłem do zle-

wu w kuchni i odkręciłem kran, napiłem się łąpczywie wody.

Przeszedłem się po pokojach. Wszystkie zostały dokładnie, choć po bałaganiarsku przeszukane. W sypialni usiadłem na łóżku Babette i zapaliłem papierosa. Zamyśliłem się.

Tego, czego szukam, tutaj nie ma. Babette jest tak nieprzewidywalna, że nawet gdyby zostawiła notes z adresami, to z pewnością zgubiłbym się w labiryncie nazwisk, ulic, miast i krajów. Mój rozmówca zadzwonił do mnie już po przeszukaniu mieszkania. To na pewno on. Oni. Mafia. Mordercy. Szukają jej i - tak samo jak ja - zaczęli od początku. Od miejsca zamieszkania. Zapewne znaleźli tu coś, co ich naprowadziło na mnie. Przypomniały mi się pytania pani Orsini, dotyczące Babette. I to, jak na mnie patrzyła. Z nią też rozmawiali, to pewne.

Zduśiłem papierosa w ohydnej popielniczce *Ricordo di Roma*. Należą mi się wyjaśnienia od pani Orsini. Jeszcze raz obszedłem całe mieszkanie, jakby coś miało mnie tutaj olśnić.

W pokoju służącym jako gabinet zauważyłem dwa grube czarne kołnотatniki, leżące na podłodze. Otworzyłem pierwszy. Wszystkie reportaże Babette, ułożone chronologicznie. Rozpoznałem jej rękę. Ten sposób porządkowania własnej twórczości. Twórczości dziennikarskiej. Uśmiechnąłem się. Zacząłem przerzucać stronicę, cofać się w głąb lat. Aż do tamtego dnia w marcu 1988 roku, kiedy przyszła przeprowadzić ze mną wywiad.

Znalazłem ten artykuł. Pół stronicy z moim zdjęciem w środku, na dwu łamach.

„Kontrola odbytu stała się banalną praktyką - odpowiedziałem na pierwsze pytanie. - I to ona, między innymi, podsyca bunt znacznej części młodzieży. Tej, która ma największe problemy społeczne. Obrażliwe zachowanie policji uprawomocnia i podbudowuje postawy przestępcze. W ten

sposób policja sama przyczynia się do rewolty młodych i do utraty własnego autorytetu w tym środowisku.

Niektórzy młodzi ludzie rozwijają w sobie poczucie wszechmocy, a co za tym idzie, odrzucają wszelką władzę i chcą dyktować własne prawo na osiedlach. W ich oczach policja jest narzędziem obcej władzy. Żeby skutecznie przeciwstawić się przestępczości, policjanci muszą się zachowywać nienagannie. Środkiem wyrazu młodzieży z blokowisk stał się rap, w którym często jest mowa o upokarzających praktykach policji i o tym, że rachunki zostaną wyrównane".

Przełożeni nie byli zachwyceni moją tyradą. Ale nie pisnęli słowa. Znali moje poglądy. Ba, z tego właśnie powodu postawili mnie na czele brygady nadzoru sektorów w północnych dzielnicach Marsylii. W krótkim odstępie czasu doszło tam do dwóch poważnych przypadków nadużycia władzy. W czasie rutynowej kontroli dokumentów został zastrzelony siedemnastoletni Lahauri Ben Mohamed. Na osiedlach zawrzało. Kilka miesięcy później, w lutym, zastrzelono kolejnego nastolatka, Christiana Dovero, syna taksówkarza. Tym razem całe miasto było poruszone. „Francuz, kurwa!" - wydzierał się mój przełożony. Należało czym prędzej przywrócić spokój i porządek, zanim zjawią się supergliny z centrali. Na komendzie policji postanowiono więc zmienić metody, przemówić innym językiem. I wtedy wyciągnięto z kapelusza mnie. Gliniarza-cudotwórcę.

Potrzebowałem trochę czasu, żeby zrozumieć, że byłem wyłącznie marionetką, którą się posłużono w oczekiwaniu na powrót do starych, sprawdzonych metod. Upokorzenia, bicie po pysku, łomot. Wszystko, co mogło zaspokoić tych, którzy sterowali służbami bezpieczeństwa.

Dziś stare, sprawdzone metody na powrót triumfują. A dwadzieścia procent funkcjonariuszy policji głosuje na Front Narodowy. W dzielnicach północnych znów panuje napięcie. Z każdym dniem coraz większe. Wystarczy otwo-

rzyć rano gazetę: zdemolowane szkoły w Saint-Andre, napady na lekarzy dyżurnych w La Savine i na pracowników gminy w La Castellane, pogróżki pod adresem kierowców autobusów nocnych linii. A w tle na osiedlach plaga heroiny, cracku i tych wszystkich świństw, które dodają młodym odwagi, ale też doprowadzają ich do kresu wytrzymałości. „Najgorsza zaraza w Marsylii to heroina i Front Narodowy!” - krzyczeli marsylscy raperzy z grupy IAM. Wszyscy, którzy mieli do czynienia z młodzieżą, czuli, że niebawem nastąpi wybuch.

Złożyłem dymisję. Wiedziałem, że to żadne rozwiązanie. Ale policji nie da się zmienić z dnia na dzień ani w Marsylii, ani gdzie indziej. Być gliniarzem to wpisać się, chcąc nie chcąc, w pewną tradycję. Wywózka Żydów z Vel'd'Hiv^{*}. Masakra Algierczyków wrzuconych do Sekwany w październiku 1961 roku^{**}. Wszystkie te sprawy, do których przyznano się dość późno i wciąż jeszcze nieoficjalnie. Sprawy, które miały wpływ na codzienną praktykę wielu gliniarzy w stosunku do młodzieży wywodzącej się z imigracji.

Takie było moje zdanie. Od dawna. I dlatego „osunąłem się”, jak się wyrazili moi koledzy. Za bardzo chciałem rozumieć. Tłumaczyć. Przekonywać. W komisariacie dzielnicowym nazywali mnie „wychowawca”. Kiedy zostałem zwolniony z funkcji, powiedziałem szefowi, że kultywowanie subiektywnego poczucia zagrożenia zamiast obiektywnego aresztowania winnych to niebezpieczna droga. Ledwie się uśmiechnął. Teraz ma mnie gdzieś.

Prawdą jest, że słyszałem i inne głosy ze strony obecnego rządu. Że bezpieczeństwo to nie tylko sprawa liczebności policji i zaangażowanych środków, ale także kwestia

* Miejsce przetrzymywania Żydów ujętych przez policję francuską przed ich deportacją do obozów śmierci w Polsce.

** Po manifestacjach poparcia dla FLN i niepodległości Algierii.

metody. Pociuszające było słyszeć, że bezpieczeństwo to nie ideologia, lecz tylko odpowiedź na rzeczywistość społeczną. Dla mnie było jednak za późno. Odszedłem ze służby i nigdy nie wrócę do pracy w policji, nawet jeśli nic innego nie umiem robić.

Wyjąłem artykuł z plastikowej koszulki, żeby go rozłożyć i przeczytać do końca. Ze środka wyleciała pożółkła karteczka. „Montale. Inteligentny. Dużo wdzięku”. Uśmiechnąłem się. Ach, ta Babette! Zadzwońełem do niej, kiedy wywiad ukazał się w gazecie. Chciałem jej podziękować za to, że wiernie przytoczyła moje słowa. Zostałem zaproszony na kolację. Pewnie już miała wobec mnie jakieś zamiary. Nie ukrywam, że od razu się zgodziłem, bo Babette była śliczna do schrupania. Ale do głowy mi nie przyszło, że młodziutka dziennikarka zamierza uwieść gliniarza, i to nie najmłodszego.

Jeszcze raz przyjrzałem się własnej fotografii. No tak, ma wdzięk ten Montale, przyznało moje ego. Skrzywiłem się. Stare dzieje. Minęło prawie dziesięć lat. Od tego czasu rysy twarzy mi pogrubiały, w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki, a na policzkach głębokie bruzdy. Z biegiem dni z coraz większym zakłopotaniem przeglądałem się co rano w lustrze. Źle się starzeję. Pewnej nocy podzieliłem się z Lolą swoim niepokojem.

- I co jeszcze wymyślisz? - powiedziała.

Niczego nie wymyślałem.

- Uważasz, że jestem przystojny?

Nie pamiętam, co odpowiedziała. Miała już co innego w głowie. Odeszła do innego życia. W inne miejsce, do innego mężczyzny. Jej inne życie będzie piękne. I inny mężczyzna będzie piękny.

Później zobaczyłem w jakimś piśmie zdjęcie przyjaciela Loli - nie śmiałem wymówić jego nazwiska nawet w myśli.

Przystojny facet, moim zdaniem. Szczupły, zgrabny, po-
ciągnęła twarz, gęsta czupryna, śmiejące się oczy, ładne usta
- trochę za bardzo wydęte, jak na mój gust, ale ładne. Moje
przeciwieństwo. Znienawidziłem to jego zdjęcie, zwłaszcza
gdy wyobraziłem sobie, że Lola może je nosić w portfelu
zamiast mojego. Przykro było o tym myśleć. Zazdrosny jes-
teś, powiedziałem sobie. A przecież nienawidzę uczucia
zazdrości. Czułem bolesne klucie w sercu na myśl, że Lola
może wyjmować z portfela tę czy inną fotografię tego faceta
i wpatrywać się w nią, gdy tylko rozstają się na parę dni
czy nawet godzin.

To była jedna z tych pieprzonych nocy, kiedy wszystkie
drobiazgi urastają do niebotycznych rozmiarów, a człowiek
przestaje być zdolny do logicznego rozumowania i pogo-
dzenia się z rzeczywistością. Nieraz mi się to już zdarzało
z innymi kobietami. Ale nigdy aż tak nie cierpiałem z ich
powodu. Lola odeszła, a wraz z nią wyparował cały sens
mego życia, jakby go zapakowała do walizki.

Patrzą na mnie moje zdjęcie. Zachciało mi się piwa.
Tylko cudze spojrzenie czyni nas pięknymi. Spojrzenie te-
go, kto nas kocha. Pewnego dnia nie można już powiedzieć
komuś, że jest piękny, bo miłość przeminęła, a z nią pożą-
danie. Choćbyś włożył najelegantszą koszulę, ostrzygł wło-
sy, zapuścił wąsy - niczego nie zmienisz. Należy ci się co
najwyżej zdawkowe „do twarzy ci w tym”, zamiast wycze-
kiwanego „piękny jesteś”, obiecującego rozkosz i pomięte
prześcieradła.

Włożyłem artykuł z powrotem do plastikowej koszulki
i odłożyłem kołnотatnik. Było mi gorąco. Przed lustrem
przy wejściu do mieszkania zatrzymał mnie na chwilę
śmiej Soni. Może jeszcze mam wdzięk, mimo wszystko?
Może czeka mnie nowa miłość? Skrzywiłem się do swego
odbicia w lustrze. Potem wróciłem do pokoju po kołnотatnik
Babette. A nuż nastrój mi się zmieni, jak poczytam
jej prozę.

- Po zastanowieniu chętnie napiłbym się jednak piwa
- powiedziałem do pani Orsini, kiedy otworzyła drzwi.

- A, proszę bardzo.

Tym razem nie zerknęła na mnie kokieteryjnie, przeciwnie, uciekała wzrokiem.

- Nie wiem, czy mam z lodówki.

- Nie szkodzi.

Staliśmy naprzeciwko siebie, w rękę trzymałem klucze od mieszkania Babette.

- Znalazł pan to, czego pan szukał? - spytała, wskazując podbródkiem dwa grube kołnотatniki.

- Może.

Zaległa cisza wypełniona lepką wilgocią.

- Babette ma kłopoty? - spytała w końcu pani Orsini.

- Dlaczego pani pyta?

- Przyszła policja. Nie podoba mi się to.

- Policja, mówi pani?

Znowu cisza. Tak samo dusząca. Poczułem na języku pierwszy łyk piwa. Dojrzałem jakby lęk w jej oczach. Znowu odwróciła wzrok.

- Czy ja wiem... Pokazali legitymacje.

Kłamie.

- I wypytywali panią o Babette. Gdzie jest? Czy ją pani ostatnio widziała? Czy zna pani jej przyjaciół w Marsylii?
W tym stylu?

- Tak, w tym stylu.

- I dała im pani moje nazwisko i telefon.

- No, wie pan, z policją nie ma żartów.

Chciała, żebym sobie poszedł. Chciała zamknąć drzwi na klucz. Jej czoło pokryło się potem.

- Z policją, mówi pani?

- A kto to może wiedzieć! Nie podoba mi się to, nie jestem konsjerżką. Pilnuję mieszkania Babette, żeby jej oddać przysługę, nie po to, żeby mi płaciła.

- Grozili pani?

Spojrzała na mnie, zdziwiona moim pytaniem i przestraszona tym, czego się domyślała. Grozili jej.

- Tak.

- Żeby im pani podała moje nazwisko?

- Kazali mi pilnować mieszkania... Jak kto przyjdzie, to kto i dlaczego. I żebym nie przysyłała poczty. Powiedzieli, że będą do mnie codziennie dzwonić. Chyba lepiej dla mnie, żebym ich posłuchała.

Zadzwonił telefon. Dwa kroki od nas. Stał na stoliku na koronkowej serwetce. Pani Orsini podniosła słuchawkę. Widziałem, jak zbladła. Patrzyła na mnie ze strachem w oczach.

- Tak, tak. Oczywiście.

Drżącą dłonią przysłoniła słuchawkę.

- To oni. Do... pana.

Podawała mi słuchawkę.

- Tak.

- Zabrałeś się do roboty, Montale. To dobrze. Ale tracisz czas. Śpieszy nam się, rozumiesz?

- Odpieprz się.

- Sam się będziesz pieprzył. I to niebawem, palancie!

Odłożył słuchawkę.

Pani Orsini wpatrywała się we mnie z niemym pytaniem w oczach.

- Niech pani robi, jak kazali.

Zaprzagnąłem Soni. Jej uśmiechu. Jej oczu. Jej nieznanego mi jeszcze ciała. Czuję szaloną żądzę. Zanurzyć się w niej i zapomnieć o tym całym draństwie, które niszczy nasze życie.

Bo miałem jeszcze jakieś złudzenia.

Rozdział czwarty,
w którym łyzy są jedynym lekarstwem
na nienawiść

Wypiłem jedno piwo, potem drugie, potem trzecie. Siedziałem w cieniu na tarasie La Samaritaine. Tu zawsze czuć morze w powietrzu. Nie żeby zaraz wiało, ale przynajmniej człowiek się nie poci przy każdym łyku piwa. Dobrze mi było na tym najpiękniejszym tarasie w Starym Porcie. Jedynym, gdzie od rana do wieczora można się cieszyć światłem miasta. Kto jest obojętny na to światło, ten nigdy nie zrozumie Marsylii. Tutaj jest ono wprost dotykalne. Nawet w porze największego upału. Nawet kiedy blask słońca zmusza człowieka, jak teraz, do przymknięcia powiek.

Zamówiłem kolejne piwo i poszedłem kolejny raz zadzwonić do Soni. Dochodziła ósma, dzwoniłem do niej bezskutecznie co pół godziny.

Czas mijał, a ja coraz mocniej pragnąłem ją zobaczyć. Nie znałem Soni, a już mi jej brakowało. Co też naopowiadała Honorine i Fonfonowi, że tak szybko ich urzekła? Co naopowiadała mnie, że jestem w takim stanie? Jak kobieta potrafi tak po prostu wkroczyć w serce mężczyzny samym tylko spojrzeniem i uśmiechem? Czy można pieścić czyjeś serce, nawet nie dotykając skóry? To właśnie jest sztuka uwodzenia. Przeniknąć do cudzego serca, rozwibrować je tak, by je do siebie przywiązać.

Telefon Soni wciąż nie odpowiadał, zaczynało mnie to doprowadzać do rozpacz. Czułem się jak zakochany szczeniak: rozgorączkowany, niecierpliwy, tęskniący za głosem swojej dziewczyny. „Stąd się bierze sukces telefonów komórkowych” - pomyślałem sobie. W każdym miejscu, o każdej porze możesz się połączyć z tym, kogo kochasz. Możesz powiedzieć: tak, Kocham cię, tak, tęsknię za tobą, tak, do zobaczenia wieczorem. Ale nie potrafiłem wyobrazić sobie siebie z komórką w rękę i nie rozumiałem, co się dzieje z Sonią. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętałem nawet brzmienia jej głosu.

Wróciłem do stolika i zagłębiłem się znowu w artykuły Babette. Zdażyłem już przeczytać sześć reportaży. Wszystkie dotyczyły wymiaru sprawiedliwości, blokowisk na przedmieściach oraz policji. A także mafii, zwłaszcza te ostatnie. W październiku 1996 roku Babette relacjonowała dla gazety „Aujourd'hui” konferencję prasową siedmiu europejskich sędziów: Renauda Van Ruymbeke (Francja), Bernarda Bertossy (Szwajcaria), Gerarda Colombo i Edmonda Bruti Liberatiego (Włochy), Baltazara Garzón Reala i Carlosa Jimenez Villarejo (Hiszpania) oraz Benoit Dejemeppe'a (Belgia). Zatyłowała swoje sprawozdanie Siedmiu gniewnych ludzi przeciwko korupcji.

„Sędziowie są oburzeni, że politycy uniemożliwiają bądź utrudniają współpracę prawną, że wystarczy łapówka w wysokości 200 tysięcy dolarów, by organizacja przestępcza mogła wyprać 20 milionów, że pieniądze z handlu narkotykami (1500 miliardów franków co roku) bez specjalnych przeszkód wkraczają w obieg międzynarodowy i w 90 procentach zostają zainwestowane w gospodarkę Zachodu - pisała Babette. - Zdaniem Bernarda Bertossy, prokuratora generalnego Genewy, najwyższy czas utworzyć Europę prawa, w której istniałby nie tylko swobodny przepływ przestępców i kapitałów, jakimi obracają, lecz również swobodny przepływ dowodów przeciwko nim.

Sędziowie mają świadomość, że ich wołanie na alarm spotyka się ze schizofrenicznym oporem ze strony rządów europejskich. «Trzeba skończyć z podatkowymi rajami, tymi pralniąmi brudnych pieniędzy! Nie można wprowadzać pewnych norm i jednocześnie dostarczać środków pozwalających je ominąć!» - oburza się sędzia Baltazar Garzón Real. Każda sprawa, którą się zajmował i która prowadziła do Gibraltaru, Andory czy Monako, została pogrzebana. «Dzisiaj wystarczy mnożyć ekrany, podstawiając fikcyjne spółki panamskie, a nic się nie da zrobić, nawet jeśli wszystkim wiadomo, że chodzi o pieniądze z narkobiznesu» - zwraca uwagę Renaud Van Ruymbeke".

Zapadał zmierzch, ale wcale nie było chłodniej. Miałem dość czytania i czekania. Jak tak dalej pójdzie, będę zupełnie pijany, kiedy się wreszcie spotkam z Sonią. O ile zechce w końcu odpowiedzieć.

Kwadrans później znów głuchy telefon.

Zadzwoniłem do Hassana.

- Jak leci, w porządku? - spytał.

Z tyłu dobiegał głos Leo Ferrego:

Kiedy maszyna poszła w ruch
Kiedy człek nie wie, gdzie jest,
I czeka, co się wydarzy...

- Pewnie, dlaczego pytasz?
- Mocno się wstawiłeś zeszłej nocy.
- Mam nadzieję, że nie narozrabiałem?
- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś się tak ubzdryngolił.
- Przecenisz mnie, Hassan!

I czeka, co się wydarzy...

- Fajna dziewczyna z tej Soni, co?

Nawet Hassan dał się wciągnąć.

- No. Powiedz, nie wiesz przypadkiem, gdzie ona mieszka?

- Taaak... - powiedział, coś akurat przetykając. - Rue Consolat. Pod 24 albo 26, nie pamiętam. Na pewno po parzystej stronie. Bo nieparzyste zapamiętuję.

Roześmiał się i znów się czegoś napił.

- Co pijesz? - spytałem z ciekawości.

- Piwo.

- Ja też. Jak Sonia ma na nazwisko?

- De Luca.

Włoszka. Cholera. Od czasu Babette unikam Włozek.

- Widywałeś u mnie jej ojca, Attilia. Doker, przypominasz sobie? Nieduży. Łysy.

- A tak, rzeczywiście! Więc to jej ojciec?

- No. - Znów coś łyknął. - To co? Jak ją zobaczę, mam powiedzieć, żeś się o nią dopytywał?

Znowu się roześmiał. Nie wiem, o której zaczął pić, ale formy nie tracił.

- Właśnie. No dobra, do zobaczenia. Ciao.

Sonia mieszkała pod 28.

Nacisnąłem dzwonek przy bramie. Drzwi się otworzyły. Serce zabiło mi mocniej. Pierwsze piętro, było napisane na skrzynce do listów. Susami wbiegłem po schodach. Delikatnie zapukałem do drzwi - otworzyły się i zamknęły za moimi plecami.

Przedemną stali dwaj mężczyźni w cywilu. Jeden z nich pokazał legitymację.

- Policja. Kim pan jest?

- Co tu robicie?

Serce znów mi mocno zabiło, ale tym razem z innych powodów. Wyobraziłem sobie najgorsze. I pomyślałem, że wystarczy na chwilę odwrócić głowę, a życie wali w człowieka jak w bęben. Podstępne ciosy losu nawarstwiają się jak w przekładanцу. Warstwa kremu, warstwa bryi. Co za cholera. Nie, nic sobie nie musiałem wyobrażać, domyśliłem się. Serce mi stanęło. Poczulem odór śmierci. Nie ten, który mnie prześladował w myślach i który węszyłem wo-

kół siebie. Nie - najprawdziwszy, realny odór śmierci. I towarzyszający mu często odór krwi.

- Pytam pana.

- Montale. Fabio Montale. Byłem umówiony z Sonią - skłamałem.

- Schodzę na dół, Alain - powiedział drugi z policjantów.

Był blady jak trup.

- Okay, Bernard. Zaraz przyjadą.

- Co tu się dzieje? - spytałem, żeby się upewnić.

- Pan jest jej... (Zlustrował mnie od stóp do głów, oceniając mój wiek. Musiał dojść do wniosku, że między mną a Sonią jest dobre dwadzieścia lat różnicy.) ...przyjacielem?

- Tak. Przyjacielem.

- Nazwisko Montale?

Zamyślił się. Znow przyjrzał mi się badawczo.

- Tak. Fabio Montale.

- Ona nie żyje. Została zamordowana.

Poczułem skurcz w żołądku. Jakbym miał w dołku ciężką kulę, która zaczęła jeździć w górę i w dół, podchodziła do gardła. Dusiłem się. Nie mogłem złapać tchu ani wydusić z siebie słowa. Co tu mówić! Słowa wróciły do prehistorii. Do jaskiń, skąd człowiek nigdy nie powinien był wyłazić. Najgorsze było na początku. Wtedy gdy rozległ się pierwszy krzyk pierwszego człowieka. Zrozpaczonego pod olbrzymim rozgwieżdżonym sklepieniem. Przytłoczonego urodą świata i rozumiejącego, że pewnego dnia przyjdzie mu zabić swojego brata. Bo wszystkie powody były dane od początku, zanim jeszcze zostały nazwane. Zazdrość, pożądanie, strach. Pieniądze. Władza. Nienawiść. Nienawiść do człowieka. Nienawiść do świata.

Chciało mi się wyć.

Sonia.

Nienawiść. Gula przestała jeździć w środku. Krew odpłynęła z żył i zebrała się w tej guli, cięższej mi teraz

w brzuchu jak kamień. Zrobiło mi się strasznie zimno. Nienawiść. Będę musiał żyć z tym zimnem. Nienawiść. Sonia.

- Sonia - wyszeptalem.
- Dobrze się pan czuje? - spytał policjant.
- Nie.
- Niech pan usiądzie.

Usiadłem. W fotelu, którego nie znałem. W mieszkaniu, którego nie znałem. U kobiety, której nie znałem i która nie żyła. Zamordowali Sonię.

- Jak? - spytałem.
- Poderżnięte gardło. Pod prysznicem.
- Jakiś sadysta?

Wzruszył ramionami. To znaczyło, że nie. Albo raczej nie. Powiedziała by, gdyby została zgwałcona. Zgwałcona, a później zamordowana. A powiedział tylko: zamordowana.

- Też byłem gliniarzem. Dawno temu.
- No tak, Montale... Zastanawiałem się właśnie... W północnych dzielnicach, prawda?

Podał mi rękę.

- Beraud. Alain Beraud. Miał pan w policji nie tylko przyjaciół...

- Jednego miałem. Loubeta.
- No tak, Loubet. Pół roku temu dostał przeniesienie.
- Ach tak?
- Do Saint-Brieuc w Côtes d'Armor. Awans to to nie jest..

- Wyobrażam sobie.
- Loubet też nie miał zbyt wielu przyjaciół.

Rozległa się syrena policyjna. Zaraz zjawi się ekipa. Zabezpieczą odciski palców. Sfotografują miejsce zbrodni. Zwłoki. Analiza. Zeznania. Rutyna. Jedna zbrodnia więcej.

- A pan?
- Pracowałem z nim sześć miesięcy. Facet był w porządku.

Na dworze wciąż wyla syrena. Najwidoczniej karetka policyjna nie miała gdzie zaparkować. Rue Consolat jest wąska, ludzie zostawiają samochody byle gdzie, byle jak.

Dobrze mi zrobiła ta krótka wymiana zdań. Obraz Soni z poderżniętym gardłem znikł. Trudno zapanować nad takimi pojawiającymi się w głowie obrazami. Jak ten film, od którego nie możesz się uwolnić podczas bezsennych nocy i w którym widzisz ukochaną kobietę w ramionach innego mężczyzny, jak go całuje, uśmiecha się do niego, mówi mu, że go kocha, doznaje rozkoszy, szepcze o tym, jak jej dobrze. Ta sama twarz. Ten sam spazm. Te same westchnienia. Te same słowa. I tylko usta kogoś innego. I ręce. I penis.

Lola odeszła. Sonia została zamordowana.

Z otwartej rany ciekła gęsta krew na piersi i brzuch, tworząc malutką kałużę w miejscu pępka i spływając dalej na pleć, między uda... Miałem przed oczyma obraz ciekącej krwi. Paskudny, jak zawsze. I obraz wody z prysznicą, zmywającej krew do kanałów...

Ale dlaczego Sonia?

Dlaczego zawsze odślania się przede mną mroczna strona życia? Czy jest jakiś powód? Czy to tylko przypadek? Może nie dość kocham życie?

- Montale?

Pytania nasuwały się z zawrotną szybkością. A wraz z nimi obrazy trupów, jakie zmagazynowałem w głowie od czasu, gdy zostałem gliną. Setki nieznanomych zwłok. Ale też inni umarli. Ci, których kochałem. Manu, Ugo. I Guitou, taki młody. I Leila, piękna Leila. Nie umiałem ich uratować, nie dopuścić do ich śmierci.

Zawsze zjawiasz się za późno, Montale. Nie potrafisz dogonić śmierci. I życia też nie potrafisz dogonić. Ani przyjaźni. Ani miłości.

Zawsze spóźniony, zawsze przegrany.

A teraz Sonia.

- Montale?

I wszędzie ta nienawiść.

- Tak - powiedziałem.

Wsiadę do swojej łódki. Wy płynę nocą na szerokie morze. Będę w milczeniu zadawał pytania. Będę wygrażał gwiazdom, jak pewnie robił pierwszy człowiek owego dnia, kiedy wróciwszy z polowania, znalazł swoją kobietę z poderżniętym gardłem.

- Musi pan złożyć zeznania.

- Jak się dowiedzieliście? - spytałem.

- Świetlica zgłosiła.

- Co za świetlica?

Wyciągnąłem z kieszeni paczkę papierosów, poczęstowałem Berauda. Odmówił. Przyciągnął krzesło i usiadł naprzeciwko mnie. Jego ton nie był już przyjazny.

- Ona ma dziecko. Ośmioletniego syna, ma na imię Enzo. Nie wiedział pan?

- Poznałem ją wczoraj wieczorem.

- Gdzie?

- W barze Maraichers. Często tam bywam, ona najwyraźniej też, ale spotkaliśmy się dopiero wczoraj.

Przyglądał mi się uważnie. Domyślałem się, co mu chodzi po głowie. Wiem, jak kombinuje gliniarz. Dobry gliniarz. Znam te numery. Więc oboje z Sonią upiliśmy się. Potem poszliśmy do łóżka. A kiedy wytrzeźwiała, nie chciała już więcej. Błąd jednej nocy, zrobiła coś, czego sama nie rozumiała. Fatalna pomyłka młodej matki. Bardzo pospolita historia. Dobrze znana. A to, że zbrodni dokonał gliniarz, w niczym nie zmienia istoty rzeczy.

Chyba nieświadomie wyciągnąłem do niego rękę i powiedziałem:

- Między nami nic nie zaszło, absolutnie nic. Mieliśmy się spotkać dziś wieczór.

- O nic pana nie oskarżam.

- Chcę, żeby pan wiedział.

Teraz ja przyglądałem mu się badawczo. W porządku gliniarz z tego Berauda, który lubił pracować z komisarzem Loubetem.

- Zadzwonili na policję ze świetlicy?

- Nie. Zaniepokoił się, że matki nie ma. Zawsze przychodziła punktualnie. Nigdy żadnego spóźnienia. Więc zadzwonili do dziadka chłopca...

Attilio, przypomniałem sobie. Beraud zawiesił głos. Żebym zarejestrował informację: do dziadka, nie do ojca. Znów mi ufał.

- Nie do ojca?

Wzruszył ramionami.

- Ojca nigdy nie widzieli. Dziadek się zezłościł, że już wczorajszej nocy pilnował małego i że ma przy nim siedzieć jeszcze dzisiaj.

Beraud umilkł na chwilę. W tej krótkiej pauzie spotkał się z Sonią, by spędzić razem noc.

- Matka miała go nakarmić i wykąpać. Więc...

Patrzył na mnie niemal jak na kogoś bliskiego.

- Więc?

- Poszedł po dzieciaka do świetlicy, wziął go do siebie do domu. Potem zadzwonił do córki do biura. Ale już jej nie było, wyszła o zwykłej porze. Więc zadzwonił do niej, pomyślał, że przy tym upale Sonia mogła wpaść do domu wziąć prysznic i że... Na próżno. Zaniepokoił się. Zadzwonili do sąsiadki Soni. Znały się, oddawały sobie drobne przysługi. Sąsiadka poszła zapukać do drzwi, ale były otwarte. To ona nas zawiadomiła.

Mieszkanie napełniło się wrzawą.

- Dobry wieczór, pani komisarz - powiedział Beraud, wstając.

Podniosłem oczy. Przede mną stała wysoka młoda kobieta w czarnych dżinsach i czarnym podkoszulku. Piękna kobieta. Z trudem odkleiłem się od fotela, w którym siedziałem.

- To świadek? - spytała.
 - Nasz dawny pracownik. Fabio Montale.
- Podawała mi rękę.
- Komisarz Pessayre.

Mocny uścisk dłoni. Dłoń gorąca, serdeczna. Błyszczące czarne oczy, pełne życia i pasji. Na ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotkały. Przez ten ułamek sekundy gotów byłem wierzyć, że sprawiedliwość może wygrać ze śmiercią i zbrodnią.

- Niech pan mówi.
- Jestem zmęczony - powiedziałem, siadając. - Strasznie zmęczony.

Oczy zaszyły mi łzami. Nareszcie.
Łzy są jedynym lekarstwem na nienawiść.

Rozdział piąty,
w którym dobrze jest powiedzieć i usłyszeć
nawet to, co na nic się nie zda

Nie wygrażałem gwiazdom. Nie mogłem.

Wypłynąwszy na pełne morze, na wysokości wysp Riou zgasilem motor i pozwoliłem łodzi dryfować. To gdzieś tutaj ojciec, trzymając mocno pod pachy, po raz pierwszy zanurzył mnie w morzu. Miałem wtedy osiem lat. Tyle co Enzo dzisiaj. „Nie bój się, nie bój” - powiedział ojciec. Nie znam innego chrztu. I ilekroć życie dawało mi popalić, wracałem w to miejsce. Żeby tutaj, między niebem a morzem, spróbować pogodzić się ze światem.

Wróciłem tu również i wtedy, kiedy Lola odeszła. Przez całą noc wyliczałem na głos wszystko, co można mi było zarzucić. Bo należało to głośno powiedzieć. Choćby jeden raz. Choćby do nikogo. To było szesnastego grudnia. Przemarzałem do szpiku kości. Mimo lagavulina, którym się raczyłem raz po raz. Z płaczem. Wracając o świcie do domu, miałem poczucie, że to powrót z krainy umarłych.

Zupełna samotność. Cisza. Otaczały mnie girlandy gwiazd, niebieskoczarne sklepienie nieba i jego odbicie w morzu. Bezruch. Jedyny dźwięk to chłupotanie mojej łodzi na wodzie.

Siedziałem nieruchomo z zamkniętymi oczami, póki nie poczułem, że roztapia się wreszcie ta dusząca gula obrzy-

dzenia i smutku. Chłodne powietrze przywróciło mojemu oddechowi normalny rytm. Uwolniło mnie od udręki życia i umierania.

- Sonia nie żyje - powiedziałem. - Zabili ją.

Fonfon i Honorine grali w remika na tarasie. Ulubiona gra Honorine, która zawsze wygrywa, bo lubi wygrywać. A Fonfon daje jej wygrać, bo lubi patrzeć, jak Honorine się cieszy. Przed Fonfonem stał kieliszek pastisu. Przed Honorine resztką martini. Oboje podnieśli na mnie oczy, zdumieni, że tak wczesnie wracam. I, rzecz jasna, zaniepokojeni. A ja powiedziałem tylko:

- Sonia nie żyje. Zabili ją.

Spojrzałem na nich, a potem, ściskając pod pachą koc i kurtkę, z butelką lagavulina w drugiej ręce, przeszedłem przez taras, zbiegłem po schodkach do łodzi i zanurzyłem się w noc. Powtarzałem sobie przy tym, jak zawsze, że stracę to morze, podarowane mi przez ojca niczym jakieś królestwo, przez to, że topię w nim wszystkie ciosy, jakie mi zadaje świat i ludzie.

Kiedy otworzyłem oczy i ujrzałem migoczące gwiazdy, zrozumiałem, że i tym razem grom z nieba nie spadnie. Jakby świat zamarł w bezruchu. Życie zastygło w miejscu. Trwało jedynie w moim sercu, w którym teraz ktoś płakał. Ośmioletni chłopczyk i jego dziadek.

Pociągnąłem lagavulina z butelki. W głowie słyszałem śmiech Soni, potem jej głos. Wróciła mi pamięć wszystkiego. Jej śmiechu, głosu, słów.

- Jest takie miejsce, zwane eremo Dannunziano. Gabriele d'Annunzio często tam bywał...

Opowiadała mi o Włoszech, swoim rodzinnym kraju, i o Abruzzach. Ten kawałek wybrzeża między Ortoną a Vasto był dla niej „czymś wyjątkowym”. Sonia rozgadała się na całego, a ja chłonałem jej radosne wspomnienia tak jak kolejne pastisy.

- Plaża, gdzie spędzaliśmy lato, kiedy byłam mała, nazywa się Turchino. Od turkusowego koloru morza... Pełno tam kamyków i bambusów. Z liści bambusa można robić dżonki albo wędki, widzisz to?

Owszem, widziałem. I czułem. Czułem łagodny dotyk wody omywającej moje ciało. I sól. Smak słonej skóry. Tak, widziałem to wszystko na wyciągnięcie ręki. Jak nagie ramiona Soni. Krągłe i gładkie niczym kamyki nadmorskiej plaży.

- Kolej dojeżdża aż do Foggii...

Jej oczy patrzyły na mnie z czułością. Zapraszały, bym wsiadł do tego pociągu i dał się zawieźć nad morze. Do Turchino.

- Życie jest tam bardzo proste. Rytm wyznacza przejeżdżający pociąg, szum morza, kwadratowe kawałki pizzy al taglio, które je się w południe, a wieczorem - dodała ze śmiechem - una gerla alla strasciatella per me...

Sonia.

Jej roześmiany głos. Jej słowa, porywające jak fala radości życia.

Od kiedy skończyłem dziewięć lat, ani razu nie byłem we Włoszech. Wcześniej ojciec zabierał nas z mamą do swojej rodzinnej wsi. Do Castel San Giorgio koło Salerno. Chciał się spotkać z matką, choćby ostatni raz. Chciał się przed nią pochwalić, jakiego ma syna. Powiedziałem o tym Soni. I że byłem wściekły, bo miałem dość jedzenia co dzień makaronu w południe i wieczorem.

Roześmiała się.

- A ja za tym przepadam. Chciałabym zawieźć syna do Włoch do Foggii. Tak jak twój ojciec ciebie.

Szaroniebieskie oczy z wolna podniosły się ku moim. Czekwała, jak zareaguję. Powiedziała: syna. Jak mogłem zapomnieć, że powiedziała mi o swoim synku? O Enzo. Jak mogłem nie przypomnieć sobie o tym, kiedy mnie przestu-

chiali gliniarze? Czego nie chciałem słyszeć, kiedy powiedziała „syna”?

Nigdy nie pragnąłem mieć dziecka. Z żadną kobietą. Ze strachu, że nie potrafię być ojcem. Nie dlatego, bym nie miał w sobie dość miłości, ale brak mi zaufania do świata i ludzi, brak mi wiary w przyszłość. Nie widzę przyszłości dla dzieci naszych czasów. Może zbyt długie lata spędzone w policji wypaczyły moją wizję świata. Więcej spotkałem dzieciaków, które wpadły w narkotyki, najpierw w małe, potem duże rozróby, i skończyły w więzieniu, niż takich, którym się w życiu powiodło. Nawet ci, którzy lubili szkołę i dobrze się uczyli, któregoś dnia zapędzali się w ślepią uliczkę. I albo walili głową w mur, aż sami się wykończyli, albo buntowali się przeciwko niesprawiedliwości tego świata. A wtedy uciekali się do przemocy. I lądowali w więzieniu.

Jedyną kobietą, z którą mógłbym mieć dziecko, jest Lola. Ale powiedzieliśmy sobie, że nie chcemy dzieci. Pod pretekstem, że jesteśmy na to za starzy. A jednak zdarzało mi się marzyć, kiedyśmy się kochali, że Lola, nic mi nie mówiąc, nie wzięła pigułki. I że pewnego dnia powie z uśmiechem na ustach: „Spodziewam się dziecka, Fabio”. Że taki zrobi prezent nam obojgu. Naszej miłości.

Wiem, że powinienem był jej powiedzieć o tym marzeniu. A także zaproponować jej małżeństwo. Żeby naprawdę była moją żoną. Może powiedziała by „nie”. Ale wszystko byłoby jasne między nami. Padłoby to „nie” lub „tak”, wiedzielibyśmy, czego się trzymać. Tymczasem ja milczałem. No i ona też, siłą rzeczy. Aż w końcu milczenie oddaliło nas od siebie, aż nas rozdzieliło.

Wypiłem kieliszek do dna zamiast odpowiedzieć. Sonia ciągnęła dalej:

- Jego ojciec mnie rzucił. Pięć lat temu. Nigdy się nie odezwał.

Pamiętam, że spytałem ją wtedy:

- Ciężko ci to znieść?

Wzruszyła ramionami.

- Kiedy mężczyzna porzuca własne dziecko i w ogóle się nim nie interesuje... W ciągu pięciu lat nie odezwał się ani razu, nawet na Gwiazdkę, nawet na urodziny. Więc lepiej, że go nie ma. Nie byłby dobrym ojcem.

- Ale dziecko potrzebuje ojca!

Sonia patrzyła na mnie w milczeniu. Pot łał się z nas wszystkimi porami. Ze mnie bardziej niż z niej. Jej udo przyciśnięte do mojego rozbudziło we mnie ogień, o którym zapomniałem.

- Sama go wychowałam. Prawda, że ojciec mi pomagał. Może spotkam kiedyś faceta, którego z radością przedstawię synowi. Ten facet nigdy nie będzie jego ojcem, ale myślę, że da mu wszystko, czego dziecko potrzebuje, żeby dorosnąć. Autorytet i czułość. Ufność również. I marzenia. Piękne marzenia.

Zaprzagnąłem wziąć Sonię w ramiona. W tym momencie. Przytulić ją mocno do siebie. Ze śmiechem uwolniła się z moich objęć.

- Daj spokój, Fabio.

- Dobrze, dobrze.

I podniosłem ręce do góry na znak, że jej nie dotknę.

- Napijemy się ostatni raz i pójdziemy popływać w morzu, zgoda?

Chciałem ją zabrać na łódkę, żebyśmy się wykapali na głębokiej wodzie. Tu, gdzie byłem teraz. Dziwne, że zaproponowałem to Soni. Przecież ledwośmy się znali. A łódź to moja odludna wyspa. Moja samotność. Na łódź zabrałem tylko Lolę. Tamtej nocy, kiedy przyszła zamieszkać ze mną. No i ostatnio Fonfona z Honorine. Żadna inna kobieta nie zasłużyła na to, żebym ją wziął na łódkę. Nawet Babette.

- Już się robi - powiedział Hassan, kiedy mu dałem znak, żeby nam nalał jeszcze po jednym.

Grał Coltrane. Byłem kompletnie zalany, ale rozpoznałem *Out of This World*. Czternaście minut, które mogłyby trwać całą noc. Hassan pewnie niedługo zamknie bar, uprzytomniłem sobie. Zawsze nastawiał płytę Coltrane'a, żeby towarzyszył każdemu z klientów w drodze do miłości. Do samotności. Coltrane na odchodne.

Nie byłem w stanie podnieść się z krzesła.

- Piękna jesteś, Soniu.

- Spiłeś się, Fabio.

Roześmialiśmy się.

Szczęście. Szczęście jest zawsze możliwe.

Kiedy wszedłem do domu, dzwonił telefon. Była druga dziesięć. Co za kretyn ośmiela się dzwonić o tej porze! Nie podniosłem słuchawki. Ten z drugiej strony linii zrezygnował.

Cisza. Nie chciało mi się spać. Honorine zostawiła w kuchni kartkę opartą o kamionkę, w której pichciła swoje potrawy. „Zupa z bazylii. Nawet zimna smakuje. Niech pan jednak coś zje. Całuję mocno. Fonfon też całuje”. Na wszelki wypadek zostawiła obok trochę tartego sera na talerzyku.

Zupę z bazylii przyrządza się na tysiące sposobów. W Marsylii każdy mówi: „Moja matka robiła to tak...” Za każdym razem zupa ma inny smak, w zależności od tego, jakie się do niej włoży jarzyny. A przede wszystkim w zależności od tego, ile się weźmie czosnku i bazylii, a potem ile się doda przecieru z pomidorów sparzonych w wodzie, w której gotowały się jarzyny.

Zupa z bazylii w wersji Honorine nie miała sobie równych. Biała i czerwona fasola, zielona fasolka szparagowa, kilka kartofli i makaron. Gotowała to wszystko na małym ogniu przez cały ranek. Potem w drewnianym moździerzu ucierała czosnek z listkami bazylii i nie wolno było jej

wtedy przeszkadzać. „Jak pan będzie sterczał nade mną i gapił się jak sroka w gnat, to nic z tego nie wyjdzie”.

Ostrożnie postawiłem kamionkę na ogniu. Odrzewana zupa jest jeszcze lepsza. Zapaliłem papierosa i nalałem sobie czerwonego wina. Bandol Tempier 1991. Ostatnia moja butelka tego rocznika. Może najlepszego.

Czy Sonia zwierzyła się ze wszystkiego Honorine i Fonfonowi? Czy powiedziała im, że jest samotną matką? Czy wspominała o synku? Jak się domyśliła, że źle mi na świecie? Powiedziała Honorine, że jestem nieszczęśliwy. Na pewno nic jej nie mówiłem o Loli. Ale opowiadałem o sobie, i to dużo. O tym, jak żyłem po powrocie z Dżibuti i jak zostałem gliniarzem.

Lola to mój dramat, ale nie moje nieszczęście. Może odeszła z powodu mojego sposobu życia. Czy raczej mojego myślenia o życiu. Za długo żyję bez wiary w życie. Czy dlatego pograżyłem się w nieszczęściu, nawet tego nie zauważając? Czy uwierzyłem, że drobne codzienne przyjemności wystarczą do szczęścia, i dlatego zrezygnowałem z moich marzeń, prawdziwych marzeń? A tym samym skreśliłem przyszłość? Nie ma przede mną jutra, nie spodziewam się świtu, który teraz właśnie wstawał. Nigdy nie pływałem statkiem po morzach. Nigdy nie wyjechałem na drugi koniec świata. Zostałem tutaj, w Marsylii. Przez wierność dla przeszłości, której nie ma. Przez wierność dla rodziców. Dla zmarłych przyjaciół. Każda nowa śmierć bliskiej osoby ciążyła mi jak ołów. Ani się ruszyć z miejsca, ani uwolnić głowy. Byłem więźniem tego miasta. Nawet do Włoch nigdy się więcej nie wybrałem, do Castel San Giorgio...

Może pojechałbym z Sonią i Enzem w Abruzzi? Może zawiózłbym ją przy okazji - albo ona by mnie do tego namówiła - do Castel San Giorgio, aby pokochali tę piękną krainę, która jest przecież moja. Tak samo moja jak miasto, w którym się urodziłem.

Zjadłem talerz lekko ciepławej zupy; właśnie taką lubię. Honorine znów przeszła samą siebie. Skończyłem wino. Byłem gotów do snu. Na spotkanie z koszmarami. Z tańczącymi w mojej głowie obrazami śmierci. Kiedy się obudzę, pójde się zobaczyć z dziadkiem Attiliem. I z Enzem. Powiem im: „Jestem ostatnim człowiekiem, z którym się Sonia spotkała. Nie jestem pewien, ale chyba mnie polubiła. Ja też ją polubiłem”. Może dobrze będzie to powiedzieć i dobrze usłyszeć, nawet jeśli na nic się to nie zda.

Telefon znów się rozdzwonił.

Ze złością podniosłem słuchawkę.

- Kurwa mać! - wrzasnąłem.

- Montale - odezwał się męski głos.

Paskudny głos, już go wczoraj dwukrotnie słyszałem. Zimny mimo lekkiego włoskiego akcentu.

- Montale - powtórzył.

- Tak.

- Ta dziewczyna, Sonia, to żebyś zrozumiał, że z nami nie ma żartów.

- Co?! - ryknąłem.

- To dopiero początek, Montale. Początek. Trochę jesteś głuchy. Trochę jesteś tępy. Nie przestaniemy, póki nie znajdziesz tej zadymiary. Słyszysz?

- Skurwiele! - wrzeszczałem w słuchawkę. - Sukinsyny! Co za ścierwo z ciebie!

Cisza po drugiej stronie. Ale mój rozmówca nie odłożył słuchawki. Kiedy mi zabrakło tchu, znów się odezwał:

- Będziemy po kolei likwidować twoich przyjaciół, Montale. Jednego za drugim. Póki nie znajdziesz tej małej Bellini. Jeśli się nie pośpieszysz, to pożałujesz, że jeszcze żyjesz. Masz wybór, jak widzisz.

- Okay - powiedziałem.

Czułem się zupełnie wypompowany. Twarze moich przyjaciół migały mi przed oczami. Honorine i Fonfon. No nie, zawyłem w duchu, tylko nie to.

- Okay - powtórzyłem cicho.

- Zadzwonimy wieczorem.

Odłożył słuchawkę.

- Zabiję cię, ty popaprańcu, zabiję! Zabiję! - wrzasnąłem.

Odwróciłem się i ujrzałem Honorine. Stała z założonymi rękami, miała na sobie szlafrok, który jej kupiłem na Gwiazdkę. Patrzyła na mnie z lękiem w oczach.

- Myślałam, że dręczy pana koszmary sen. Tak pan krzyczał.

- Koszmary są tylko w życiu - powiedziałem.

Znów czułem nienawiść. A wraz z nią cuchnący odór śmierci.

Wiedziałem, że będę musiał zabić tego typu.

Rozdział szósty,
w którym tajemna miłość
łączy nas z miastem

Obudził mnie telefon. Dziewiąta dziesięć. Cholera! Telefon nigdy tyle nie dzwonił w tym domu. Podniosłem słuchawkę przygotowany na najgorsze. Od samego tego gestu oblałem się potem. Było już gorąco. Najmniejszego podmuchu, choć wszystkie okna otwarte.

- Słucham - burknąłem.

- Dzień dobry, mówi komisarz Pessayre. Zawsze pan taki zły rano?

Przyjemny miała głos. Niski, lekko grasejujący.

- To żeby ostudzić zapal sprzedawców kuchenek Vogica!

Roześmiała się gardłowym śmiechem. Pewnie pochodzi z południowo-zachodniej Francji. Gdzieś z tamtych stron.

- Możemy się spotkać dziś przed południem?

Ten sam głos - ciepły, ale niedopuszczający sprzeciwu. Odpowiedź musi brzmieć: tak. I na pewno przed południem.

- Coś nie gra?

- Nie, nie... Sprawdziliśmy pańskie zeznania. I pański rozkład dnia. Nie jest pan podejrzany, bez obawy.

- Dziękuję.

- Chciałabym porozmawiać z panem... o tym i owym.

- Skoro to zaproszenie, to nie ma problemu! - odpowie
działem sztucznie rozbawionym tonem.

Nie roześmiała się tym razem. Dobrze, że nie dała się
nabrać. Silna kobieta, a ponieważ nie wiadomo, jak się
sprawy potoczą, lepiej wiedzieć, na kogo mogę liczyć. Na
policji, ma się rozumieć.

- O jedenastej.

- U pani w biurze?

- Nie sędzę, żeby to panu szczególnie odpowiadało.

- Rzeczywiście, wolałbym gdzie indziej.

- W forcie Saint-Jean? Możemy się trochę przejść, jeśli
ma pan ochotę.

- Bardzo lubię to miejsce.

- Ja też.

Pojechałem wzdłuż Corniche, żeby nie tracić morza z
oczu. Są dni, kiedy nie jestem w stanie jechać do centrum
inną drogą. Kiedy potrzebuję, by miasto wyszło mi naprze-
ciw. Niby ja się ruszam, ale miasto samo się zbliża. Gdyby
to było możliwe, wjeżdżałbym do Marsylii tylko od strony
morza. Za każdym razem, gdy mijam łuk Malmousque i
wjeżdżam do portu, doznaję wzruszenia. Czuję się jak
Hans, marynarz z powieści Edouarda Peissona. Albo jak
Cendrars wracający z Panamy. Albo jak Rimbaud, „nowy
anioł, który wczoraj rano wylądował w porcie”. Wciąż na
nowo przeżywam tę chwilę, kiedy przed zachwyconymi
oczami Protisa otworzył się widok na zatokę.

Tego ranka miasto było przejrzyste. Różowo-niebieskie
w znieruchomiałym powietrzu. Już gorącym, ale jeszcze nie
lepkim. Marsylia emanowała światłem. Klienci na tarasie La
Samaritaine beztrudno pili to światło wraz z ostatnią kroplą
kawy na dnie filiżanki. Błękit dachów, różowość morza.
Albo odwrotnie. Aż do południa. Potem słońce na kilka
godzin tłumiło wszystko inne. I cień, i światło. Miasto

stawało się nieprzejrzyste. Białe. O tej porze Marsylia pachniała anyżkiem.

Mnie też zresztą zachciało się pić. Zimny pastis na ocienionym tarasie. Na przykład u Ange'a, na place des Treize-Coins w Panier, mojej starej dzielnicy. Regularnie stołowałem się u niego, kiedy byłem gliniarzem.

- Tutaj nauczyłem się pływać - powiedziałem, pokazując palcem wejście do portu.

Uśmiechnęła się. Spotkaliśmy się u stóp fortu Saint-Jean. Podeszła do mnie zdecydowanym krokiem. Z papierosem w ustach. W dżinsach i podkoszulku, jak wczoraj. Ale tym razem białych. Miedziane włosy zebrane na karku. Wesołe błyski w orzechowych oczach. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat, ale miała pewnie z dziesięć więcej. Pani komisarz.

Pokazałem palcem przeciwległy brzeg.

- Żeby być mężczyzną, trzeba było przepłynąć tam i z powrotem. I udawać, że się podrywa dziewczyny.

Znów się uśmiechnęła. Zauważyłem, że robią się jej dwa śliczne dołeczki na policzkach.

Przed nami trzy pary emerytów o ogorzalej skórze. Szykowali się do skoku do morza. Starzy wyjadacze. Kąpią się tu, nie na plaży. Pewnie przez wierność wobec własnej młodości. My też całymi latami przychodziliśmy tutaj pływać z Ugim i Manu. Lola rzadko wchodziła do wody, ale przynosiła nam kanapki. Kładliśmy się na płaskich kamieniach, żeby obeschnąć na słońcu, i słuchaliśmy, jak czytała na głos wiersze Saint-Johna Perse'a z tomu *Wygnanie*. Swoje ulubione.

Wszystko, co ma się narodzić, drętwieje na wschodzie świata,

każde rodzące się ciało raduje się w ogniach poranku!

I już oto przez świat niesie się wielka wrzawa, jak bunt istnienia...

I nie zamilknie, aż zrzucę z siebie całe poddaństwo
człowiecze*

* Przekład Adama Wodnickiego.

Emerycy wskoczyli do wody - kobiety miały białe czepki na głowach - i popłynęli w stronę Pharo. Spokojnym kraulem, bez szpanowania. Nikogo już nie musieli olśnić. Olśniewali samych siebie.

Śledziłem ich wzrokiem. Dałbym głowę, że przychodzili tutaj, kiedy mieli po szesnaście, siedemnaście lat. Trzech kumpli i trzy kumpelki. Zestarzeli się razem. Czy jest większe szczęście niż czuć słońce na skórze? Życie tutaj to nic innego. Wierność najprostszym gestom.

- Lubi pan podrywać dziewczyny?

- Za stary jestem - odpowiedziałem możliwie najpoważniejszym tonem.

- Ach tak? Nie wydaje mi się - odparła równie poważnie.

- Jeśli ma pani na myśli Sonię...

- Nie. Mam na myśli to, jak pan na mnie patrzy. Nie-wielu mężczyzn zachowuje się tak bezpośrednio.

- Mam słabość do pięknych kobiet.

Roześmiała się na cały głos. Ten sam śmiech co w telefonie. Szczery i serdeczny. Jak kaskada.

- Nie zaliczam siebie do tych, które określa się mianem pięknych kobiet.

- Wszystkie kobiety tak mówią, póki ich ktoś nie uwiedzie.

- Widzę, że zna się pan na rzeczy.

Byłem zakłopotany, że rozmowa przybrała taki obrót. „Co ty wygadujesz!” - powiedziałem sobie. Przyglądała mi się uważnie, aż poczułem się niezręcznie.

- Coś niecoś wiem na ten temat. Przejdziemy się, pani komisarz?

- Heleno. Tak, chętnie.

Doszliśmy brzegiem morza aż na cypel przed portem Joliotte, naprzeciwko latarni morskiej Sainte-Marie. Tak samo jak ja lubiła to miejsce, skąd widać statki i promy wcho-

dzące do portu. Tak samo jak mnie niepokoiły ją projekty związane z przebudową portu. Radni i technokraci mieli tylko jedno słowo na ustach: Euromediterranee. Wszyscy, nawet ci, co się tutaj urodzili, jak obecny mer, mieli oczy utkwione w Europę, Północną Europę, ma się rozumieć. Ze stolicą w Brukseli.

Marsylia ma przyszłość, pod warunkiem że zrezygnuje ze swej przeszłości. Tak nam klarowali. A im częściej mówili o przebudowie portu, tym głośniej krzyczeli, że najwyższy czas skończyć z portem takim, jakim jest dzisiaj. Symbolem dawnej chwały. Nawet marsylscy dokerzy, skądinąd twardziele, w końcu się z tym pogodzili.

Wyburzy się więc hangary. J3. J4. Zaprojektuje się nowe nadbrzeże. Przebiją tunele. Stworzy drogi szybkiego ruchu. Esplanady. Cała ogromna połać miejskiej zabudowy, od place de la Joliotte po dworzec Saint-Charles, zostanie przetworzona. I przemodeluje się pejzaż nadmorski. Na tym polegał ten nowy wielki projekt. Nowy wielki priorytet.

To, co pisano na ten temat w gazetach, mogło wtrącić każdego marsylczyka w najgłębszą rozterkę. Jeśli chodzi o cztery portowe baseny z setką stanowisk przy nadbrzeżu, mówiono o ich „magicznej operatywności”. Dla technokratów było to równoznaczne z chaosem. Bądźmy realistami, tłumaczyli, trzeba skończyć z „tym czarującym, nostalgicznym reliktem”. Pamiętam, jak mnie rozśmieszyło, kiedy w poważnym skądinąd piśmie „Marseille” przeczytałem, że Marsylia „dzięki kontaktom ze światem zewnętrznym zaczerpnie ze społecznych i gospodarczych korzeni swojej historii projekt nowego, godnego centrum miasta”.

- Masz, przeczytaj - powiedziałem do Fonfona.
- Kupujesz te idiotyzmy? - spytał, oddając mi pismo.
- Ze względu na opracowanie dotyczące dzielnicy Pannier. To przecież cała nasza historia.
- Historii to my już nie mamy, mądralo. A co z niej jeszcze zostało, to nam wsadzą w tyłek, mówiąc łagodnie.

- Masz, spróbuj tego.

Nalałem mu kieliszek białego tempiera. Była ósma. Siedzieliśmy na tarasie jego baru. Przed nami na półmisku cztery tuziny jeży morskich.

Fonfon napił się, cmoknął i pochwalił:

- Pierwszorzędne, skąd je masz?

- Mam dwa kartony. Sześć butelek czerwonego rocznik 1991. Sześć czerwonego rocznik 1992. Sześć różowego i sześć białego rocznik 1995.

Zaprzyjaźniłem się z Lulu, właścicielem winnicy w Plan du Castellet Popijając jego wino, rozmawialiśmy o literaturze. O poezji. Recytował z pamięci wiersze Louisa Brauquiera. Z tomu Przygodny bar. I z Wolności mórz.

Jestem jeszcze daleko, jeszcze mnie stać na dzielność,

Ale nadejdzie dzień, kiedy się ugnę pod twoim wiatrem...

Czy technokraci przysłani z Paryża czytali kiedyś Brauquiera? A ich doradcy od pejzażu? A Gabriela Audisio czytali? Toursky'ego? Geralda Neveu? Czy wiedzą, że pewien mierniczy nazwiskiem Jean Ballard założył tutaj w 1943 roku najpiękniejsze pismo literackie tego stulecia i że Marsylia promieniowała na wszystkie statki świata i wszystkie porty świata bardziej dzięki „Cahiers du Sud” niż dzięki handlowi?

- Wracając do tych idiotyzmów - podjął Fonfon - to coś ci wyjaśnię. Jak ci mówią o godnym centrum miasta, to możesz być pewien, że to znaczy, że wszyscy mają się wynosić. Arabowie, Malgasze, Murzyni wynocha! Wszystko, co się wyróżnia, won! I bezrobotni, i biedni...

Mój stary druh Mavros, który zarabia na życie, ucząc boksu w swojej sali na wzgórzu Saint-Antoine, mówił mniej więcej tak: „Ilekcroć ktoś ci truje o szlachetności, zaufaniu i honorze, to spojrz za siebie, a niemal na pewno zobaczysz chuja, który cię chce wyruchać”. Nie uważałem,

żeby to było takie oczywiste i nieraz się o to kłóciliśmy z Mavrosem.

- Przesadzasz, Fonfon.

- Obym się mylił! Ale co tam, zamiast opowiadać głupstwa, nalej jeszcze po jednym.

Przyszłość marsylskiego portu niepokoiła Helenę Pessayre nie mniej niż mnie.

- Wie pan, my tu na Południu, w Marsylii... nie mamy najmniejszych szans. Należymy do tego, co technokraci nazywają „niebezpiecznymi klasami” jutra.

Wyjęła z torebki książkę i podała mi ją.

- Czytał pan to?

Kredyty bez granic, świecka religia Banku Światowego, autorzy: Sandra George i Fabrizio Sabelli.

- Ciekawe?

- Pasjonujące. Wyjaśnia po prostu, że teraz, gdy nastąpił koniec zimnej wojny i Zachód troszczy się głównie o zintegrowanie bloku wschodniego - w dużej mierze ze szkodą dla Trzeciego Świata - pojawiła się nowa wersja mitu niebezpiecznych klas: przeniesiona na Południe i obejmująca imigrantów z Południa na Północ.

Usiedliśmy na kamiennej ławce obok starego Araba, który zdawał się drzemać. Na jego wargach igrał uśmiech. Niżej, na skałkach, dwaj wędkarze, pewnie bezrobotni albo na zasiłku, wpatrywali się w spławiki.

Przed nami: morze. Bezkresny błękit.

- Dla północnej Europy Południe jest siłą rzeczy chaotyczne, radykalnie inne. A więc niebezpieczne. Myślę, to znaczy zgadzam się z autorami książki, że reakcją państw północnych będzie zbudowanie nowoczesnych limes. Wie pan, jakby rekonstrukcja granicy między cesarstwem rzymskim a barbarzyńcami.

Aż gwizdnąłem z wrażenia. Jestem pewien, że Fonfon i Mavros polubiliby tę kobietę.

- Drogo zapłacimy za to nowe wyobrażenie świata. Mówiąc my, mam na myśli wszystkich, dla których nie ma pracy, którzy żyją niemal w nędzy, a także te dzieciaki z dzielnic północnych, włóczące się bez celu po mieście.

- Sądziłem, że to ja jestem pesymistą - powiedziałem ze śmiechem.

- Pesymizm do niczego nie prowadzi, Montale. Ten nowy świat jest zamknięty. Skończony, uporządkowany, stabilny. Nie ma w nim dla nas miejsca. Dominuje nowe myślenie. Judeo-chrześcijańsko-helleńsko-demokratyczne. I nowy mit. Mit nowych barbarzyńców. Czyli nas. Jest nas mrowie - niezdiscyplinowanych i oczywiście koczujących nędzarzy. Samowolnych, fanatycznych i gwałtownych. Racja i prawo są po drugiej stronie granicy. Bogactwo również.

Jej oczy posmutniały. Wzruszyła ramionami, wstała z ławki. Z rękami w kieszeniach dzinsów podeszła do wody. I stanęła tam, milcząc, zapatrzona w horyzont. Podszedłem do niej. Pokazała podbródkiem otwarte morze.

- Tędy pierwszy raz przybyłam do Marsylii. Drogą morską. Miałam sześć lat i nigdy nie zapomnę, jak piękne było to miasto o świcie. O Algierze nie zapomniałam, ale nigdy tam nie wróciłam. Był pan w Algierze?

- Nie. Mało podróżowałem.

- Tam się urodziłam. Przez całe lata walczyłam o to, żeby mnie skierowano do pracy tutaj, w Marsylii. Marsylia to nie Algier. Ale jakbym widziała stąd tamten port. Ja też nauczyłam się pływać, skacząc do wody z nadbrzeża. Żeby zaimponować chłopakom. Wypływałyśmy daleko w morze, odpoczywałyśmy przy bojach. Chłopcy pływali wokół nas i przekrzykiwali się: „Ej, ty, widziałeś tę ładną mewkę?” Wszystkie byłyśmy ładnymi mewkami.

Odwróciła się do mnie. W jej oczach był blask minionego szczęścia.

- Często tajemna miłość... - zacząłem.

- ...łączy nas z miastem - dokończyła z uśmiechem.
- Też lubię Camusa.

Podałem jej papierosa, potem ogień. Zaciągnęła się głęboko, po czym z wolna wypuściła dym, odrzuciwszy głowę w tył. Znowu uważnie mi się przyjrzała. Pomyślałem, że teraz wreszcie się dowiem, dlaczego chciała się ze mną spotkać.

- Ale przecież nie po to mnie tu pani przyprowadziła, żeby o tym mówić?

- To prawda, Montale. Chcę, żeby mi pan opowiedział o mafii.

- O mafii?

Świdrowała mnie oczami. Helena znowu przeistoczyła się w panią komisarz Pessayre.

- Nie chce się panu pić? - spytała.

Rozdział siódmy,
w którym bywają grzechy tak straszne,
że na nic skrucha

Ange mnie ucałował.

- Myślałem, kurwa, że już nigdy się nie zjawisz!

Puścił do mnie oko na widok Heleny, która usiadła na tarasie przy stoliku pod wspaniałym platanem.

- Śliczna kobieta, gratuluję.

- A w dodatku komisarz.

- No, nie gadaj!

- Słowo daję! Sprowadzam ci nowych klientów. - Roześmiałem się.

- Och, chłopie!

Helena zamówiła mauresgue*, ja pastis.

- Zjecie coś? - spytał Ange.

Spojrzałem pytająco na Helenę. Może pytania, jakie mi chce zadać, nie pozostawiają miejsca na skromne, lecz wyśmienite tutejsze menu.

- Mam pyszne rougets - zaproponował Ange. - Lekko grillowane, do tego sałata po cygańsku. A na przystawkę sardynki zapiekane w cieście. Nie ma jak ryby w taki upał.

- Zgoda - powiedziała Helena.

- Masz jeszcze różowe wino z Puy-Sainte-Reparate?

*Rodzaj anyżówki.

- No pewnie! Dam wam na początek karafkę.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Miałem wrażenie, że znam tę kobietę od zawsze. Błyskawicznie staliśmy się sobie bliscy. Od chwili, gdy wczoraj wieczorem uściśnęła moją dłoń. A nasza rozmowa na spacerze brzegiem morza jeszcze to poczucie bliskości wzmocniła.

Nie rozumiałem, co się ze mną dzieje. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin zafascynowały mnie dwie kobiety, tak różne, jak tylko to możliwe. Chyba za długo żyłem z dala od kobiet, z dala od miłości, po odejściu Loli. Sonia otworzyła wrota mego serca i teraz mógł do niego wejść, kto chciał. No, może nie pierwszy lepszy. Helena Pessayre na pewno nie była pierwsza lepsza.

- Słucham panią - powiedziałem.

- Czytałam o panu. W biurze. Oficjalne raporty. Był pan dwukrotnie zamieszany w sprawy dotyczące mafii. Pierwszy raz w wojnę między Zuccą a Batistim, po śmierci pańskiego przyjaciela Uga. Drugi raz z powodu płatnego mordercy Narniego, który zjechał do Marsylii robić tutaj porządki.

- I zastrzelił szesnastoletniego chłopca. Tak, wiem. To przypadek. No i?

- Do trzech razy sztuka.

- Nie rozumiem - odpowiedziałem z głupia frant, choć nie próbowałem strugać wariata.

Rozumiałem aż nadto dobrze, do czego pije. Zastanawiałem się, jakim sposobem tak szybko doszła do tego wniosku. Spojrzała na mnie surowo.

- Pan lubi udawać głupka, Montale?

- Dlaczego pani tak uważa? Bo nie rozumiem aluzji?

- To nie sadysta zabił Sonię, Montale. Ani żaden szaleńiec czy zapamiętały nożownik.

- Może jej mąż? - zasugerowałem najniewinniej w świecie. - To znaczy ojciec jej dziecka.

- Może, może...

Szukała oczami moich oczu, ale wlepiłem je w kieliszek.
Dla kurażu wypięłem go jednym haustem.

- Jeszcze jedną *mauresque*?

- Nie, dziękuję.

- Ange! - zawołałem. - Nalej mi jeszcze pastisu.

Kiedy przyniósł kieliszek do stolika, wróciła do tematu:

- Widzę, że ma pan w zwyczaju serwować zasupłane historie.

- Proszę posłuchać, Heleno...

- Komisarzu. Zadaje panu pytania komisarz prowadzący śledztwo w sprawie zabójstwa Soni De Luca. Matki ośmioletniego chłopca. Niezamężnej. Trzydziestoczteroletniej. Miała tyle lat co ja, Montale.

Nieznacznie podniosła głos.

- Oczarowała mnie w ciągu jednej nocy. I w pięć minut oczarowała moich najbliższych sąsiadów. Niewątpliwie musiała być czarującą kobietą.

- Co pan o niej wie poza tym?

- Nic.

- Psiakrew! - krzyknęła.

Ange postawił przed nami sardynki zapiekane w cieście.
Przyglądał nam się bacznie.

- Smacznego - powiedział.

- Dziękuję.

- Proszę mnie zawołać, jeśli będzie pani dokuczał.

Uśmiechnęła się.

- Smacznego - ośmieliłem się odezwać.

- Mhm.

Przełknęła kęs, potem odłożyła nóż i widelec.

- Długo rozmawiałam przez telefon z Loubetem. Dziś rano, zanim do pana zadzwoniłam.

- Ach tak. Jak on się ma?

- Jak ktoś, kogo wsadzono do szafy. Zapewne tak, jak pan sobie wyobraża. Nawiasem mówiąc, ucieszyłby się, gdyby pan się do niego odezwał.

- Fakt, to niefajne z mojej strony. Zadzwońię do niego. No i co? Co o mnie opowiadał?

- Że jest pan upierdliwy. Że porządny, uczciwy facet z pana, ale strasznie upierdliwy. Że jest pan zdolny ukrywać informacje przed policją, żeby ją wyprzedzić i załatwić swoje sprawy samemu, bez niczyjej pomocy.

- No, nieźle.

- A kiedy wreszcie jest pan gotów wyłożyć karty na stół, to robi się jeszcze większy burdel.

- Ach tak! - zdenerwowałem się.

Loubet miał oczywiście rację. Ale byłem uparty. Straciłem zaufanie do gliniarzy. Skorumpowani do szpiku kości, rasiści, karierowicze. Loubet był wyjątkiem. Takich gliniarzy jak on można było na palcach policzyć. W każdym mieście. Wyjątek potwierdzający regułę. Nasza policja jest republikańska.

Spojrzałem Helenie w oczy. Ale nie było już w nich załotności ani tęsknoty za minionym szczęściem. Ani śladu kobiecej łagodności, którą widziałem wcześniej.

- A nadużycia władzy, błędy, samowola, bicie, trupy? To się zdarza wam, nie mnie, prawda? Ja nie mam krwi na rękach.

- Ja też nie, Montale! Ani Loubet, o ile mi wiadomo! Niech pan przestanie! Czego pan szuka? Bawi się pan w supermana? Chce pan, żeby pana zabili?

Przypomniały mi się ofiary mafii, tak okrutnie zamordowane. Jeden z zabójców, Giovanni Brusca, własnymi rękami udusił jedenastoletniego chłopca. Syna skruszonego bandyty, Santina di Matteo, z klanu Corleone. Brusca wrzucił później zwłoki chłopca do kadzi z kwasem. Zabójca Soni był pewnie z tej samej szkoły.

- Może i chcę - burknąłem. - Co to panią obchodzi?

- Obchodzi.

Przygryzła dolną wargę. Wyrwały się jej te słowa. Dreszcz mnie przebiegł, powiedziałem sobie, że mam jed-

nak szansę wybronić się w tej rozmowie. Bo w żadnym wypadku nie zamierzałem rozmawiać z panią komisarz Heleną Pessayre o mafii. O absurdalnym przypadku, który kosztował Sonię życie. Ani o telefonach od mordercy. A tym bardziej o ucieczce Babette. Przynajmniej na razie.

Nie, nikt mnie nie przekona. Nie zmienię postępowania. Będę jak zwykle robił to, co uważam za stosowne. I robił tak, jak chcę. Od tamtej nocy, kiedy zadzwonił ten skurwysyn, wyobrażałem to sobie bardzo prosto. Umówię się z mordercą i wpakuję mu magazynek w brzuch. Zmienacka. Nie podejrzewa przecież, by taki palant jak ja mógł wyciągnąć spluwę i go wykończyć. Zawodowi mordercy mają się za wielkich cwaniaków. Wydaje im się, że górują nad tłumem. Zabijając go, nie wyciągnę Babette z gówna, w jakie się wpakowała, ale będzie mi lżej na sercu.

Wczoraj po południu byłem pewien, że przywiozę Sonię do siebie do domu. Że zjemy śniadanie na tarasie i wypłyniemy łódką w morze, żeby się wykapać na głębokiej wodzie. Że Honorine przyjdzie zaproponować nam coś do zjedzenia na obiad, a potem na kolację. I że kolację zjemy we czwórkę.

Idylliczna wizja. Zawsze tak podchodzę do rzeczywistości. Próbuje ją wywindować na poziom swoich marzeń. Na poziom spojrzenia. Na wysokość człowieka. Szczęścia. Ale rzeczywistość jest jak trzcina. Nagina się, lecz nie łamie. Nigdy. Zza iluzji przeziera ludzkie draństwo. I śmierć. Śmierć, która na nas wszystkich patrzy.

Nigdy nie zabiłem człowieka. Ale dziś czułem się do tego zdolny. Mogę zabić. Albo zginąć. Zabić i zginąć. Bo zabić to też samemu zginąć. Dziś nie mam już nic do stracenia. Straciłem Lolę. Straciłem Sonię. Dwa szczęścia. Jedno znane. Drugie oczekiwane. Identyczne. Wszystkie miłości podążają tą samą drogą, którą wymyślają na nowo. Lola na nowo wymyśliła naszą miłość dzięki innej miłości. I ja dzięki Soni mogłbym na nowo wymyślić Lolę. Może.

Wszystko mi zobojętniało.

Przypomniał mi się wiersz Cesare Pavese: Przyjdzie śmierć i będzie miała twoje oczy. Oczy miłości.

Będzie tak, jakby grzech przestał być grzechem,
Jakbym znowu ujrział
W lustrze twarz zmarłego,
Jakbym słuchał zamkniętych ust.
Milcząc,zejdziemy w otchłań.

Rzecz jasna, Fonfon i Honorine nie wybaczyliby mi, gdybym zginął. Ale oni będą żyć dalej. Ich życie było pełne miłości, czułości, wierności. I nadal takie będzie. Ich życie nie było porażką. Natomiast moje... Pomyślałem sobie, że w końcu jedyny sposób, aby nadać sens własnej śmierci, to czuć wdzięczność za to, co się wydarzyło wcześniej.

A wdzięczny byłem nieskończenie.

- Montale.

Teraz odezwała się łagodniejszym głosem.

- Sonię zabił zawodowiec.

Helena Pessayre spokojnie mówiła to, co mi chciała powiedzieć.

- Zostawił podpis. Tylko mafia w taki sposób podrzy-
na człowiekowi gardło. Z prawa na lewo.

- Co pani może o tym wiedzieć? - powiedziałem ze znużeniem.

Ryby wjechały na stół i przywróciły mnie do prawdziwego życia.

- Pyszne - powiedziała po pierwszym kęsie. - Wiem dużo. Pisałam pracę dyplomową o mafii. To moja obsesja.

Miałem na końcu języka nazwisko Babette. Ona też miała obsesję na punkcie mafii. Mógłbym zapytać Helenę Pessayre, skąd się u niej ta obsesja wzięła. Spróbować zrozumieć, co kazało tej kobiecie zatruwać sobie młodość

analizowaniem mechanizmów mafii. Mógłbym też spróbować zrozumieć, jak Babette dała się wkręcić w mafijne tryby. Narażając życie. Życie własne i cudze. Ale tego nie zrobiłem. To, czego się domyślałem, budziło we mnie wstręt. Fascynacja śmiercią. Fascynacja zorganizowaną zbrodnią. Wolałem się zdenerwować.

- Kim pani jest? Skąd się pani wzięła? Gdzie pani chce zająć ze swoimi pytaniami i hipotezami? Do lamusa, jak Loubet?

Czułem narastający gniew. Gniew, który mnie ogarnia na myśl o tym całym skurwysyństwie.

- Nie ma pani nic innego do roboty? Nic, tylko grzebać się w gównie? Wlepić piękne oczy w zakrwawione trupy? Nie ma pani męża, żeby panią zamknął w domu? Nie ma pani dziecka, żeby się nim zająć? Do tego się sprowadza pani życie, żeby rozróżnić, kto jak komu poderznął gardło, mafia czy maniak seksualny? O to chodzi?

- Tak, to jest moje życie, nic innego.

Położyła dłoń na mojej dłoni. Jakbym był jej ukochanym. Jakby mi chciała powiedzieć: „Kocham cię”.

Nie, nie mogę jej zdradzić tego, co wiem. Jeszcze nie. Najpierw muszę odnaleźć Babette. Tak. Do tego czasu będę kłamał. Znajdę Babette, pogadamy, i dopiero wtedy zostawię całą sprawę Helenie Pessayre, nie wcześniej. Najpierw muszę wykończyć tego typa. Tego sukinsyna, który zabił Sonię.

Oczy Heleny wpatrywały się we mnie badawczo. Niezwykła kobieta. Ale zacząłem się jej teraz obawiać. Bałem się, że może mnie zmusić do mówienia. Bałem się też tego, do czego ta kobieta jest zdolna.

Nie powiedziała „kocham cię”, tylko po prostu:

- Loubet ma rację.

- Co jeszcze o mnie opowiadał?

- Że jest pan wrażliwy. Hiperwrażliwy. Romantyk z pana, Montale.

Cofnęła rękę i poczułem, co to jest pustka. Przepaść. Jej dłoń z dała od mojej. Zawrót głowy. Zaraz polecę głową w dół. Wszystko jej wyznam.

Nie. Najpierw muszę załatwić tego faceta.

- No więc? - spytała.

Najpierw zabić skurwysyna, o tak.

Wpakować mu w brzuch całą moją nienawiść.

Sonia.

I ta szalona nienawiść w środku. Roznosiło mnie.

- Co? - spytałem najbardziej lakonicznie.

- Ma pan kłopoty z mafią?

- Kiedy jest pogrzeb Soni?

- Kiedy podpiszę zezwolenie na pochówek.

- A kiedy ma pani zamiar to zrobić?

- Kiedy pan odpowie na moje pytanie.

- Nie!

- Tak.

Zderzyliśmy się spojrzeniami. Gwałt kontra gwałt. Prawda przeciwko prawdzie. Sprawiedliwość przeciwko sprawiedliwości. Ale miałem nad nią przewagę. Przewagę nienawiści. Pierwszy raz. Nawet nie mrugnąłem.

- Nie muszę pani odpowiadać. Wrogów mam na tony. W północnych dzielnicach. W pierdłu. W policji. W mafii też.

- Szkoda, Montale.

- Co szkoda?

- Pan wie, że są grzechy tak straszne, że na nic zda się skrucha.

- Dlaczego miałbym odczuwać skruchę?

- A może Sonia zginęła z pańskiej winy.

Serce podskoczyło mi w piersi. Jakby chciało uciec, ulotnić się. Powędrować tam, gdzie panuje pokój. O ile jest takie miejsce na ziemi. Helena Pessayre trafiła w sedno, w bolesne miejsce. Bo to mnie cały czas dręczyło. Właśnie to. Sonia zginęła przeze mnie. Przez to, że mnie zapragnęła

tamtej nocy. To ja ją rzuciłem pod nóż zabójcy. Poznaliśmy się dopiero co. A oni ją zabili, żebym zrozumiał, że z nimi nie ma żartów. Była pierwsza na liście. Wedle ich zimnej logiki, uczucia są stopniowalne. Sonia znajdowała się na dole drabiny. Honorine na samej górze. Fonfon szczebel niżej.

Muszę odnaleźć Babette. Najszybciej jak się da. I uspokoić się, przemówić sobie do rozumu, żeby jej nie udusić.

Helena Pessayre wstała od stołu.

- Była w moim wieku, Montale. Nie wybaczę panu.

- Czego?

- Jeśli pan kłamie.

Owszem, kłamałem. Czy dalej będę kłamał?

Zdecydowanym krokiem podeszła do kontuaru. Z portmonetką w ręce. Żeby zapłacić za obiad. Wstałem. Ange patrzył na mnie, nie rozumiejąc, co jest grane.

- Heleno...

Obejrzała się. Szybko, jak młoda dziewczyna. Na ułamek sekundy wyobraziłem ją sobie w młodości, w Algierze. Latem. Ładna mewka. Dumna. Wolna. Widziałem jej opalone ciało, mięśnie grające pod skórą, gdy wskakiwała do wody w porcie. I biegnące w ślad za nią spojrzenia mężczyzn.

Jak dzisiaj moje. Dwadzieścia lat później.

Nie powiedziałem więcej ani słowa, tylko patrzyłem na nią w milczeniu.

- Do szybkiego.

- Niewykłuczone - odpowiedziała ze smutkiem. - Cześć.

Rozdział ósmy,
w którym co się da zrozumieć,
to i da się wybaczyć

Czekał na mnie Georges Mavros. Ostatni przyjaciel, jaki mi pozostał. Ostatni z mojego pokolenia. Ugo i Manu zginęli. Inni przepadli nie wiedzieć gdzie. Tam, gdzie znaleźli pracę. Tam, gdzie spotkali kobietę. Większość w Paryżu. Czasami któryś dzwonił do mnie. Żeby powiedzieć parę słów o sobie. Uprzedzić, że wpadnie do mnie z rodziną, między dwoma pociągami, dwoma samolotami, dwoma statkami. Na szybki obiad albo kolację. Marsylia stała się dla nich miastem tranzytowym. Przystankiem po drodze. Z biegiem lat telefonów było coraz mniej. Życie zżerało przyjaźń. Jednych rozłożyło bezrobocie, innych rozwód. Nie liczę tych, których wykreśliłem z pamięci i z notesu z powodu ich sympatii dla Frontu Narodowego.

W pewnym wieku nie zawiera się już przyjaźni. Ma się wyłącznie kumpli. Ludzi, z którymi można miło spędzić czas. Zagrać w karty czy w bule. Tak mi mijały lata. Z nimi. Od urodzin do urodzin. Spotkania będące okazją do żarcia i picia. Do tańca. Dzieci rosły. Synowie przyprowadzali dziewczyny, śliczne do schrupania. Podrywały ojców swoich chłopaków i ich kumpli, igrając z męskim pożądaniem, tak jak to się robi, kiedy ma się piętnaście czy osiemnaście lat. Inne pary najczęściej plotkowały przy kielichu na temat

tego, kto z kim kogo zdradza. Przy takiej okazji nieraz jakaś para rozpadła się chwilowo.

Na jednym z takich wieczorków Mavros stracił Pascale. To było trzy lata temu, pod koniec lata. U Pierre'a i Marie, którzy mieli piękny dom na rue Douane w Malmosque i uwielbiali urządzać przyjęcia. Bardzo ich lubiłem oboje.

Zatańczyliśmy z Lolą kilka wspaniałych salsa. Juan Luis Guerra, Arturo Sandoval, Irakere, Tito Puente. Zzianiani, podnieceni tym, że tak długo tańczymy przyklejeni do siebie, zatrzymaliśmy się przy cudownym Benedición Raya Barretta.

Mavros stał sam. Podpierał ścianę z kieliszkiem szampana w ręku. Sztwywny.

- Wszystko gra? - spytałem.

Podniósł kieliszek, jakby chciał się ze mną stuknąć, i jednym haustem wypił do dna.

- Super.

Poszedł nalać sobie jeszcze jednego. Metodycznie zalewał pałę. Spojrzałem w ślad za jego spojrzeniem. Pascale, z którą żył od pięciu lat, siedziała w drugim kącie pokoju. Gorąco o czymś rozprawiała ze swoją starą przyjaciółką Joelle i z Benoit, marsylskim fotografem, który często się pokazywał na tych przyjęciach. Od czasu do czasu ktoś do nich podchodził, włączał się do rozmowy, po czym odchodził.

Przez chwilę obserwowałem tę trójkę. Pascale widziałem z profilu. Monopolizowała rozmowę, mówiąc coś gorączkowo, jak zawsze, kiedy czymś lub kimś się pasjonowała. Benoit przysunął się do niej tak blisko, że niemal się dotykali ramionami. Od czasu do czasu kładł rękę na oparciu krzesła, a Pascale, odrzuciwszy w tył długie włosy, kładła tuż obok swoją dłoń, lecz go nie dotykała. Było oczywiste, że się nawzajem uwodzą. Zastanawiałem się, czy Joelle zdaje sobie sprawę z tego, co jest grane na jej oczach.

Mavros umierał z pragnienia, żeby do nich dołączyć, ale nie ruszał się z miejsca, tylko pił. Samotnie, rozpaczliwie i metodycznie. W pewnej chwili Pascale zostawiła Joelle i Benoit, zapewne żeby pójść do toalety. Przeszła obok Mavrosa, nawet nie spojrzawszy na niego. Wracając, spostrzegła go wreszcie, podeszła i z uśmiechem na ustach spytała serdecznym tonem:

- Wszystko w porządku?
- Już mnie nie ma, co? - odpowiedział.
- Dlaczego tak mówisz?
- Przyglądam ci się od godziny, podchodzę do was, stoję tuż obok, żeby nalać sobie wina. A ty ani razu na mnie nie spojrziałaś. Jakby mnie już nie było. O to chodzi?

Pascale nie odpowiedziała. Odwróciła się do niego plecami i ruszyła z powrotem w stronę toalety. Żeby sobie popłakać. Bo rzeczywiście, w jej sercu już go nie było. Ale nie przyznała się jeszcze do tego sama przed sobą. Aż do tej chwili, kiedy Mavros powiedział jej to wprost.

Miesiąc później Pascale nie wróciła na noc do domu. Mavros wyjechał wtedy na dwa dni do Limoges, żeby omówić szczegóły meczu bokserskiego, do którego wystawił jednego ze swoich wychowanków. W nocy dzwonił do Pascale co godzina. Był niespokojny. Bał się, że przydarzyło jej się coś złego. Wypadek. Napad. Nagrywał się raz za razem na automatycznej sekretarce, którą odsłuchiwał na odległość. Nazajutrz usłyszał nagraną wiadomość od Pascale: „Nic mi nie jest. Nie jestem w szpitalu. Nic złego się nie stało. Nie wróciłam na noc do domu. Jestem w biurze. Zadzwoń, jeśli chcesz”.

Kiedy Pascale odeszła od Mavrosa, spędziliśmy razem kilka nocy, pijąc, wspominając, gadając o życiu, miłości i śmierci. Mavros czuł się zerem, nie umiałem mu pomóc odzyskać wiary w siebie.

Od tego czasu żył samotnie.

- Wiesz, czasem budziłem się w nocy i w świetle dobiegającym zza żaluzji wpatrywałem się godzinami w Pascale. Często spała na boku, zwrócona twarzą do mnie, z dłonią pod policzkiem. Mówiłem sobie: „Jest piękniejsza niż dawniej. Bardziej łagodna”. Byłem szczęśliwy, patrząc na jej twarz w nocy.

Mnie także twarz Loli napępiała szczęściem. Najbardziej lubiłem poranki. Przebudzenie. Musnąć wargami jej czoło, potem wsunąć dłoń pod policzek, pogłaskać ją po szyi. Aż wyciągnie rękę, położy mi dłoń na karku i przyciągnie mnie do siebie. Na dobry początek dnia.

- Rozstania zawsze są bolesne - powiedziałem Mavrosowi, kiedy zadzwonił do mnie po wyjeździe Loli. - Wszyscy cierpią. Wszystkich to boli.

Tylko on do mnie zadzwonił. Prawdziwy przyjaciel. Tamtego dnia postawiłem krzyżyk na moich koleśkach. I na ich zabawach. Powinienem być to wcześniej zrobić. Ponieważ od Mavrosa też stopniowo się odsunęli. Przestali go zapraszać. Wszyscy lubili Pascale. I Benoit też lubili. No i wiadomo, że ludzie wolą szczęśliwe romanse. Takie, co nie przysparzają kłopotów w życiu codziennym. Nikt nie myśli o tym, że i jemu może się kiedyś przydarzyć coś podobnego.

- Tak - odpowiedział. - Tylko że jak kochasz kogoś innego, to masz ramię, na którym możesz złożyć głowę, rękę, która cię pogłaszcze... Wiesz, Fabio, nowa miłość oddała cię od cierpienia tego, kogo porzuciłeś.

- Nie wiem.

- Ja wiem.

Rozstanie z Pascale wciąż sprawiało mu ból. Jak mnie odejście Loli. Ale próbowałem nadać jakiś sens jej decyzji. Ponieważ wszystko musi mieć swój sens. Lola nie zostawiła mnie bez powodu. W jakiś sposób dziś rozumiałem lepiej i więcej, a co się da zrozumieć, to i da się wybaczyć.

- Bijemy się?

Nic się tu nie zmieniło. Czyściutko jak zawsze. Jedynie afisze na ścianach nieco pożółkły. Ale Mavros był do nich przywiązany. Przypominały mu, że jest dobrym bokserem. Dobrym trenerem również. Dziś nie organizował już meczów. Dawał lekcje chłopakom z dzielnicy. Merostwo mu pomogło, dostał małą subwencję na utrzymanie sali. Wszyscy w dzielnicy woleli, żeby młodzi raczej trenowali boks, niż podpalali samochody albo wybijali szyby.

- Za dużo palisz, Fabio - powiedział. - I tu (uderzył mnie lekko w brzuch) jesteś trochę za miękki.

- A tu? - walnąłem go pięścią w podbródek.

- Też za miękko - roześmiał się. - No, chodź!

Na tym ringu załatwiliśmy kiedyś sprawę pewnej dziewczyny. Mieliśmy po szesnaście lat. Ona miała na imię Ofelia. Obaj się w niej kochaliśmy. Ale lubiliśmy się z Mavrosem. I nie chcieliśmy się pokłócić z powodu dziewczyny.

- Walczymy na punkty. Trzy rundy - powiedział wtedy.

Sędziował jego ojciec, wyraźnie rozbawiony. To on, z pomocą towarzystwa Sport i Kultura, bliskiego CGT*, założył tę szkołę. Mavros był ode mnie lepszy. W trzeciej rundzie zapędził mnie do rogu i z całej siły zaczął okładać kułakami. Ale byłem bardziej rozjuszony od niego. Zależało mi na tej Ofelii. Złapałem oddech, wyrwałem się z rogu i wyciągnąłem go na środek ringu. Udało mi się wlepić mu całą serię ciosów. Czuję na ramieniu jego ciężki oddech. Byliśmy równie silni. Wściekłość kompensowała mi brak techniki. Tuż przed dzwonkiem przyładowałem mu w nos. Mavros stracił równowagę i oparł się o sznury. Zadawałem ciosy resztką sił. Jeszcze kilka sekund, a rozłożyłby mnie jednym hakiem.

* Największa we Francji centrala związkowa.

Ojciec Mavrosa uznał mnie za zwycięzcę. Uściskaliśmy się na zakończenie. A w piątek wieczór Ofelia powiedziała, że woli wyjść z nim niż ze mną.

Mavros ożenił się z nią. Miała dwadzieścia lat. On dwadzieścia jeden i piękną karierę w wadze średniej przed sobą. Zmusiła go jednak do porzucenia ringu. Nie znosiła boksu. Został kierowcą ciężarówki aż do dnia, kiedy się zorientował, że Ofelia go zdradzała, ilekroć wyruszał w drogę.

Dwadzieścia minut później przerwałem walkę. Krótki oddech. Słabe ręce. Wyplułem ochraniacz zębów w rękawicę i usiadłem na ławce, żeby odpocząć. Głowa mi opadła, byłem zbyt wykończony, żeby ją trzymać prosto.

- To jak, czempionie, rezygnujesz?

- Idź do diabła!

Roześmiał się.

- Teraz prysznic i zimne piwo.

Na to właśnie miałem ochotę. Prysznic i piwo.

Niespełna godzinę później siedzieliśmy na tarasie baru Minimes przy chemin Saint-Antoine. Przy drugim piwie opowiedziałem Mavrosowi o wszystkim, co się wydarzyło. Od mego spotkania z Sonią do obiadu z Heleną.

- Muszę odszukać Babette.

- I co potem? Owiniesz ją w ozdobny papier i odeślesz tym facetom, czy jak?

- Nie wiem, co potem, Georges. Ale muszę ją znaleźć. Żeby chociaż się dowiedzieć, jak dalece niebezpieczna jest ta cała historia. Może można się z nimi jakoś dogadać.

- Akurat! Moim zdaniem, nie pogadasz z typami, którzy są zdolni poderżnąć dziewczynie gardło tylko po to, żeby cię zmusić do działania.

Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Jakbym się kręcił na jałowym biegu. Śmierć Soni nie pozwalała mi spo-

kojnie się zastanović. Jedno było pewne: nawet jeśli mam żal do Babette, że przez nią to całe nieszczęście, to przecież nie wydam jej w ręce mafii. Nie chcę, żeby ją zabili.

- Może jesteś na ich liście - powiedziałem żartem.

Taka ewentualność przyszła mi nagle do głowy i dreszcz mnie przeszedł.

- Nie sądzę. Jeśli ci faceci zaczną zabijać ludzi wokół ciebie, będziesz miał gliny na karku. I nie dasz rady zrobić tego, czego oczekują.

To się trzymało kupy. Zresztą skąd mogą wiedzieć, że Mavros jest moim przyjacielem? Przychodziłem do niego trenować, tak jak wpadałem na kielicha do Hassana. Czy Hassana też sprzątną? No nie, Mavros ma rację.

- Masz rację - przyznałem.

Ale zobaczyłem w jego oczach, że łatwiej jest coś powiedzieć, niż w to uwierzyć. Mavros się nie bał. Mimo to spojrzenie miał niespokojne. Bo nawet jeśli nie lękamy się śmierci, to wolimy, żeby nas dopadła raczej później niż wcześniej. I najlepiej w łóżku, we śnie.

- Wiesz co, Georges? Odłóżmy treningi na później. Weź kilka dni urlopu. Pogoda sprzyja. Idź na tydzień w góry. Przewietrzysz się.

- Nie będę się wietrzył. Nie mam ochoty. Powiedziałem ci, jak ja to widzę, Fabio. Najgorsze, co się może zdarzyć, to że się uweznią na ciebie. I mocno cię pokiereszują. A wtedy wolałbym być w pobliżu. Okay?

- Okay. Tylko proszę, trzymaj się od tego z daleka. To ciebie nie dotyczy. Babette to moja sprawa. Ledwie ją znasz.

- Wystarczająco. To twoja przyjaciółka.

Spojrzał na mnie. Wyraz jego oczu się zmienił. Czarne jak węgiel, teraz zmatowiały. Zamiast blasku gdzieś na dnie wielkie znużenie.

- Jeszcze coś ci powiem - dodał. - Co mamy do stracenia? Daliśmy się wydymać w tym kurewskim życiu.

Kobiety nas porzuciły. Nie postaraliśmy się o dzieci. Więc co zostaje? Przyjaźń.

- No właśnie. Zbyt cenna rzecz, żeby ją rzucić tym hienom na pożarcie.

- Dobra, stary. - Poklepał mnie po ramieniu. - Wypijemy jeszcze po jednym i spadam. Mam randkę z żoną zawiadowcy stacji.

- Nie gadaj!

Roześmiał się. Cały Mavros czasów naszej młodości! Czupurny, muskularny, silny, pewny siebie. I zdobywczy.

- Pewnie, że nie. Ona pracuje na poczcie na sąsiedniej ulicy. Pochodzi z Reunionu. Mąż zostawił ją samą z dwójką dzieci. Wieczorami bawię się w tatusia, mam zajęcie.

- A potem bawisz się z mamusią.

- Bo co? Chyba nie jesteśmy na to za starzy?

Dopił piwo.

- Niczego ode mnie nie oczekuje, ja od niej też nie. Po prostu skracamy sobie noc.

Wsiadłem do samochodu, nastawiłem kasetę Pinetopa Perkinsa. Blues After Hours. Odpowiednie tło muzyczne na powrót do centrum miasta.

Blues zawsze mi najlepiej pasował do Marsylii.

Pojechałem drogą przez nadbrzeże. Tymi brzydkimi metalowymi mostami, które pejzażyści, doradcy projektu Eumediterranee, chcą zlikwidować. W piśmie „Marseille” pisali o „odstręczającym wrażeniu, jakie robi ten maszynowy, betonowy, żelazny świat, rozpościerający się pod słońcem”. Kretyni!

Miało się stąd wspaniały widok na port. Jadącemu samochodem sam włąził do oczu. Nadbrzeże. Statki. Dźwigi. Promy. Morze. Zamek If i wyspy Frioul w oddali. Wszystko do wzięcia.

Rozdział dziewiąty,
w którym dowiadujemy się,
że ciężko jest przeżyć tych, co umarli

Posuwaliśmy się do przodu, stykając się niemal błotnikami i trąbiąc bez przerwy. Za Corniche po obu stronach jezdni niekończący się sznur samochodów. Wydawać się mogło, że całe miasto umówiło się na randkę na tarasach nadmorskich lodziarni, barów i restauracji. Jeśli dalej będziemy tak wolno jechać, wyczerpię cały zapas kaset. Od Pinetopa Perkinsa przeszedłem do Lightnin' Hopkinsa. Darling, Do Sou Remember Me?

Głowa pełna wspomnień. Od pewnego czasu z trudem mi przychodzi skoncentrowanie się na jakiejś myśli. Bujam w obłokach. Nawet na rybach nie umiem się skupić, a to już poważna sprawa. Z upływem czasu coraz bardziej mi brakowało Loli. Kiedyś wypełniała całe moje życie. Teraz żyłem w pustce, jaką po sobie zostawiła. Najgorszy był powrót do domu. Samotność w domu. Pierwszy raz w życiu.

Powinienem zmienić muzykę. Nastawić Kubańczyków, żeby odpędzić czarne myśli. Guillerma Portabalesa. Francisca Repilado. Albo jeszcze lepiej - Buena Vista Social Club. Powinienem. Do tego „powinienem” sprowadzało się moje życie. Tego tylko brakowało, powiedziałem sobie, trąbiąc na kierowcę przede mną. Spokojnie wysadzał z samo-

chodu rodzinę, która najwyraźniej zamierzała urządzić sobie piknik na plaży. Mieli lodówkę, krzesła, składany stolik. Brakuje tylko telewizora, zżymałem się. Nie byłem w humorze.

Na wysokości Cafe du Port przy Pointe-Rouge - dotąd dotarłem po czterdziestu minutach jazdy - zapragnąłem postawić sobie kielicha. Jednego lub dwa. Albo może trzy. Ale wyobraziłem sobie Honorine i Fonfona, czekających na mnie na tarasie. Nie jestem naprawdę samotny. Mam przecież tych dwoje. Z ich miłością do mnie. Z ich cierpliwością. Dziś rano po telefonie od Heleny Pessayre wyjechałem z domu, nie mówiąc nawet staruszkom „dzień dobry”.

- No to kogo chce pan zabić? - spytała w nocy Honorine.

- Niech pani da spokój, Honorine. Jest cała kupa ludzi, których bym chętnie sprzątnął.

- Ale w tej kupie jest, zdaje się, jeden, na którym panu szczególnie zależy.

- To nic, Honorine. To upał działa mi na nerwy. Niech pani idzie się położyć.

- Niech pan sobie zaparzy rumianek. Uspokaja. Fonfon też się przerzucił na rumianek.

Spuściłem głowę, żeby nie widzieć pytania w jej oczach. Ani lęku, że się pakuję w ciemne sprawy. Doskonale pamiętam, jak na mnie spojrzała cztery lata temu, kiedy jej powiedziałem o śmierci Uga. Nie chciałbym jeszcze raz spotkać się z takim spojrzeniem. Za nic na świecie. A już szczególnie teraz.

Honorine wiedziała, że nie splamiłem sobie rąk krwią. Że nigdy się nie zdecydowałem z zimną krwią zastrzelić człowieka. Zostawiłem Batistiego gliniarzom. Narni rozbił się w samochodzie, spadając w przepaść na przełęczy Ginneste. Tylko Saadnę zostawiłem na pastwę płomieni, ale nie dręczyły mnie wyrzuty sumienia z tego powodu. Jednak nawet tego nikczemnego drania nie byłbym w stanie

zastrzelić z pełną świadomością rzeczy. Honorine wiedziała o tym. Powiedziałem jej.

Dziś jednak nie byłem tym samym człowiekiem co wtedy. To Honorine też wiedziała. Za dużo było we mnie hamowanej furii, za wiele nieuregulowanych rachunków. Za dużo też rozpaczy. Nie żebym zgorzkniał - zmęczyłem się. Dręczyła mnie niezasłużona, głupia i okrutna śmierć Soni. Sprawiała, że nie mogłem znieść innych śmierci, łącznie z tymi anonimowymi, o których co dzień czytałem w gazetach. Tysiące ofiar. Setki tysięcy. W Bośni. W Rwandzie. No i Algieria ze zniwem codziennych masakr. Noc w noc setka kobiet, mężczyzn i dzieci ginęła pod nożem.

Jest od czego rzygać.

Sonia.

Nie wiem, jak wyglądał jej morderca, ale w bezsenne noce prześladowała mnie wizja nagiej czaszki. Białej czaszki na czarnym tle. Piracka bandera łopotiała w mojej głowie. Swobodna, bezkarna. Muszę z tym skończyć raz na zawsze.

Sonia.

Cholera jasna! Obiecałem sobie, że pojedę zobaczyć się z jej ojcem i synem. Zamiast znowu pić, powinienem to zrobić przynajmniej dziś. Powinienem spotkać ojca Soni i małego Enza. Powiedzieć im, że bym ją pokochał.

Wrzuciłem lewy kierunkowskaz, wysunąłem się do przodu i skręciłem na drugi pas jezdni. Natychmiast rozległy się klaksony, ale miałem to gdzieś. Wszyscy mieli to gdzieś. Trąbili dla zasady. I wydzierali się na mnie dla zasady.

- Gdzie się pchasz, palancie?

- Goń się!

Dwa razy musiałem się cofnąć, wreszcie udało mi się wcisnąć w sznur samochodów. Czym prędzej skręciłem w lewo, żeby uniknąć korków po tej stronie. Slalomem przez labirynt uliczek dotarłem do avenue des Gourdes. Tu było o wiele lepiej. Kierunek: La Capelette, dzielnica, gdzie

od lat dwudziestych osiedlały się włoskie rodziny, głównie te z północy Włoch.

Attilio, ojciec Soni, mieszkał na rue Antoine-Del-Bello, przy skrzyżowaniu z rue Fifi-Turin. Ulice nosiły imiona dwóch włoskich bohaterów ruchu oporu, którzy oddali życie za Francję. Za wolność. Za ideał człowieka, ideał nie do pogodzenia z trupiarnią Hitlera i Mussoliniego. Del Bello, wychowanek włoskiej opieki społecznej, nie miał nawet francuskiego obywatelstwa, gdy zginął, walcząc w partyzantce.

Aralio De Luca otworzył mi drzwi. Poznałem go od razu. Jak słusznie mówił Hassan, nieraz widywałem De Luce w jego knajpie. Parę razy rozmawialiśmy przy kieliszku. W 1992 roku zwolniono go z Intramaru, gdzie od piętnastu lat pracował. Trzydzieści pięć lat stażu w porcie. Opowiadał mi trochę o swoim życiu. Był dumny, że jest dokerem. Opowiadał o strajkach. O tym, jak pewnego roku najstarszych dokerów zwolniono z roboty w imię modernizacji. Najstarszych i najbardziej upierdliwych. De Luca figurował na czarnej liście „niereformowalnych”. A że miał swoje lata, znalazł się wśród pierwszych wyrzuconych na bruk.

Rue Antoine-Del-Bello. Tu się urodził. Nazwiska tutejszych mieszkańców kończyły się na -i lub -a, zanim się zjawili inni: Alvarez, Gutierrez czy Domenech.

- Kiedy się urodziłem, na tysiąc osób mieszkających przy tej ulicy było dziewięciuset dziewięćdziesięciu czterech Włochów, dwóch Hiszpanów i jeden Ormianin.

Jego wspomnienia z dzieciństwa dziwnie przypominały moje własne. Były tak samo szczęśliwe.

- W lecie wystawiało się krzesła na chodnik. Ludzie siedzieli na dworze i gawędzili.

Psiakrew, dlaczego nigdy mi nie mówił o swojej córce! Czemu nigdy z nim nie przyszła do Hassana! Dlaczego spot-

kałem Sonię tylko po to, żeby ją zaraz stracić? Najgorsze było to, że w stosunku do Soni miałem wyłącznie wyrzuty sumienia, bo nie było czego żałować, jak w wypadku Loli. Najgorsze wyrzuty sumienia, jakie mogą być - że niechcący przyczyniłem się do jej śmierci.

- O, Montale! - powiedział De Luca.

Postarzał się niesamowicie.

- Dowiedziałem się o Soni.

Podniósł na mnie zaczerwienione oczy, na których dniem czaiły się pytania. De Luca nie rozumiał, skąd się tu wziąłem. Przy kieliszku pastisu, nawet u Hassana, rodzą się sympatie, lecz przecież nie rodzinne związki.

Na dźwięk słowa „Sonia” pojawił się Enzo. Sięgał dziadkowi głową do pasa. Przytulił się do niego, obejmując go za nogę, i też podniósł na mnie oczy. Szaroniebieskie, jak u matki.

- Wejdz, wejdz... Enzo! Wracaj do łóżka. Już prawie dziesięć. Dzieci nigdy nie chcą iść spać - skomentował bez barwnym głosem.

Pokój był dość duży, ale przeładowany meblami, bibelotami, rodzinnymi fotografiami w ramach. Takim go zostawiła żona De Luki, gdy dziesięć lat temu od niego odeszła. Takim go zastanie, gdy któregoś dnia wróci. Bo wciąż wierzył, że tak się stanie. „Kiedyś wróci” - powiedział z nadzieją w głosie.

- Siadaj. Napij się?

- Pastisu, owszem. W dużej szklance. Pić mi się chce.

- Cholerny upał - powiedział.

Dzieliła nas niewielka różnica wieku. Siedem, może osiem lat. Właściwie mógłbym mieć dziecko w wieku Soni. Dziewczynę albo chłopca. Głupio się poczułem, gdy to sobie uświadomiłem.

Wrócił z dwiema szklankami, kostkami lodu i karafką wody. Wyjął z kredensu butelkę anyżówki.

- To z tobą się wczoraj umówiła? - spytał, nalewając mi pastisu.

- Tak.

- Domyśliłem się, jak cię zobaczyłem w drzwiach.

Siedem, osiem lat różnicy. Prawie to samo pokolenie. Tuż powojenne. Pokolenie oszczędzania i poświęceń. Makaron na obiad i na kolację. Chleb. Z pomidorem i oliwą. Z brokułami. Z bakłazanem. Ale też pokolenie wielkich nadziei, które dla naszych ojców uosabiał uśmiechnięty, dobroduszy Stalin. W wieku piętnastu lat De Luca wstąpił do związku młodzieży komunistycznej.

- Wszystko przełknąłem - opowiadał. - Węgry, Czechosłowację, globalnie pozytywny bilans socjalizmu. Teraz przełykam wyłącznie jajka!

Podał mi szklanekę, nie patrząc na mnie. Domyślałem się, co mu chodzi po głowie. Co musi czuć. Wyobraża sobie swoją córkę w moich ramionach. Swoją córkę pode mną w łóżku. Nie byłem pewien, czyby mu się spodobał ten nasz romans.

- Między nami nic nie zaszło. Mieliśmy się znów spotkać i...

- Daj spokój, Montale. Co to ma teraz za znaczenie...

Wypił duży łyk pastisu i spojrzał na mnie wreszcie.

- Nie masz dzieci?

- Nie.

- Nie zrozumiesz.

Przełknąłem ślinę. Cierpienie De Luki było widoczne. Perliło się wokół oczu. Byłem pewien, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić, nawet po tym wszystkim. I że pasowałby do naszej kompanii przy stole, z Fonfonem i Honorine.

- Myślę, że mogliśmy coś razem zbudować z Sonią. I z małym.

- Byłeś kiedy żonaty?

- Nie.

- Ale musisz dobrze znać kobiety.

- Nie jest tak, jak sobie wyobrażasz.

- Nic sobie nie wyobrażam.

Wypił swoją szklanekę do dna.

- Chcesz jeszcze?

- Ciut.

- Nigdy nie była szczęśliwa. Spotykała wyłącznie dupków. Możesz mi to wytłumaczyć, Montale? Piękna, mądra - i wyłącznie dupków. Że nie wspomnę o tym ostatnim, ojcu... (głową wskazał pokój, gdzie spał Enzo). Całe szczęście, że się zmył, bo inaczej pewnie bym go kiedyś zabił.

- Tego się nie da wytłumaczyć.

- No tak. Myślę sobie, że wszyscy gubimy się w życiu, a jak się odnajdujemy, jest już za późno.

Znów na mnie spojrział. W zamglonych łzami oczach dojrzałem błysk przyjaźni.

- Takie było moje życie, nic innego.

Serce zabiło mi mocniej, potem się ścisnęło, pewnie z powodu Loli. Miała po stokroć rację. Nie rozumiem nic a nic. Kochać to znaczy stanąć nago przed drugim człowiekiem. Obnażyć swoją siłę i słabość. Ukazać prawdę. Czego się bałem w miłości? Tej nagości? Prawdy?

Wszystko bym opowiedział Soni. I wyznałbym jej ten cień w moim sercu, jakim była Lola. Tak jak powiedziałem De Luce, mógłbym coś z Sonią zbudować. Coś innego. Radość, śmiech, szczęście. Ale tak się nie stało. Kiedy odchodzi wymarzona kobieta, na którą człowiek czekał i której pragnął całe lata, to może być pewien, że już jej nie spotka ot tak, w innym momencie życia. Nie istnieje biuro znalezionych miłości.

Sonia by to zrozumiała. Tak szybko sprawiła, że moje serce przemówiło, że otworzyłem się przed nią. Może czekała nas jakaś przyszłość. Zgodna z naszymi pragnieniami.

- No więc tak - powiedział De Luca, opróżniając kolejną szklanekę.

Wstałem.

- Przyszedłeś tylko po to, żeby powiedzieć, że to miałeś być ty?

- Tak - skłamałem. - Żeby ci to powiedzieć.

Z trudem podniósł się od stołu.

- Mały wie?

- Jeszcze nie. Nie wiem, jak mu powiedzieć... Nie wiem, co z nim zrobię... Rozumiesz, jedna noc, jeden dzień, tydzień wakacji - w porządku. Ale żeby go wychowywać? Napisałem do mojej żony...

- Mogę się z nim pożegnać?

De Luca skinął głową. Ale jednocześnie położył mi rękę na ramieniu. Nie mógł dłużej powstrzymać łez. Głęboko wciągnął powietrze. Szloch zerwał tamę dumy.

- Dlaczego? Dlaczego ją zabili? Dlaczego właśnie ją?

- Nie wiem - szepnąłem.

Przygarnąłem go do siebie i powtórzyłem cichutko:

- Nie wiem.

Staliśmy objęci. Łzy ojcowskiej miłości spływały po mojej szyi. Kleiły się, cuchnęły śmiercią. Ten sam odór czułem tamtego wieczoru, kiedy zaszedłem do Hassana. Dokładnie ten sam. Próbowałem wyobrazić sobie twarz zabójcy Soni.

Potem zobaczyłem małego. Stał przed nami, ściskając pod pachą misia.

- Czemu dziadek płacze?

Uwolniłem się z uścisku De Luki i kucnąłem przed chłopcem. Położyłem mu ręce na ramionach.

- Twoja mama nie wróci. Miała... wypadek. Rozumiesz, Enzo? Mama nie żyje.

I też się rozplakałem. Z żalu nad nami, że musimy przez to wszystko przejść. Z żalu nad naszym pieskim życiem.

Rozdział dziesiąty,
w którym beztroska pozwala opanować smutek
z powodu odlotu mewki

Graliśmy w remika do północy. A gra z Honorine i Fonfonem sprawiała mi więcej niż przyjemność. Dawała poczucie, że jesteśmy razem, że wspólnie dzielimy trudne do wyrażenia uczucia. Kładąc karty, wymienialiśmy spojrzenia i uśmiechy. Gra nie jest trudna, trzeba tylko uważać, jakie karty zrzucają przeciwnicy. To mi akurat pasowało, pozwalało oderwać się na kilka godzin od dręczących myśli.

Fonfon przyniósł butelkę bunana. Stary marc z La Cadere w okolicy Bandol.

- Spróbuj no tego - powiedział. - To nie to samo co ta twoja szkocka.

Rzeczywiście, wyśmienity trunek. W niczym nie przypomina lagavulina, lekko zalatującego pleśnią. Bunan, choć wytrawny, ma w sobie owocowy bukiet i wszystkie zapachy spalonej słońcem ziemi. Wygrałem dwie partie, przegrałem osiem. Zdażyłem przez ten czas wypić z rozkoszą cztery kieliszeczki.

Kiedyśmy się zegnali, Honorine podała mi grubą kopertę.

- Byłabym zapomniała. Listonosz to zostawił dla pana. Nie chciał wkładać do pańskiej skrzynki, bo oznakowane, żeby nie zginać.

Żadnego adresu nadawcy. Koperta wysłana z Saint-Jean-du-Gard. Rozdarłem ją, wyjąłem pięć dyskietek. Dwie niebieskie, jedna biała, jedna czerwona, jedna czarna. I karteczka od Babette: „Wciąż cię kocham”. A pod spodem: „Strzeż tego pieczołowicie”.

Babette! Poczulem, jak mi pulsują skronie. A w oczach oślepiający błysk i obraz Soni. Soni z poderżniętym gardłem. Przypomniałem sobie jej szyję. Opaloną, cienką. Wydawała się tak samo miękka jak jej ramię, kiedy go przez chwilę dotknąłem. Szyja, jaką ma się ochotę całować, o tu, tuż pod uchem. Albo musnąć czubkami palców, żeby poczuć cudowną gładkość. Ta Babette mnie doprowadzi do szału!

Ale jak się gniewać na kogoś, kogo kochamy? Kogo kochaliśmy? Kobiętę albo przyjaciela. Mavrosa czy Lolę. Tak samo nie umiałem wyprzeć się przyjaźni dla Manu i Uga. Można sobie zabronić widywania się z nimi, odzywania się do nich, ale żeby ich zniechęcić - no nie, to niemożliwe. Przynajmniej dla mnie niemożliwe.

Raz jeszcze przeczytałem karteczkę, zważyłem dyskietki w rękę. Miałem poczucie, że nasze losy są związane, i to w najpaskudniejszych okolicznościach. Babette powoływała się na miłość, ale to śmierć się pchała. Na śmierć i życie - mówiliśmy, kiedy byliśmy dziećmi. Przecinało się skórę na nadgarstku i krzyżowało ręce. Śluby krwi. Przyjaciele do końca życia. Bracia. Miłość na wieki.

Przez całe lata łączyło nas z Babette wyłącznie pożądanie. I nasza samotność. Niewyraźnie się poczułem, widząc ten liścik. Słowa „wciąż Cię kocham” nie budziły we mnie żadnego echa. Czy jest szczerą? Czy tylko w ten sposób potrafi wołać o ratunek? Dobrze wiem, że można coś mówić i wierzyć, że to prawda w momencie, gdy się te słowa wypowiada, a kilka godzin czy dni później robić rzeczy, które zadają im kłam. Dotyczy to zwłaszcza miłości. Ponieważ miłość to uczucie najbardziej irracjonalne, które-

go źródłem jest - cokolwiek by opowiadać - spotkanie dwóch płci i rozkosz, jaką z tego spotkania czerpią. Pewnego dnia Lola, pakując torbę, powiedziała:

- Wyjeżdżam. Może na tydzień.

Przyglądałem się jej długo, z miłością, czując skurcz w żołądku. Normalnie powiedziałyby: „Jadę zobaczyć się z mamą” albo: „Siostra ma kłopoty. Wyjeżdżam na parę dni do Tuluzy”.

- Muszę się zastanowić, Fabio. Potrzebuję tego. Rozumiesz, muszę pomyśleć o sobie.

Była spięta, że musi mi to powiedzieć. Nie umiała znaleźć odpowiedniej chwili, żeby mnie powiadomić o swoich planach. Wytłumaczyć. Rozumiałem to napięcie, mimo że sprawiła mi ból. Miałem zamiar - choć jak zwykle jej nie uprzedziłem - zabrać ją na wycieczkę w góry w okolicy Nicei. Grobio, Sainte-Agnes, Sospel.

- Rób, co chcesz.

Jechała do swego przyjaciela. Tego gitarzysty, którego spotkała na jakimś koncercie w Sewilli, gdy była u matki. Powiedziała mi o nim po powrocie.

- Wcale tego nie szukałam... - dodała. - Nie sądziłam, że to się tak szybko zdarzy.

Trzymałem ją w objęciach, czekając, aż jej lekko sztywne ciało samo do mnie przylgnie. Zrozumiałem wtedy, że zastanawia się nad sobą, nad nami. Ale nie tak, oczywiście, jak to sobie wyobrażałem. Nie tak, jak to usłyszałem, kiedy mi powiedziała, że wyjeżdża.

- Co to jest, Fabio? - spytała Honorine.

- Dyskietki. Dyskietki do komputera.

- Zna się pan na tym?

- Trochę. Miałem kiedyś komputer. W biurze.

Ucałowałem ich oboje na dobranoc. Teraz mi się śpieszyło.

- Gdybyś rano jechał do miasta, wpadnij wcześniej do mnie - powiedział Fonfon.

- Obiecuję.

Myślami byłem już gdzie indziej. Dyskietki i ich zawartość. Powody, dla których Babette znalazła się dzisiaj w takich tarapatach. Tarapatach, w które mnie wciągnęła i które Sonia przypłaciła życiem, osierocając ośmioletniego chłopca i jego bezradnego dziadka.

Zadzwoiłem do Hassana. Gdy podniósł słuchawkę, dobiegły mnie pierwsze dźwięki In a Sentimental Mood. Coltrane i Duke Ellington. Istne чудо.

- Powiedz, nie ma tam aby Sebastiana?

- Pewnie, że jest. Zaraz go zawołam.

Z biegiem lat zaprzyjaźniłem się z paczką kumpli, starych bywalców baru Hassana. Sebastian, Mathieu, Regis i Cedric mieli po dwadzieścia kilka lat. Mathieu i Regis kończyli studia na wydziale architektury. Cedric malował, a także od pewnego czasu organizował koncerty muzyki techno. Sebastian pracował na czarno: remontował mieszkania. Wzruszała mnie łącząca ich przyjaźń. Wyczuwalna, a jednocześnie nie do końca zrozumiała. My z Manu i Ugiem też tacy byliśmy. Włóczyliśmy się nocami po barach, kpiąc sobie ze wszystkiego, nawet z naszych dziewczyn. Różnieliśmy się charakterem, ale mieliśmy takie same marzenia. Tak jak czwórka tych młodziaków. I podobnie jak oni wiedzieliśmy, że z nikim innym nie potrafimy tak świetnie się dogadać.

- Słucham - odezwał się Sebastian.

- Mówi Montale. Nie przeszkadzam?

- Dziewczyny biorą prysznic. Siedzimy sami.

- Powiedz no, czy Cyryl mógłby odczytać dla mnie dyskietki?

Sebastian mówił kiedyś, że jego kuzyn Cyryl ma hyzja na punkcie komputera. Wyekwipowany jak nie wiadomo co. Całymi nocami surfuje po sieci.

- Nie ma problemu. Kiedy?
- Natychmiast!
- O cholera! Wymagasz więcej, niż jak byłeś gliną!
- Dobrze mówisz.
- Okay. Czekamy na ciebie. Mamy cztery kolejki na koncie.

Dojechałem w niespełna dwadzieścia minut. Po drodze same zielone światła, wyjąwszy trzy żółte. Nie zauważyłem ani jednego policjanta. W barze Hassana było pustawo. Oprócz Sebastiana i jego kumpli trzy pary oraz jeden stary bywalec, sfatygowany trzydziestolatek, który zaglądał tutaj co tydzień, żeby studiować „Taktik”, bezpłatny marsylski informator kulturalny. Czytał go od deski do deski, pewnie dlatego, że nie stać go było na bilet na koncert czy nawet do kina.

- Jeśli mnie od nich uwolnisz - powiedział Hassan, wskazując czwórkę młodych - będę mógł zamknąć bar.

- Cyryl już na nas czeka - oświadczył Sebastian. - Możemy wyjść, kiedy chcesz. Mieszka dwa kroki stąd, na boulevard Chave.

- Postawić wam jeszcze kolejkę?

- Chociaż tyle się należy za pracę na nocnej zmianie.

- Dobra, ale to ostatnia - zapowiedział Hassan. - Dajcie wasze szklaneczki.

Mnie też nalał whisky. Bez pytania. Oban, tę samą, którą serwował Soni. Sobie również nalał, co było wyjątkowe. Podniósł szklaneczkę, żeby się ze mną stuknąć. Popatrzyliśmy sobie w oczy. Obaj myśleliśmy o tym samym. O tej samej osobie. Słowa były niepotrzebne. Nie miały sensu. Rozumieliśmy się bez tego, jak z Fonfonem i Honorine. Nie ma słów na nazwanie zła.

Hassan nastawił płytę Coltrane'a i Duke'a Ellingtona. Grali Angelikę. Muzyka, która mówi o miłości. O radości i szczęściu. Z beztroską, która pozwala opanować smutek z powodu odlotu mewki w inne strony.

- Jeszcze jednego.
- Ale gazem, i chłopakom też.

Dyskietki zawierały setki stron dokumentów. Pisanych drobnym drukiem, bez interlinii, żeby zmieścić maksimum informacji.

- Może być? - spytał Cyryl.

Siedziałem przed jego komputerem i przeglądałem pliki z niebieskich dyskietek.

- To mi zajmie z godzinę. Nie będę czytał wszystkiego. Wyszukam tylko kilka tekstów, które mi są potrzebne.

- Nie musisz się śpieszyć. Moglibyśmy tu przetrwać obciążenie!

Przynieśli całe kartony piwa, pizze i zapas papierosów, żeby niczego nie zabrakło. Nastrój mieli bojowy, gotowi byli cztery czy pięć razy przebudować świat. A zważywszy na to, co przesuwało się na ekranie przed moimi oczami, świat ogromnie potrzebował przebudowy.

Z ciekawością otworzyłem pierwszy dokument: Jak na skutek aktywności mafii gangrena ogarnia całą światową gospodarkę. Babette najwyraźniej zaczęła redagować zebrany materiał. „W epoce globalizacji rola zorganizowanej przestępczości na wolnym rynku pozostaje nieznana. W opinii publicznej działalność przestępcza, której wizja karmi się hollywoodzkimi stereotypami i prasą brukową, związana jest ściśle z załamaniem się porządku publicznego. Na pierwszy plan wysuwa się skutki drobnej przestępczości, natomiast rola międzynarodowych organizacji przestępczych w polityce i gospodarce oraz ich wpływy nie są na ogół przedstawiane”.

Kliknąłem. „Przestępczość zorganizowana zakorzeniła się na dobre w systemie gospodarczym. Otwarcie rynków, zmierzch państwa opiekuńczego, prywatyzacje, destabiliza-

cja handlu i finansów międzynarodowych itp. sprzyjają wzrostowi nielegalnej działalności oraz globalizacji gospodarki przestępczej.

Według ONZ, roczne zyski ponadnarodowych organizacji przestępczych idą w setki miliardów dolarów, co odpowiada łącznemu produktowi narodowemu brutto krajów o niskim dochodzie (zgodnie z kategoriami Banku Światowego) z ich trzema miliardami mieszkańców. Szacunki te biorą pod uwagę dochody z handlu narkotykami, nielegalnej sprzedaży broni, przemytu materiałów nuklearnych itp., jak również z działalności kontrolowanej przez mafie (prostytycja, gry hazardowe, czarny rynek dewizowy...).

Nie wlicza się tu natomiast dochodów z inwestycji dokonywanych przez gangi kryminalne w legalną gospodarkę ani ich dominacji nad środkami produkcji w wielu sektorach gospodarki".

No tak, domyślałem się, co zawierają pozostałe dyskietki. Przypisy umieszczone na dole strony odsyłały do oficjalnych dokumentów. Inne, wybite tłustym drukiem, do pozostałych dyskietek, zgodnie z precyzyjnym porządkiem: sprawy, miejsca, przedsiębiorstwa, partie polityczne, wreszcie nazwiska. Fargette. Yann Piat. Noriega. Sun Investissement. International Bankers Luxembourg... Dostałem gęziej skórki. Byłem pewien, że Babette i tym razem wykazała się dociekliwością profesjonalisty, jak od pierwszych swoich kroków w zawodzie. Dociekliwością i dążeniem do ustalenia prawdy.

Kliknąłem jeszcze raz.

„Grupy przestępcze legalizują brudne pieniądze poprzez wprowadzenie ich w obieg bankowy i przekształcenie w klasyczne fundusze inwestycyjne, przez co zapewniają sobie akumulację kapitału poza działalnością przestępczą. Inwestycje dokonywane są głównie w sektorach takich jak: nieruchomości, przemysł rozrywkowy, wydawnictwa i media,

usługi finansowe itp., lecz także w przemyśle, rolnictwie i służbach publicznych".

- Robię spaghetti po bolońsku - przerwał mi Sebastian.
- Zjesz?

- Pod warunkiem że zmienicie płytę!

- Słyszysz, co on mówi, Cedric? - zawołał Sebastian.

- Postaramy się!

Muzyka ucichła.

- Posłuchaj no tego! Ben Harper.

Nie znałem Bena Harpera, ale wydał mi się znośny.

Odszedłem od ekranu po przeczytaniu ostatniego zdania: „Dokonania przestępczości zorganizowanej biją na głowę wyniki większości z pięciuset wiodących firm na świecie wedle klasyfikacji «Fortune», a to za sprawą organizacji przypominających bardziej General Motors niż tradycyjną mafię sycylijską". No ładnie. Babette porwała się z motyką na słońce.

- Do czegoście doszli? - spytałem, siadając do stołu.

- Do niczego - odpowiedział Cedric.

- Tak czy śmak, zawsze się ląduje w tym samym miejscu - perorował Mathieu. - Tam, gdzie się stoi. Po kostki w gównie.

- Dobrze mówisz - powiedziałem. - I co dalej?

- Dalej chodzi o to - podjął Sebastian - żeby tego gówna nie roznieść.

Wszyscy się roześmiali. Ja też. Trochę gorzko, bo przecież właśnie ugrzęzłem po kostki w gównie i wcale nie byłem pewien, czy uda mi się go nie roznieść.

- Pyszne spaghetti.

- Sebastian lubi karmić ludzi - skomentował Cyryl. - Ma to po ojcu.

Na jednej z pozostałych dyskietek, tej czarnej, z nazwiskami polityków i przedsiębiorców, znalazłem klucz do kłopotów Babette.

Biała zawierała zbiór dokumentów. Czerwona - wywiady i świadectwa, w tym wypowiedź Bernarda Bertossy, prokuratora generalnego Genewy.

„- Czy, pańskim zdaniem, Francja skutecznie walczy z międzynarodową korupcją, przynajmniej w skali europejskiej?

- Wie pani. w Europie jedynie Włochy prowadzą zdecydowaną politykę walki z brudnymi pieniędzmi i korupcją. Widać to było szczególnie w czasie operacji *Manipulite*. Mówiąc szczerze, nie wydaje się, by Francja chciała rzeczywiście kontrolować przepływy finansowe i walczyć z brudnymi pieniędzmi czy korupcją. Nie ma żadnej strategii politycznej, są tylko poszczególne przypadki, sędziowie czy prokuratorzy, którzy z wielkim uporem angażują się w sprawy, które prowadzą. Hiszpania teraz się do tego zabiera. Utworzony tam został urząd prokuratora do walki z korupcją, tymczasem we Francji nic podobnego nie ma. Nie chodzi o postawę takiej czy innej partii, będącej u władzy bądź nie. Wszystkie są skompromitowane, żadna nie jest zainteresowana, żeby się do tego przyznać”.

Nie czułem się na siłach otworzyć czarnej dyskietki. Nie chcę wiedzieć. Po co? Świat i tak przedstawia się wystarczająco paskudnie.

- Możesz je skopiować? - spytałem Cyryła.

- Ile chcesz.

Potem, przypomniawszy sobie, co Sebastian mówił o Internecie, dodałem:

- A można wsadzić to wszystko do Internetu?

- Zrobić stronę? Masz na myśli stronę?

- Tak, stronę, na którą każdy mógłby wejść.

- No pewnie.

- Możesz to zrobić? Stworzyć stronę internetową i otworzyć ją dopiero wtedy, gdy cię o to poproszę?

- Jutro ci to zrobię.

Wyszedłem o trzeciej nad ranem. Wypiwszy ostatnie piwo. Na bulwarze zapaliłem papierosa. Przeszedłem przez zupełnie wyludniony place Jean-Jaures. Pierwszy raz od dawna nie czułem się bezpiecznie.

Rozdział jedenasty,
w którym życie rozgrywa się tutaj,
i to do ostatniego tchnienia

Zbudziłem się raptownie. Brzęczyk w głowie. Ale to nie telefon. Ani żaden dźwięk z zewnątrz. To tylko w mojej głowie, nawet nie brzęczyk, sygnał. Czy śniłem? O czym? Cholera, za pięć szóstą! Przeciągnąłem się. Nie uda mi się już zasnąć, to pewne.

Wstałem i z niezapalonym papierosem w rękę wyszedłem na taras. Ciemnoszafirowe, niemal czarne morze zaczynało się burzyć. Dął mistral. Zły znak. Mistral w lecie to synonim pożarów. Co roku setki hektarów lasu i porośniętych suchymi krzewami wzgórz szły z dymem. Strażacy są już pewnie w pogotowiu.

„Saint-Jean-du-Gard” - pomyślałem. To jest ten sygnał. Stempel na kopercie od Babette. Saint-Jean-du-Gard, w Szwajcarii. Co ona tam robi? U kogo jest? Zaparzyłem sobie kawę w małym włoskim ekspresie. Potem następną. Nie lubię odgrzewanej. Zapaliłem wreszcie papierosa, zaciągnąłem się ostrożnie. Pierwszy sztach przeszedł bez problemu. Z następnymi będzie łatwiej.

Nastawiłem płytę Abdullaha Ibrahima, pianisty z Afryki Południowej. *Echoes from Africa*. Zwłaszcza jeden kawałek mi się podobał, *Zikr*. Nie wierzę w Boga ani w diabła, ale w tej muzyce - grał w duecie z Johnnym Dyani, kontrabasistą - była boska łagodność.

Aż się chciało wychwalać ziemię. Jej piękno. Mogłem tego słuchać godzinami. O świcie albo o zmierzchu, kiedy słońce się chowało. Czułem się wtedy lepszym człowiekiem.

Muzyka mnie porwała. Stałem w drzwiach na taras, z filiżanką w ręce, i patrzyłem na rozkołysane morze. Nie rozumiałem słów pieśni Abdullaha Ibrahima, *Remembrance of Allah*, ale tłumaczyłem je sobie najprościej. Moje życie rozgrywa się tutaj, na ziemi. Ma smak nagrzanego kamienia, wiatru od morza i cykad, które niebawem zaczną grać. Będę kochał to życie aż do ostatniego tchnienia. *Insz Allah*.

Nisko, tuż nad tarasem przeleciała mewa. Pomyślałem o Helenie Pessayre. Miła mewka. Teraz, kiedy mam w rękę dyskietki, nie wolno mi jej dłużej okłamywać. Skoro wiem, gdzie się ukrywa Babette. Muszę sprawdzić, ale dałbym głowę, że w Saint-Jean-du-Gard w Sewenach. Zajrzałem do kolonotatnika z artykułami.

To był jej pierwszy wielki reportaż. Jedyne, którego jeszcze nie przeczytałem. Pewnie z powodu zdjęć ilustrujących tekst, zdjęć, które sama zrobiła. Pełnych czułości dla byłego studenta filozofii, który po maju 1968 został hodowcą kóz. Jestem pewien, że zakochała się w tym Brunie. Tak jak zakochała się we mnie. Może kochała nas obu w tym samym czasie? Może jeszcze kogoś?

„No i co z tego? - powiedziałem sobie. - To było dziesięć lat temu. Ale czy nadal cię kocha? Czy naprawdę jeszcze cię kocha?” Męczył mnie ten jej liścik. „Wciąż Cię kocham”. Czy można zacząć życie od nowa z kimś, kogo się kiedyś kochało? Z kim się żyło? Nie, nie wierzę. Nigdy nie miałem takich złudzeń w stosunku do kobiet, które rzuciłem albo które mnie rzuciły. Z Babette też mi się to wydawało niemożliwe. Mogłem to sobie wyobrazić tylko z Lolą, jakkolwiek to było głupie. Pewna kobieta, nie pamiętam już kto, powiedziała mi kiedyś, że nie wolno budzić upiórów minionej miłości.

Le Castellás. No tak. Jestem pewien, że Babette tam się ukrywa. Z tego, co opowiadała - idealne miejsce. Tyle że nie można się tam zakopać na całe życie. Chyba że się postanowi, jak Bruno, do końca swoich dni hodować kozy. Ale nie widziałem Babette w tej roli. Za wielki miała temperament.

Zrobiłem sobie trzecią filiżankę kawy, potem zadzwoniłem do informacji po numer do Le Castellás. Odebrano po piątym dzwonku. Głos dziecka. Chłopca.

- Kto mówi?
- Chcę rozmawiać z twoim tatą.
- Mamo! - zawołał.

Odgłos kroków.

- Halo.
- Dzień dobry. Chciałbym rozmawiać z Brunem.
- Kto prosi?

- Montale. Fabio Montale. Moje nazwisko nic mu nie powie.

- Chwileczkę.

Znów odgłos kroków. Skrzypienie otwieranych drzwi. Potem męski głos:

- Tak, słucham.

Spodobał mi się głos Bruna. Spokojny, surowy głos człowieka z gór.

- Nie znamy się. Jestem przyjacielem Babette. Chciałbym z nią rozmawiać.

Milczenie. Zastanawiał się.

- Z kim?

- Niech pan posłucha, nie będziemy się wygłupiać.

Wiem, że Babette ukrywa się u pana. Proszę jej powtórzyć, że dzwonił Montale. Niech do mnie zadzwoni jak najszybciej.

- Czy coś się stało?
- Proszę jej powiedzieć, żeby zadzwoniła. Dziękuję.

Zadzwoiła pół godziny później.

Na dworze dał mistral. Wyszedłem na taras złożyć parasole, mój i Honorine, która jeszcze się nie pokazała. Pewnie poszła do Fonfona napić się kawy i poczytać „La Marseillaise”. Od kiedy „Le Provençal” i „Le Meridional” połączyły się w jeden dziennik, „La Provence”, Fonfon kupował wyłącznie „La Marseillaise”. Nie lubił gazet nijakich, drętowych. Wolał zaangażowane, nawet jeśli nie podzielał ich stanowiska. Jak „La Marseillaise”, gazeta komunistyczna. Albo jak dziennik „Le Meridional”, który zanim stał się umiarkowanie prawicowy, zdobył czytelników, głosząc dwadzieścia lat wcześniej skrajne, rasistowskie poglądy Frontu Narodowego.

Fonfon nie pojmował, że w „La Provence” jednego dnia pisze wstępniak redaktor o poglądach prawicowych, a na jutro inny redaktor, o poglądach lewicowych.

- I to ma być pluralizm! - gderał.

Dał mi do przeczytania artykuł wstępny, poświęcony tego dnia wizycie Ojca Świętego we Francji i wychwalający wartości moralne chrześcijaństwa.

- Nie mam nic przeciwko papieżowi ani przeciwko temu panu, który to napisał. Każdy myśli, co chce. Na tym polega wolność. Ale...

Przewrócił stronicę gazety.

- Patrz, przeczytaj to.

W dziale wiadomości lokalnych zamieszczono artykuł o jakiejś nadmorskiej restauracji, ze zdjęciami. Właściciel chwalił się, że jego zakład jest super. Gości obsługują śliczne młode kelnerki, niemal nagie. Nie mówił, że je można dupczyć, ale prawie. Idealne miejsce na biznesowe spotkania, jednym słowem. Forsa i dupa zawsze idą w parze, wiadoma rzecz.

- Przecież nie może być tak, że na pierwszej stronie papież cię błogosławi, a na czwartej obciążają ci druta!

- Fonfon!

- No nie! Gazeta, która nie ma etyki, to żadna gazeta. Więcej jej nie kupię. Koniec.

Od tego czasu czytał wyłącznie „La Marseillaise”. Czasami doprowadzała go do szału. Raz słusznie, raz niesłusznie. Ale Fonfon był niereformowalny, i za to go lubiłem. Zbyt wielu znałem ludzi, którzy mieli wyłącznie gadane, jak to mówią w Marsylii, i nic poza tym.

Podskoczyłem na dźwięk dzwonka telefonu. Przez chwilę bałem się, że to nie Babette, tylko faceci z mafii.

- Fabio...

W jej głosie usłyszałem strach, zmęczenie, wyczerpanie. Po tym jednym słowie, moim imieniu, poznałem, że to już nie ta sama Babette co dawniej. Domyśliłem się, że nieźle dostała w skórę, zanim uciekła z Rzymu.

- Tak, to ja.

Milczenie. Nie wiem, co miało znaczyć jej milczenie. W moim były wszystkie nasze miłosne noce. Kiedy człowiek spogląda wstecz, powiedziała mi jeszcze ta kobieta, której imienia zapomniałem, wpada w przepaść. Stałem na skraju przepaści.

- Fabio - powtórzyła Babette spokojniejszym głosem.

W mojej głowie pojawił się na nowo obraz zamordowanej Soni. Lodowaty, ponury obraz. Wyganiając wszelkie myśli, wszelkie wspomnienia.

- Musimy porozmawiać, Babette.

- Dostałeś dyskietki?

- Przeczytałem je. Nie do końca. W nocy.

- I co na to powiesz? Ciężko się napracowałam, co?

- Babette, daj sobie z tym spokój. Mam na karku tych facetów, którzy cię szukają.

- Nie!

Strach chwycił ją za gardło, zdusił słowa.

- Nie wiem, co robić, Fabio.

- Przyjedź.

- Zwariowałeś! - krzyknęła histerycznie. - Zmasakrowali Gianniego. W Rzymie. I jego brata Francesco. I jego przyjaciela Beppe. I...

- Zabili kobietę, którą kochałem - powiedziałem podniesionym głosem. - Tutaj. I zabiją innych, których kocham. A potem mnie. I ciebie, wcześniej czy później. Nie będziesz tam siedzieć latami.

Znów cisza. Lubilem twarz Babette. Pociągła, okolona długimi, kręcącymi się lekko kasztanowymi włosami. Twarz z Botticellego.

- Musimy się jakoś dogadać - odezwałem się, przełknąwszy ślinę.

- Co?! - wrzasnęła. - Ta robota to moje życie! Jeśli otworzyłeś dyskietki, to się zorientowałeś, jaką wykonałam pracę! Z kim się chcesz dogadać?

- Z życiem. Albo ze śmiercią. Jak wolisz.

- Daj spokój. Nie mam ochoty filozofować.

- Ja też nie. Ale chcę żyć. I chcę, żebyś ty żyła.

- Przyjechać to samobój.

- Może nie.

- Ach tak? A co mi proponujesz?

Czułem, jak narasta we mnie wściekłość. Na dworze wiało coraz silniej.

- Babette, kurwa mać! Wciągasz wszystkich w swoją głównianą robotę, no i co? Możesz spać spokojnie? Możesz jeść? Możesz bzykać? No, powiedz! Podoba ci się, że kasują moich przyjaciół? Że mnie też wykończą? Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? I jeszcze pisziesz, że mnie kochasz! Świrnięta jesteś!

Rozpląkała się.

- Nie masz prawa tak do mnie mówić!

- Owszem, mam. Kochałem tę kobietę. Miała na imię Sonia. Trzydzieści cztery lata. Latami kogoś takiego nie spotkałem. Więc mam prawo.

- Odpieprz się!
Rzuciła słuchawkę.

Georges Mavros został zamordowany około siódmej rano. Dowiedziałem się o tym dwie godziny później. Moja linia cały czas była zajęta. Kiedy znów zadzwonił telefon, pomyślałem, że to Babette.

- Montale?

Suchy ton komisarza. Helena Pessayre. „Witajcie, kłopoty” - pomyślałem sobie. Przez kłopoty rozumiałem wyłącznie jej upór, żeby wydobyć ze mnie to, co przed nią ukrywałem. Tymczasem zakomunikowała mi, nie owijając w bawełnę:

- Pana przyjaciel Mavros, Georges Mavros, został dziś rano zamordowany. Znalaziono go na ringu, z podejrzanym gardłem. Tak samo jak w wypadku Soni. Nadal nie ma mi pan nic do powiedzenia?

Jak głupek pomyślałem natychmiast o Pascale. Ale Pascale od sześciu miesięcy nie dawała znaku życia. Georges nie miał dzieci. Był sam. Jak ja. Mam nadzieję, że spędził tę ostatnią noc ze swoją przyjaciółką z Reunionu. I że ta noc była piękna i szczęśliwa.

- Zaraz przyjadę.

- Natychmiast! - rozkazała Helena Pessayre. - Do sali bokserskiej. Zidentyfikuje pan zwłoki. Przynajmniej tyle jest mu pan winien.

- Już jadę - powiedziałem złamanym głosem.

Odłożyłem słuchawkę. Telefon znów zadzwonił.

- Wiesz o swoim kolesiu?

Morderca.

- Właśnie się dowiedziałem.

- Szkoda - zaśmiał się. - Wolalbym sam cię zawiadomić. Ale dzisiaj gliniarze się nie lenią.

Nie odpowiedziałem. Wsluchiwałem się w jego głos, jakbym mógł na tej podstawie sporządzić domniemany portret zbrodniarza.

- Fajna kobitka z komisarza, nie? Słyszysz mnie, Montale?

- Tak.

- Tylko bez numerów. Nie próbuj nas wykiwać. Z nią czy z kimkolwiek innym. Gliniarzem bądź nie. Możemy przyspieszyć skreślanie z listy, kapujesz?

- Tak. Bez numerów.

- Wczoraj poszedłeś z nią na spacer. Czegoś się spodziewał? Że ją przelecisz?

„Są tutaj, śledzą mnie” - pomyślałem. No jasne, że mnie śledzą. W ten sposób dotarli do Soni i do Mavrosa. Nie mają żadnej listy. Nic o mnie nie wiedzą. Śledzą mnie i zależnie od tego, jak ocenią moje przywiązanie do danego człowieka, zabijają go. To wszystko. Tyle że na czele listy powinni figurować Fonfon i Honorine. Bo pewnie się zorientowali, że mi na nich zależy.

- Co z tą zadymiara, Montale?

- Wpadłem na trop. Będę wiedział wieczorem.

- Brawo. No to do wieczora.

Złapałem się za głowę. Muszę się zastanowić. Ale nie było co się zastanawiać. Wykręciłem numer Bruna. Sam odebrał telefon. W Castellás odbywała się pewnie narada wojenna.

- Montale jeszcze raz.

Cisza.

- Ona nie chce z panem rozmawiać.

- Proszę jej powiedzieć, że sam do niej przyjadę i ją zabiję. Niech jej pan powie.

- Słyszałam - burknęła Babette. - Nastawiliśmy głos.

- Dziś rano sprzątnęli Mavrosa. Pamiętasz Mavrosa? - wrzasnąłem w słuchawkę. - Pamiętasz, jak się kiedyś bawiliśmy?

- Co mam zrobić? - spytała.
- O czym mówisz?
- Co mam zrobić, jak przyjadę do Marsylii?

Nie miałem pojęcia. Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym ani przez chwilę. Niczego nie zaplanowałem. Chciałem tylko, żeby to się skończyło. Żeby zostawiono w spokoju bliskich mi ludzi. Zamknąłem oczy. Byle nie tknęli Fonfona i Honorine. Tylko na tym mi zależało.

I na tym, żeby zabić tego skurwysyna.

- Później zadzwonię. Powiem ci. Ciao.
- Fabio...

Nie słuchałem dalej. Odłożyłem słuchawkę.

Znów nastawiłem zikr. Niechby ta muzyka wyciszyła mój wewnętrzny zamęt. Rozładowała nienawiść, nad którą nie potrafiłem zapanować. Pogłaskałem palcem sygnet, który mi podarował Didier Perez, i raz jeszcze przetłumaczyłem po swojemu modlitwę Abdullaha Ibrahima. Tak, kocham to życie do szaleństwa i chcę żyć wolny, Insz Allah, Montale.

Rozdział dwunasty,
w którym pada pytanie, jak żyć szczęśliwie
w niemoralnym społeczeństwie

Rozejrzałem się po sali bokserskiej. Wszystko tu było znajome. Ring, zapach, blade światło. Worki do ćwiczeń, punching-ball, hantle. Afisze na żółtawych ścianach. Nic się tu nie zmieniło od wczoraj. Na ławce leżały ręczniki, na drążku wisiały bandaże.

Usłyszałem głos Takisa, ojca Mavrosa.

- No, mały, śmiało!

Ile wtedy miałem? Może dwanaście lat. Mavros powiedział: „Ojciec zrobi z ciebie boksera”. W głowie mi wirowały obrazy Marcela Cerdana*. To był mój idol. Mojego ojca również. Marzyłem o boksie. Ale żeby się nauczyć boksować, trzeba się było także nauczyć panować nad strachem, inkasować ciosy i je oddawać. Tak, żeby cię szanowali. Na ulicy to jest najważniejsze. Nasza przyjaźń z Manu zaczęła się od walki na pięści. Rue du Refuge w dzielnicy Panier. Pewnego wieczoru, kiedy odprowadzałem moją piękną kuzynkę Żelu, wyzwał mnie od makaroniarzy. To był pretekst, żeby się bić i zwrócić na siebie uwagę dziewczyny.

- No, wal! - mówił Takis.

Uderzyłem bojaźliwie.

* Mistrz Francji w wadze półciężkiej (1938), mistrz świata w wadze średniej (1948). Zginął w wypadku lotniczym.

- Mocniej, cholera! Mocniej! Nie bój się, jestem przyzwyczajony.

Nadstawił policzek, żebym mu przyłożył. Uderzyłem go. Potem jeszcze raz. Lewy prosty. Takis Mavros mnie pochwalił.

- Śmiało, synu.

Uderzyłem znów, z całej siły. Zrobił unik i trafiłem nosem w jego ramię, twarde i muskularne. Krew mi poleciała, patrzyłem oglupiały, jak kapie na ring.

Cały ring był we krwi.

Nie mogłem oderwać oczu. Niech to szlag, Georges! Nie zdążyliśmy się nawet ostatni raz upić!

- Montale.

Helena Pessayre położyła mi rękę na ramieniu. Ciepło jej dłoni rozpałiło moje ciało. Pomogło. Odwróciłem się do niej. Wyczytałem w jej oczach odrobinę smutku i furę złości.

- Musimy pogadać.

Rozejrzała się. W sali kłębiło się od ludzi. Dostrzegłem dwóch gliniarzy z jej ekipy. Alain Beraud przyjaźnie kiwnął mi ręką.

- Tędy - powiedziałem, wskazując pakamerę, która służyła Mavrosowi jako biuro.

Zdecydowanym krokiem ruszyła we wskazaną stronę. Ubrana była tego dnia w zielone płócienne spodnie i luźny, zakrywający pośladki czarny podkoszulek. „Pewnie jest uzbrojona” - pomyślałem.

Otworzyła drzwi, przepuściła mnie przodem. Zamknęła drzwi za sobą. Na ułamek sekundy zajrzeliśmy sobie głęboko w oczy. Byliśmy prawie równego wzrostu. Z całej siły trzasnęła mnie w pysk, nim zdążyłem wyciągnąć papierosa. Zaskoczony, wypuściłem paczkę z ręki. Schyliłem się, żeby ją podnieść. Do jej stóp. Policzek mnie palił. Wyprostowałem się, spojrziałem Helenie w oczy. Nie mrugnęła okiem.

- Miałam wielką ochotę - powiedziała chłodno.

I dalej tym samym tonem:

- Niech pan siada.

Nie usiadłem.

- Pierwszy raz dostałem w twarz od kobiety.

- Jeśli pan chce, żeby był ostatni, niech pan powie wszystko, co pan wie, Montale. Szanuję pana, ale nie jestem Loubetem. Nie mam czasu na to, żeby pana śledzić i stawiać hipotezy na temat tego, co pan wie. Chcę znać prawdę. Nienawidzę kłamstwa, powiedziałam panu wczoraj.

- I że mi pani nie wybaczysz, jeśli będę kłamał.

- To pańska druga szansa, Montale.

Dwa trupy, dwie szanse. Ta jest ostatnia. Jak ostatnie życie. Zderzyliśmy się wzrokiem. Nie było jeszcze wojny między nami.

- Proszę, to dla pani.

Położyłem na stole pięć dyskietek od Babette. Pierwszą serię kopii, jakie Cyryl zrobił dla mnie w nocy. Zależało mu na tym. Przez ten czas Sebastian i jego kumple puszczali mi nagrania nowych grup marsylijskich rapowców. Ja się zatrzymałem na IAM i Massilia Sound System. Podobno byłem zapóźniony.

Dzięki nim odkryłem Fonky Family, młodych z Panier i Belsunce - kiedyś należeli do Bads Boys z Marsylii - oraz zespół Trzecie Oko, prosto z dzielnic północnych. Nie przepadam za rapem, ale to, co opowiadali, robiło na mnie wrażenie. Jakość tekstów. Trafne sformułowania. Śpiewali o życiu swoich rówieśników, na ulicy albo w poprawczaku. O łatwej śmierci. O wyrostkach, którzy kończyli w psychiatryku. Przez całe lata miałem do czynienia z ich światem.

- Co to jest? - spytała Helena Pessayre, nie dotykając dyskietek.

- Antologia poczynań mafii. Jak najbardziej aktualna. Jest czym rozniecić pożar od Marsylii po Niceę.

- Czyżby? - powiedziała z niedowierzaniem.
- Jak je pani przeczyta, trudno pani będzie szwendać się po korytarzach na komendzie. Będzie się pani zastanawiała, kto pani strzeli w plecy.

- Gliniarze są w to zamieszani?

Nie traciła spokoju. Nie wiem, skąd miała w sobie taką siłę, ale wydawało się, że nic nie jest w stanie jej poruszyć. Jak Loubet. Moje przeciwieństwo. Może dlatego nie udało mi się zostać dobrym gliniarzem. Zbytwno uzewnętrzniałem swoje uczucia.

- Masa ludzi jest w to zamieszana. Politycy, przemysłowcy, przedsiębiorcy. Znajdzie tu pani ich nazwiska, sumy, jakie otrzymali, nazwy banków, w których ulokowali pieniądze, numery kont. Wszystko. Jeżeli chodzi o gliniarzy...

Usiadła. Ja również.

- Poczęstuje mnie pan papierosem?

Podsunałem jej paczkę, podałem ogień. Lekko dotknęła dłonią mojej dłoni, żeby przyciągnąć do siebie zapalniczkę.

- Jeżeli chodzi o gliniarzy? - podjęła.

- Można powiedzieć, że jeśli chodzi o wymianę informacji, trzymają sztamę z mafiosami.

W raporcie dotyczącym departamentu Var Babette pisała, że Jean-Louis Fargette przez całe lata słono płacił policjantom za podsłuch telefoniczny pewnych polityków. Po to, żeby się upewnić, czy wywiązują się należycie z opłat, jakie mu mieli uiszczać. Żeby móc ich przycisnąć, jakby co. Bo podsłuch obejmował niekiedy ich życie prywatne. Rodzinne. Odchylenia seksualne. Prostyucję. Pedofilię.

Helena Pessayre zaciągnęła się głęboko dymem. Miała w sobie coś z Lauren Bacall. Tyle że była bardziej naturalna. Siedziała twarzą zwrócona do mnie, ale patrzyła gdzieś w dal, pewnie tam, gdzie widziała powody, dla których została gliniarzem.

- Co jeszcze? - spytała, znowu spojrzawszy na mnie.

- Wszystko, co zawsze chciała pani wiedzieć. Proszę...

Miałem przed oczyma inny fragment artykułu, który Babette zaczęła redagować.

„Legalne i nielegalne interesy coraz bardziej splatają się ze sobą, powodując radykalną zmianę strukturalną powojennego kapitalizmu. Mafie inwestują w legalne interesy, te zaś z kolei kierują swoje zasoby finansowe ku gospodarce przestępczej, poprzez przejęcie kontroli nad bankami i spółkami handlowymi, zamieszanymi w pranie brudnych pieniędzy lub utrzymującymi stosunki z organizacjami przestępczymi.

Banki twierdzą, że transakcje te są przeprowadzane w dobrej wierze i że ich kierownictwo nie zna pochodzenia zdeponowanych pieniędzy. Wielkie banki nie tylko zgadzają się na pranie brudnych pieniędzy w zamian za sowiłą opłatę, ale też udzielają wysoko oprocentowanych kredytów przestępczym mafiom ze szkodą dla produktywnych inwestycji przemysłowych czy rolniczych.

Istnieje ścisły związek - pisała Babette - między światowym zadłużeniem, nielegalnym handlem i praniem brudnych pieniędzy. Od czasu kryzysu zadłużenia na początku lat osiemdziesiątych ceny surowców spadły, co spowodowało dramatyczną bessę w krajach rozwijających się. Na skutek wymogów oszczędności, narzuconych przez międzynarodowych wierzycieli, zwalnia się urzędników państwowych, sprzedaje za bezcen przedsiębiorstwa państwowe, zamraża inwestycje i zmniejsza kredyty na rzecz rolników i drobnych przedsiębiorców. Wraz ze wzrostem bezrobocia i obniżką płac gospodarka legalna przeżywa kryzys”.

Oto do czego doszliśmy, powiedziałem sobie w nocy, czytając te zdania. Bieda zajęła całą przestrzeń tego, co nazywamy przyszłością. Do jakiej wysokości wzrosła grzywna, którą musi zapłacić matka rodziny za kradzież befsztyka w supermarkecie? Ile miesięcy więzienia dostaną chłopaki ze Strasburga za wybite szyby w miejskim autobusie?

Przypomniały mi się słowa Fonfona. Gazeta bez etyki to żadna gazeta. A społeczeństwo pozbawione etyki to żadne społeczeństwo. Kraj bez etyki również. Łatwiej wysłać gliniarzy, żeby wyrzucili komitety bezrobotnych z lokali ANPE*, niż zwalczać zło w zarodku. Draństwo, które przeżarło ludzkość do szpiku kości.

Bernard Bertossa, prokurator generalny Genewy, w wywiadzie udzielonym Babette oświadczył na koniec: „Przeszło dwa lata temu zamroziliśmy pieniądze pochodzące z handlu narkotykami we Francji. Sprawcy zostali skazani, ale francuski wymiar sprawiedliwości, mimo wielokrotnych napomnień, wciąż nie zgłasza się po zwrot tych kwot”.

No tak, do tegośmy doszli: zero moralności.

Spojrzałem w oczy Helenie Pessayre.

- Za długo byłoby tłumaczyć. Niech pani sama przeczyta, jeśli pani może. Ja ograniczyłem się do listy nazwisk. Nie mam odwagi zgłębiać tego do końca. Nie wiem, czy po takiej lekturze mógłbym się jeszcze cieszyć widokiem morza z mojego tarasu.

Uśmiechnęła się.

- Skąd pan ma te dyskietki?

- Od przyjaciółki. Przyjaciółki dziennikarki. Nazywa się Babette Bellini. Bada te sprawy od wielu lat. Istna obsesja.

- Jaki to ma związek ze śmiercią Soni De Luca i Georges'a Mavrosa?

- Mafia zgubiła trop Babette. Chcą położyć na niej łapę, żeby odzyskać pewne dokumenty. I pewne listy, jak sądzę. Te z nazwami banków, numerami kont indywidualnych itd.

Przymknąłem na moment oczy, żeby ujrzeć twarz Babette i jej uśmiech.

- Chcą ją, oczywiście, zabić - dorzuciłem.

- A jaka jest pańska rola w tym wszystkim?

* Urząd Zatrudnienia.

- Kazali mi ją odszukać. I żeby mnie do tego skłonić, mordują ludzi, których Kocham. Są gotowi kontynuować tę zabawę i zlikwidować osoby naprawdę mi bliskie.

- Pan kochał Sonię?

Głos jej zmiekkł. Teraz kobieta zwracała się do mężczyzny. Pytała o niego i o inną kobietę. Poufale, jakby coś nas łączyło.

Wzruszyłem ramionami.

- Chciałem się z nią jeszcze spotkać.

- To wszystko?

- Nie, nie wszystko - odpowiedziałem oschle.

- Co jeszcze?

Nalegała, ale delikatnie, zmuszając mnie do powiedzenia głośno tego, co przeżyłem tamtej nocy. Znow skurcz w żołądku.

- Kobieta może wzbudzić w mężczyźnie coś więcej niż pożądanie - powiedziałem podniesionym głosem. - Rozumie pani? Poczułem wtedy, że coś nas może czeka w przyszłości. Że możemy być razem.

- Wystarczył jeden wieczór?

- Jeden wieczór czy sto, jedno spojrzenie czy tysiąc, to nie ma znaczenia.

Teraz niemal krzychałem.

- Spokojnie, Montale - powiedziała.

Rzeczywiście, uspokoilem się. Jej głos, w którym słyszałem radość i śmiech lat spędzonych w Algierze, działał na mnie kojąco.

- Myślę, że wie się od razu, czy to, co się dzieje między dwojgiem ludzi, wróży jedną noc czy coś więcej. Nie tak?

- Owszem, też tak uważam - powiedziała, nie spuszcza-
jąc ze mnie oczu. - Pan jest nieszczęśliwy, Montale?

Cholera! Czy mam nieszczęście wypisane na twarzy? Sonia powiedziała to samo Honorine. A teraz Helena Pessayre - prosto w pysk. Czyżby Lola ogołociła mnie doszczętnie ze szczęścia? Zabrała ze sobą wszystkie moje marzenia?

Moje racje bytu? Czy też po prostu nie potrafię ich sam w sobie znaleźć?

Po odejściu Pascale Mavros powiedział mi:

- Widzisz, ona strasznie szybko przewracała stronic... Pięć lat śmiechów, radości, nieraz kłótni, miłości, czułości, nocy, poranków, marzeń, podróży... Wszystko w zawrotnym tempie aż do słowa „koniec”. Które napisała sama, własnoręcznie. I zabrała książkę ze sobą. A ja...

Nie mogłem powstrzymać łez. Słuchałem go w milczeniu. Nie umiałem mu pomóc.

- Nie mam po co żyć. Nikogo tak nie kochałem jak Pascale. Ją jedną, Fabio, ją jedną! Teraz wszystko, co robię, robię bez natchnienia. No bo trzeba coś robić. Na tym polega życie. Ale w głowie mam pustkę. I w sercu też.

Stuknął się palcem wpierw w głowę, potem w pierś.

- Nic tu nie ma.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Nie było nic do powiedzenia. Nie ma odpowiedzi. Uświadomiłem to sobie, kiedy odeszła Lola.

Tamtej nocy zabrałem Mavrosa do domu. Po długiej rundzie po barach w porcie. Od Cafe de la Mairie po Bar de la Marine. Z długim przystankiem u Hassana. Położyłem Georges'a na kanapie, butelka lagavulina stała w zasięgu ręki.

- W porządku?

- Mam wszystko, czego mi trzeba - powiedział, wskazując butelkę.

Potem poszedłem wśliznąć się do łóżka obok Loli. Przytulić się do jej gorącego, gładkiego ciała. Przywrzeć członkiem do jej pośladków, położyć dłoń na jej piersi. Ściskałem ją tak, jak dziecko uczące się pływać chwyta się deski. Kurczowo. Miłość Loli pozwalała mi utrzymać głowę na powierzchni życia. Nie utonąć. Nie dać się porwać fali.

- Pan nie odpowiada? - powiedziała Helena Pessayre.

- Potrzebuję adwokata.

Roześmiała się. Ulżyło mi.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę.

Beraud, ten, co pracował w jej ekipie.

- Skończyliśmy, pani komisarz. (Spojrzał na mnie.) Będzie mógł zidentyfikować zwłoki?

- Tak, zaraz - powiedziałem.

- Zaczekajcie jeszcze chwilę, Alain.

Zamknął drzwi za sobą. Helena Pessayre wstała z krzesła, przeszła się tam i z powrotem po malutkim biurze, po czym stanęła przede mną.

- Jeśli pan znajdzie Babette Bellini, powie mi pan?

- Tak jest - odparłem bez wahania, patrząc jej prosto w oczy.

Podniosłem się z miejsca. Staliśmy naprzeciwko siebie jak wtedy wcześniej, nim mnie spoliczkowała. Zadałem zasadnicze pytanie:

- I co wtedy zrobimy? Jeśli ją znajdę?

Po raz pierwszy poczułem, że Helena Pessayre jest w rozterce. Jakby domyślała się słów, które za chwilę padną.

- Zapewnicie jej ochronę, tak? Aż do czasu, kiedy zatrzymacie morderców, o ile się wam uda. A co potem? Kiedy się zjawią następni mordercy. I jeszcze następni?

To był mój sposób walenia w pysk. Wytknąć gliniarzowi to, czego nie jest w stanie znieść. Bezsilność.

- Przeniosą panią nie do Saint-Brieuc, jak Loubeta, ale do jakiejś zapadłej dziury, zobaczy pani.

Zbladła i pożałowałem, że się uniosłem. Że tak mało dusznie zemściłem się za tamten policzek.

- Proszę mi wybaczyć.

- Ma pan jakiś pomysł? Jakiś plan? - spytała chłodno.

- Nie. Nic. Mam tylko ochotę stanąć twarzą w twarz z facetem, który zabił Sonię i Georges'a. I go załatwić.

- Nonsens.

- Może. Ale tylko tak można wymierzyć sprawiedliwość tym ścierwom.

- Nie o to mi chodzi. Nonsensem jest narażać swoje życie.

Spojrzała na mnie miękko.

- Chyba bardzo pan nieszczęśliwy.

Rozdział trzynasty,
w którym łatwiej jest coś komuś wytłumaczyć,
niż to zrozumieć samemu

Syreny strażackie brutalnie wyrwały mnie ze snu. Przez otwarte okno wdzierą się do pokoju woń spalenizny. Gorące, przyprawiające o mdłości powietrze. Później dowiedziałem się, że pożar wybuchł na komunalnym wysypisku śmieci. W Septiemes-les-Vallons, gminie sąsiadującej z Marsylią na północy. Dwa kroki stąd, od mieszkania Georges'a Mavrosa.

Powiedziałem Helenie Pessayre:

- Śledzą mnie. Jestem pewien. Tamtej nocy Sonia odwiozła mnie do domu. I została ze mną. Wystarczyło za nią pojechać rano, żeby trafić do jej domu. Do Mavrosa sam ich zaprowadziłem. Jeśli dziś czy jutro spotkam się z jakimś kumplem, znajdzie się na ich liście.

Staliśmy wciąż w biurze Mavrosa. Próbowaliśmy wymyślić jakiś plan, który by mnie uwolnił z zaciskającej się petli. Morderca zadzwoni wieczorem. Czeka na fakty. Mam mu powiedzieć, gdzie jest Babette albo coś w tym rodzaju. Jeśli mu nie udzielę wiarygodnych informacji, znowu kogoś zabije. Fonfona albo Honorine, o ile nie weźmie na ząb któregoś z moich kumpli.

- Jestem w kropce - skłamałem.

To było niecałą godzinę temu.

- Nie mogę się ruszyć, nie narażając życia bliskiej mi osoby.

Spojrzała mi w oczy. Znałem już trochę jej spojrzenie. Nie ufała mi do końca, w tym wzroku czaiło się wątplenie.

- Może to jakaś szansa.

- Co?

- Że nie może się pan ruszyć - powiedziała lekko ironicznie. - To ich słaby punkt, że pana śledzą.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Wcale mi się to nie podobało.

- Nie rozumiem.

- Pan mnie ma za idiotkę, Montale? Doskonale pan rozumie. Śledzą pana, i właśnie dlatego ich dorwiemy.

- Niby jak? Zatrzymacie ich przy pierwszym czerwonym świetle?

Pożałowałem swoich słów. Dostrzegłem smutek w jej oczach.

- Przepraszam panią, Heleno.

- Poczęstuje mnie pan papierosem?

Podąłem jej paczkę.

- Nigdy pani nie kupuje papierosów?

- Pan je zawsze ma. A często się widzimy, nieprawdaż?

Powiedziała to z uśmiechem. Znużonym głosem.

- Nigdy do niczego nie dojdziemy, Montale, jeśli pan...

Szukała słów, zaciągnęła się papierosem.

- ...jeśli pan we mnie nie uwierzy. Nie we mnie jako funkcjonariusza policji, ale jako człowieka. Po naszej rozmowie nad morzem sądziłam, że pan to zrozumiał.

- Co miałem zrozumieć?

Wyrwały mi się te słowa. Ledwie je wypowiedziałem, rozdzwoniły się w mojej głowie. Boleśnie. Dokładnie to samo powiedziałem Loli tamtej okropnej nocy, kiedy mi oświadczyła, że między nami wszystko skończone. Lata mijają, a ja wciąż zadaję to samo pytanie. Wciąż nie rozu-

miem, o co chodzi. Którejś nocy, po odejściu Pascale, powiedziałem Mavrosowi: „Jeśli wciąż wracasz do tego samego miejsca, to znaczy, że się kręcisz w kółko. Że się zgubiłeś...” Pokiwał głową. Tak, kręcił się w kółko. Zgubił się. Łatwiej jest coś komuś wytłumaczyć, niż to zrozumieć samemu.

Helena Pessayre uśmiechnęła się tak samo jak wtedy Lola. Ale odpowiedziała trochę inaczej.

- Dlaczego pan nie ufa kobietom, Montale? Co panu zrobiły? Nie dość panu dały z siebie? Rozczarowały pana? Cierpiał pan z ich powodu, o to chodzi?

Znów mnie rozłożyła na łopatki.

- Może. Owszem, cierpiałem.

- Mnie też spotykały rozczarowania. Też cierpiałam przez mężczyzn. Czy to powód, żeby czuć do pana niechęć?

- Nie czuję do pani niechęci.

- Powiem panu jedną rzecz, Montale. Czasami patrzy pan na mnie w taki sposób, że robi mi się nieswojo. I czuję, że mnie porywa fala uczuć.

- Heleno... - próbowałem jej przerwać.

- Niech pan milczy! Kiedy pan patrzy na kobietę, na mnie czy na jakąkolwiek inną, zmierza pan prosto do sedna. Ale zmierza pan tam ze swoimi lękami, wątpliwościami, cierpieniem, ze wszystkim, co panu leży sercu i co każe panu mówić: „To się nie uda, to się nie może udać”. Pan nie wierzy w możliwość szczęścia.

- Bo pani wierzy, tak?

- Wierzę w prawdziwe związki między ludźmi. Między kobietami i mężczyznami. Bez lęku, a więc i bez kłamstw.

- No tak. I do czego nas to prowadzi?

- Do tego. Dlaczego tak panu zależy na tym, żeby zabić tego typa, tego mordercę?

- Z powodu Soni. A teraz także z powodu Mavrosa.

- Rozumiem, że Mavrosa. Był pańskim przyjacielem. Ale Sonia? Już pana o to pytałam. Kochał ją pan? Poczł pan tamtej nocy, że ją pan kocha? Nie odpowiedział mi pan. Wspomniał pan tylko, że chciał się pan z nią jeszcze spotkać.

- Tak, chciałem się z nią spotkać. I...

- I że może albo nawet na pewno... Tak pan myślał? Jak zwykle. Chciał pan się z nią jeszcze spotkać, ale nie był pan zdolny wyczuć jej oczekiwań i pragnień. Czy zdarzyło się panu ofiarować kobiecie wszystko? Naprawdę wszystko?

- Owszem - odpowiedziałem z myślą o Loli.

Helena Pessayre spojrzła na mnie miękko. Tak jak wtedy na tarasie u Ange'a, kiedy położyła dłoń na mojej dłoni. Ale i tym razem nie powie mi: „Kocham cię”. Nie przytuli się do mnie. Byłem tego pewien.

- Tak się panu wydaje, Montale. Ale ja panu nie wierzę. I ta kobieta też panu nie uwierzyła. Bo nie miał pan do niej pełnego zaufania. Nie powiedział jej pan, że w nią wierzy. Ani jej pan tego nie okazał. Nie wystarczająco, w każdym razie.

- Dlaczego miałbym pani ufać? Przecież o to pani chodzi. Tego pani chce? Żeby pani zaufała.

- Tak. Raz w życiu, Montale. Niech pan zaufa kobiecie. Mnie. A wtedy ja zaufam panu. Jeśli mamy razem, we dwojkę, ułożyć plan, muszę być pana pewna. Muszę być przekonana, że ma pan swoje racje, żeby zabić tego typa.

- I pozwoli mi pani go zabić? - spytałem ze zdziwieniem.

- Tak, jeśli powoduje panem nie nienawiść ani rozpacz, tylko miłość. Miłość, jaką wzbudziła w panu Sonia. Wie pan, nie brak mi zdecydowania. Ani poczucia sprawiedliwości. Ale... Jak pan myśli, ile lat dostał Giovanni Brusca, najbardziej krwiożerczy mafioso?

- Nie wiedziałem, że go aresztowano.

- Rok temu. We własnym domu. Jadł spaghetti z rodziną. Dwadzieścia sześć lat. Zabił sędziego Falcone.

- I jedenastoletnie dziecko.

- Tylko dwadzieścia sześć lat. Nie miałabym żadnych wyrzutów sumienia, gdyby ten facet raczej zdechł, niż stanął przed sądem. Ale... do tego nam jeszcze daleko.

Tak, do tego było nam jeszcze daleko. Wstałem z łóżka. Zewsząd nadal dochodziło wycie syren strażackich. Nieprzyjemne, gryzące powietrze. Zamknąłem okno. Przespałem pół godziny na legowisku Mavrosa. Helena Pessayre i jej ekipa odjechali. A ja za jej zgodą poszedłem do mieszkania Mavrosa, znajdującego się nad salą bokserską. Miałem tu poczekać na inną ekipę, żeby rozpoznać samochód filujących mnie typów. Nie było wątpliwości, że muszą gdzieś tu warować pod drzwiami albo w pobliżu.

- Ma pani takie możliwości?

- Mam dwa trupy na tapecie.

- Wspomniała pani o hipotezie mafii w swoich raportach?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego?

- Bo zapewne odebrano by mi śledztwo.

- Ryzykantka z pani.

- Nie. Dokładnie wiem, w co wdeptuję.

W mieszkaniu Mavrosa panował idealny porządek. Było w tym coś wręcz niezdrowego. Wszystko wyglądało tak jak przed odejściem Pascale. Prawie niczego ze sobą nie zabrała. Zaledwie parę drobiazgów: bibeloty, podarunki od Mavrosa, trochę naczyń, trochę płyt i książek. Telewizor. Nowy odkurzacz, który dopiero co kupili.

Wspólni znajomi ich obojga, Jean i Bella, odstąpili Pascale za niewielki czynsz swój rodzinny dom, całkowicie umeblowany, na rue Villa-Paradis, w spokojnym zakątku

Marsylii. Urodziło im się trzecie dziecko i w małym, jedno-piętrowym domku zrobiło się ciasno.

Pascale od razu pokochała to miejsce. Ulica przypominała małomiasteczkową uliczkę i pewnie będzie ją przypominać jeszcze przez długie lata. Mavrosowi, który nie rozumiał tej decyzji, powiedziała: „Nie porzucam cię z powodu Benoit. Odchodzę dla siebie. Muszę się zastanowić nad swoim życiem. Nie naszym. Moim. Może kiedyś zobaczę cię takim, jakim cię powinnam widzieć, takim, jakim cię widziałam wcześniej”.

Mavros zrobił ze swego mieszkania grobowiec wspomnień. Nawet łóżko, na które dopiero co padłem, kompletnie wypompowany, wyglądało, jakby go nikt nie ścielił, od kiedy Pascale odeszła. Zrozumiałem, dlaczego tak pośpiesznie znalazł sobie dziewczynę. Żeby nie być zmuszonym tu spać.

Najsmutniej było w klozecie. Na ścianie wisały pod szkłem naklejone obok siebie najlepsze zdjęcia z ich wspólnych, szczęśliwych lat. Wyobraziłem sobie, jak Mavros, sikając rano, w południe i wieczorem, patrzy na porażkę swego życia. „Powinien był przynajmniej to usunąć” - pomyślałem sobie.

Zdjąłem szybko i postawiłem ją ostrożnie na ziemi. Zależało mi na jednym zdjęciu. Tym, które zrobiła im kiedyś Lola. Pewnego lata u przyjaciół w La Ciotat. Georges i Pascale śpiący na ławce w ogrodzie. Głowa Georges'a spoczywa na ramieniu Pascale. Spokojne oddechy. Szczęście. Ostrożnie odkleiłem zdjęcie i wsunąłem je do portfela.

Zadzwoił telefon. Odezwała się Helena Pessayre.

- W porządku, Montale. Moi ludzie są na miejscu. Namierzyli ich. Dwóch facetów w metalicznie błękitnym fiacie punto. Stoją pod numerem 148.

- Dobra - powiedziałem, czując ucisk w sercu.

- Trzymamy się naszego planu?

- Tak jest.

Powinienem być bardziej rozmowny, dodać parę słów. Ale właśnie wymyśliłem, jak mógłbym spotkać się bezpiecznie z Babette. Tak, żeby nikt o tym nie wiedział, z Heleną Pessayre włącznie.

- Montale?

- Słucham.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Co się dzieje? To strażacy?

- Pożar. Ogromny. Zaczął się w Septemes, ale się rozszerza. Podobno w okolicy Plan-de-Cuques wybuchł kolejny pożar, ale nic bliżej o tym nie wiem. Najgorsze, że kanadery nie mogą wkroczyć do akcji z powodu mistralu.

- Niech to szlag. (Zaczerpnąłem powietrza.) Heleno?

- Tak?

- Zanim pojadę do domu, jak ustaliliśmy... chciałbym zajrzeć do starego kumpla.

- Do kogo?

Wyczułem nieufność w jej głosie.

- Nie robię żadnych numerów, Heleno. Nazywa się Feliks. Miał kiedyś restaurację na rue Caisserie. Obiecałem, że do niego wpadnę. Często chodzimy razem na ryby. Mieszka w Vallon-des-Auffes. Muszę do niego wpaść, nim wrócę do domu.

- Dlaczego nie powiedział mi pan o tym wcześniej?

- Dopiero teraz sobie przypomniałem.

- Niech pan do niego zadzwoni.

- Nie ma telefonu. Od kiedy umarła mu żona i przeszedł na emeryturę, woli mieć spokój. Jak się chce do niego zadzwonić, trzeba mu wcześniej zostawić wiadomość w sąsiedniej pizzerii.

Wszystko to było prawdą.

- On mnie nie potrzebuje usłyszeć, tylko zobaczyć - dodałem.

- No tak.

Wydawało mi się, że słyszę, jak waży za i przeciw.

- Jak pan chce to zrobić?
- Zostawię wóz na parkingu Centre-Bourse, wjadę schodami na górę do centrum handlowego, wyjdę stamtąd i wezmę taksówkę. Zajmie mi to godzinę.
- A jeśli będą pana śledzić?
- Zauważę.
- No dobrze, niech będzie.
- Do zobaczenia.
- Montale, gdyby pan trafił na ślad Babette Bellini, proszę o mnie nie zapominać.
- Nie zapomnę, pani komisarz.

Nad północnymi dzielnicami unosił się potężny słup czarnego dymu. Gorące powietrze wdarło się do moich płuc i pomyślałem sobie, że jeśli mistral nie osłabnie, będziemy żyć z tym dymem jeszcze wiele dni. Dotkliwych. Płonące lasy, krzewy, nawet mchy to dramat dla całego regionu. Wszyscy mieli jeszcze w pamięci straszliwy pożar w sierpniu 1989 roku, kiedy spłonęło trzy tysiące pięćset hektarów na zboczach Sainte-Victoire.

Wszedłem do najbliższego baru i zamówiłem piwo. Właściciel, tak samo jak klienci, słuchał radia Provence. Ogień przerzucił się i ogarnął zieloną strefę w Plan-de-Cuques. Zaczęła się ewakuacja mieszkańców willi stojących na uboczu.

Uprzytomniłem sobie, że mój plan umieszczenia Babette w bezpiecznym miejscu powiedzie się pod jednym warunkiem. Że mistral się uspokoi. A mistral mógł wiać jeszcze przez dwa, trzy, sześć albo i dziewięć dni.

Wypiłem piwo do końca i zamówiłem następne. Kości zostały rzucone, powiedziałem sobie. Zobaczymy, czy mam jeszcze przyszłość przed sobą. Jeśli nie, to z pewnością jest jakieś miejsce pod ziemią, gdzie spokojnie zagramy sobie w belotkę z Manu, Ugiem i Mavrosem.

Rozdział czternasty,
w którym znajdujemy dokładny sens wyrażenia
„śmiertelna cisza”

Ruszyłem z miejsca. Tamci za mną. Najpierw samochód z mafiosami, dalej gliniarze. W innych okolicznościach bawiłby mnie taki pościg, ale nie było mi do śmiechu. Musiałem po prostu zrobić to, co postanowiłem, i tyle. Bez emocji. Jak siebie znam, im mniej się będę przejmował, tym większe szanse, że dopnę swego.

Czułem się wykończony. Śmierć Mavrosa dopiero teraz w pełni do mnie dotarła. Jakby jego zwłoki spoczęły w moim ciele. Byłem jego trumną. Półgodzinny sen przegonił falę uczuć, która mnie zalała, kiedy go ujrzałem po raz ostatni.

Helena Pessayre zdecydowanym gestem odsłoniła twarz Mavrosa aż po podbródek i zerknęła na mnie. Identyfikacja zwłok była czystą formalnością. Pochyliłem się powoli nad ciałem Georges'a. Delikatnie, koniuszkami palców, pogłaskałem siwiejące włosy, potem pocałowałem go w czoło.

- Cześć, stary - rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

Helena Pessayre wzięła mnie pod ramię i szybko od prowadziła w drugi kąt sali.

- Miał rodzinę?

Angelica, matka Georges'a, po śmierci męża wróciła do Nafplionu na południu Peloponezu. Panajotis, starszy brat, od dwudziestu lat mieszkał w Nowym Jorku. Nie spotkali

się przez ten czas ani razu. Najmłodszy z trójki, Andreas, mieszkał we Frejus, ale Georges od dziesięciu lat był z nim pokłócony. W 1981 roku Andreas z żoną głosowali na socjalistów, później na RPR*, wreszcie na Front Narodowy. Nie miałem ochoty kontaktować się z Pascale. Nie wiem nawet, czy zachowałem jej numer telefonu. Zniknęła z życia Georges'a. Tym samym i z mojego.

- Nie - skłamałem. - Byłem jego jedynym przyjacielem. On był ostatni.

Teraz nie ma już w Marsylii ani jednej osoby, do której mógłbym zadzwonić. Oczywiście, jest sporo ludzi, których lubię, jak Didier Perez i paru innych. Ale nikomu nie mógłbym powiedzieć: „A pamiętasz...” Przyjaźń to właśnie to: suma wspólnych wspomnień, które można wyłożyć na stół obok pięknego okonia, zapiekanego w koprze. Tylko to „a pamiętasz...” pozwala się zwierzać z najbardziej intymnych doznań, z tych obszarów życia, gdzie zwykle panuje konfuzja.

Przez całe lata karmiłem Mavrosa moimi wątpliwościami, lękami, rozterkami. Często mnie wkurzały jego zdecydowane poglądy, twarde przekonania, niepodważalne nadzieje. Ale kiedy osuszyliśmy jedną czy dwie butelki, zależnie od nastroju, zawsze dochodziliśmy do wniosku, że z którejkolwiek strony by się do tej kwestii dobrać, wychodzi na to, że życie to wieczna loteria.

Dojechawszy do Centre-Bourse, zrobiłem to, co umyśliłem zrobić. Bez trudu znalazłem miejsce na drugim poziomie podziemnego parkingu. Ruchomymi schodami wjechałem do centrum handlowego. Chłodne, klimatyzowane powietrze przyjemnie mnie zaskoczyło. Chętnie bym tu spędził resztę popołudnia. Ludzi było dużo. Mistral wygonił marsylczyków z plaży, każdy zabijał czas, jak potrafił. Zwłaszcza mło-

* RPR - partia gaullistowska.

dzi. Mogli gapić się na dziewczyny, wychodziło taniej niż bilet do kina.

Założyłem, że jeden z dwóch mafiosów będzie mnie śledził. Założyłem również, że nie będzie zachwycony, jeśli zacznę się szwendać między półkami z letnią wyprzedażą ciuchów. Toteż pokręciwszy się trochę wśród koszul i spodni, wjechałem głównymi schodami na drugie piętro, skąd przeszedłem po metalowym mostku nad rue Bir-Hakeim i rue des Fabres, i zjechałem drugimi schodami na Canebiere*. Zrobiłem to z jak największą nonszalancją.

Postój taksówek znajdował się dwa kroki dalej. Pięciu szoferów stało przy samochodach, wyczekując klientów.

- Widział pan to? - zagadnął mnie jeden i pokazał palcem błotnik swojego wozu.

Osiadła na nim cienka smuga sadzy. Wtedy dopiero spostrzegłem, że w powietrzu wirują płatki popiołu. Pożar musiał być gigantyczny.

- Sakramencki pożar - powiedziałem.

- Sakramencki mistral! Pali się jak cholera i nikt nic nie może zrobić. Wysłali nie wiem ilu strażaków. Tysiąc pięćset, tysiąc osiemset... Ale ogień jest wszędzie. Podobno Allauch też płonie.

- Allauch?!

Jeszcze jedna gmina na obrzeżach Marsylii. Tysiąc mieszkańców. Ogień trawił zielony pas wokół miasta. Niebawem ogarnie kolejne miasteczka: Simiane, Mimet...

- W dodatku wszyscy zajmują się ratowaniem ludzi i domów.

Zawsze to samo. Wysiłki strażaków, zrzuty wody z kanaderów - gdy mogły latać - koncentrowały się przede wszystkim na ochronie willi i osiedli. Można się było zastanawiać, dlaczego nie obowiązuje surowa reglamentacja, którą budowniczowie musieliby respektować. Zapory wodne.

* Główna arteria Marsylii.

Zbiorniki. Strefy przeciwpożarowe. Wozy strażackie nie były czasem w stanie przejechać między domami a frontem ognia.

- Co mówią o mistralu?

- Pod wieczór powinien się uspokoić. Przycichnąć. O kurwa, oby tak było.

- Oby! - powtórzyłem w zadumie.

Miałem ogień w głowie. Oczywiście. Ale nie tylko ogień.

- Co to można wiedzieć, Fabio - powiedział Feliks.

Zdziwił się na mój widok. Zwłaszcza że zjawiłem się po południu. Wpadałem do niego raz na dwa tygodnie. Zwykle po wyjściu z baru Fonfona przyjeżdżałem na aperitif. Gadaliśmy godzinę czy dwie. Bardzo cierpiał po śmierci Celesty. Początkowo wydawało się, że jej nie przeżyje. Przestał jeść, przestał wychodzić z domu. Nie chciało mu się nawet iść na ryby, a to już naprawdę zły znak.

Feliks był wędkarzem niedzielnym. Ale należał do stowarzyszenia rybaków z Vallon-des-Auffes. Sami Włosi z rejonu Rapalio, Santa Margerita i Maria del Campo. Razem z Bernardem Grandoną i Gilbertem Georgim organizował Saint-Pierre, święto rybackich patronów. W zeszłym roku zabrał mnie na łódkę, bym mógł być świadkiem ceremonii na pełnym morzu. Capstryk za zaginionych, deszcz kwiatów i kwietnych płatków ku ich pamięci.

Honorine, przyjaciółka Celesty od dziecka, i Fonfon do trzymywali towarzystwa Feliksowi na zmianę ze mną. Zapraszaliśmy go na obiad w weekendy. Przyjeżdżałem po niego, a wieczorem odwoziłem go do domu. Aż którejś niedzieli Feliks przyplynał do mnie łódką z samego rana. Przywiózł świeżo złowione ryby. Piękne trofea. Dorady, okonie morskie, nawet węgorze.

- A niech cię! - Roześmiał się, wchodząc po schodkach na taras. - Nawet nie przygotowałeś żaru!

To zwycięstwo życia nad śmiercią wzruszyło mnie bardziej niż święto Saint-Pierre. Wypadało je oblać jak należy. Feliks po raz enty opowiedział nam o swoim dziadku, który, kiedy już postanowił się ożenić, wyruszył szukać żony do Rapallo.

- I to żaglówką, wyobraźcie sobie! - zawołaliśmy chórem, nim skończył opowiadać.

Popatrzył na nas speszony.

- Gadam pod siebie, co?

- Ależ skąd, Feliksie! - zaprzeczyła Honorine. - Wcale nie gadasz pod siebie. Wspomnienia można opowiadać setki razy. To przecież najlepsze, co się ma z życia. I jeszcze piękniejsze, jak się nimi dzielisz.

I sami zaczęli wspominać, jedno przez drugie. Tak nam minęło popołudnie: na wspomnieniach i kilku butelkach białego wina z Cassis - Fontcreuse, które chowałem na lepsze okazje. Siłą rzeczy rozmowa zeszała na Uga i Manu. Już jako piętnastoletni chłopcy stale bywaliśmy w restauracji Feliksa. Feliks i Celesta karmili nas swoimi specjałami: pizzą z figatelli, spaghetti z clooisses, łazankami z owczym serem. I tam posmakowaliśmy prawdziwej bouillabaisse. Bo jeśli chodzi o bouillabaisse, nawet Honorine nie dorównywała Celeście. Pięć lat temu Manu został zastrzelony w momencie, gdy wychodził z knajpy Feliksa. Ale my, snując wspomnienia, umieliśmy się zatrzymać chwilę wcześniej. Dla nas Ugo i Manu wciąż żyli. Tyle że ich z nami nie było, i tęskniliśmy za nimi. Tak samo jak za Lolą.

Feliks zaintonował Maruzzellę, ulubioną piosenkę mojego ojca. Refren zaśpiewaliśmy chórem, płacząc w duchu za tymi, których kochaliśmy i których już z nami nie było. „Maruzzella, o Maruzzella...”

Feliks przyglądał mi się z taką samą obawą, jak Fonfon i Honorine, kiedy czuli, że chmury gromadzą się nad moją

głową. Gdy wszedłem, siedział przy oknie i patrzył na morze. Obok na stoliku leżał zbiór jego ulubionych komiksów, Pieds Nickelés. Czytał wyłącznie to, wciąż od nowa. Z biegiem czasu upodabniał się coraz bardziej do jednego z bohaterów, Ribouldingue'a, tyle że nie miał brody.

Rozmawialiśmy o pożarze. Na Vallon-sur-Auffes też spadały drobiny popiołu. Feliks potwierdził, że ogień ogarnął Allauch. Słyszał w wiadomościach wypowiedź komendanta straży pożarnej regionu, że grozi nam katastrofa.

Feliks przyniósł do stolika dwa piwa.

- Masz kłopoty? - spytał.

- Tak. Poważne.

I wszystko mu opowiedziałem.

O mafii i o gangsterach Feliks co nieco wiedział. Był spowinowacony przez żonę z niejakim Charles'em Sartene'em, jednym ze zbirów Meme Gueriniego, niekwestionowanego szefa marsylskiego podziemia po wojnie. Opowiedziałem mu o Soni, potem o Mavrosie. Jak zginęli. Wytłumaczyłem, że teraz idzie o życie Fonfona i Honorine. Miałem wrażenie, że bruzdy na jego twarzy pogłębiły się.

Potem opowiedziałem, w jaki sposób do niego przyjechałem, co zrobiłem, żeby zgubić bandytów. Wzruszył ramionami. Przeniósł wzrok z moich oczu na mały port Vallon-des-Auffes. Byliśmy daleko od zgiełku świata. Spokojna przystań. Jak w Goudes. Jedno z tych miejsc, gdzie Marsylia odsłania swoje inne oblicze.

Przypomniały mi się wiersze Louisa Brauquiera:

Idę do ludzi mojej ciszy

Powoli idę do tych, przy których mogę milczeć;

Przyjdę z daleka, wejdę i usiądę.

Zaczerpnę tego, co potrzebne, bym znów ruszył w drogę.

Feliks znów spojrzął na mnie. Oczy miał z lekka zamglone, jakby w środku płakał. Powstrzymał się od komentarzy. Spytał po prostu:

- A jaka jest moja rola w tym wszystkim?
- Pomyślałem, że najbezpieczniej będzie, jeśli spotkam się z Babette na morzu. Oni stoją pod moim domem, ci faceci. Jeżeli wyprowadzę łódź w nocy, nie popłyną za mną. Zaczekają, aż wrócę. Tak było zeszłej nocy.

- Mhm.

- Powiem Babette, żeby przyjechała do ciebie. Zawieziesz ją na Frioul. Tam się z wami spotkam. Zabiorę coś do jedzenia i picia.

- Myślisz, że ona się zgodzi?

- Przyjechać?

- Nie, na to, co chcesz jej zaproponować... Żeby zrezygnowała z publikacji wyników śledztwa... Tych materiałów, kompromitujących kupę ludzi.

- Nie wiem.

- Wiesz, to niczego nie zmieni. Zabiją ją tak czy owak. I ciebie pewnie też. Te typy...

Feliks nie pojmował, jak można się stać zabójcą. Zawodowym mordercą. Często mi o tym mówił. O swoich stosunkach z Charles'em Sartene'em. Z Wujem, jak go nazywano w rodzinie. Czarujący facet. Miły. Grzeczny. Feliks miał w pamięci wspaniałe zjazdy rodzinne z Wujem przydującym przy stole. Zawsze bardzo elegancki. Dzieciaki siadały mu na kolanach. Któregoś dnia, kilka lat przed śmiercią, powiedział swojemu siostrzeńcowi Antoine'owi, który chciał zostać dziennikarzem:

- Gdybym był młodszy, poszedłbym do redakcji „Le Provençal”, zastrzeliłbym paru gości na górnych piętrach i zobaczyłbyś, mały, zaraz by cię przyjęli.

Wszyscy się roześmiali. Feliks, który miał wtedy dwiętnaście lat, nigdy nie zapomniał tych słów. Ani tego śmiechu. Odmówił pójścia na pogrzeb Wuja i pokłócił się z rodziną na całe życie. Nigdy tego nie żałował.

- Wiem - powiedziałem. - Ale trudno, muszę zaryzykować. Wpierw pogadam z Babette, a potem zobaczymy.

Poza tym nie jestem sam - dodałem, żeby go podbudować.
- Rozmawiałem o tym z pewnym komisarzem... Zobaczyłem w jego oczach strach i złość.

- Gadałeś o tym z glinami?

- Nie z glinami. Z jednym komisarzem. To kobieta. Prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa Soni i Mavrosa.

Wzruszył ramionami jak przed chwilą. Może z większą rezygnacją.

- Jeżeli gliniarze maczają w tym palce, to nie idę na to, Fabio. Sprawa się komplikuje. Większe ryzyko. Kurczę, przecież wiesz...

- Chwileczkę, Feliks. Znasz mnie, nie? Gliniarzy chowam na później. Najpierw się spotkam z Babette i zdecydujemy, co robić z dokumentami. Ta kobieta, komisarz, nic nie wie, że Babette ma się pojawić. Czeka, tak samo jak gangsterzy. Wszyscy czekają, aż znajdę Babette.

- Zgoda - powiedział.

Znów wyjrzał przez okno. Płatków popiołu było w powietrzu coraz więcej.

- Dawno nie mieliśmy tutaj śniegu. Za to mamy to. Przeklęty pożar.

Zerknął na mnie, potem na leżący przed nim egzemplarz Pieds Nickeles.

- Zgoda - powtórzył. - Tylko niech się skończy ten cholerny mistral. Nie da rady wyjść w morze.

- Wiem.

- Nie mógłbyś się z nią spotkać tutaj?

- Nie. Nie mogę powtórzyć tego numeru z Centre-Bourse. Ani tego, ani innego. Teraz będą czujni. A nie chcę, żeby byli zbyt czujni. Muszą mi zaufać.

- Co ty pieprzysz!

- Źle się wyraziłem. Ale przecież mnie rozumiesz. Muszą uwierzyć, że gram fair. Że rzeczywiście jestem biednym palantem, za jakiego mnie mają.

- No dobra - powiedział w zamyśleniu. - Powiedz jej, żeby przyjechała. Może tu spać. Zaczekam, aż mistrzał się uciszy. Jak tylko będzie można wyjść w morze, zadzwonię do Fonfona.

- Do mnie.

- Nie, nie do ciebie. Do Fonfona. Do baru. Powiedz tej Babette, że nie ruszam się z domu. Niech przyjedzie, kiedy chce.

Wstałem z miejsca. On też. Objąłem go ramieniem i przygarnąłem do siebie.

- Damy sobie radę - burknął pod nosem. - Zawsze dawaliśmy sobie radę.

- Wiem.

Wciąż trzymałem go w uścisku, a Feliks nie uwalniał się z moich ramion. Domyślił się, że chcę go jeszcze o coś poprosić. Czy czuł skurcz w żołądku, tak jak ja? W tym samym momencie, w tym samym miejscu?

- Feliks, masz nadal sfluwę Manu?

Odór śmierci wypełnił pokój. Dotarł do mnie dokładny sens wyrażenia „śmiertelna cisza”.

- Jest mi potrzebna, Feliksie.

Rozdział piętnasty,
w którym na myśl, że zaraz coś się wydarzy,
otwiera się przed człowiekiem
nęcająca przepaść

Zadzwonili jedno po drugim. Wpierw Helena Pessayre, potem tamten bandzior. Wcześniej ja zatelefonowałem do Babette. Ale nie z domu, tylko z baru Fonfona. Kiedy Feliks powiedział, że zadzwoni do Fonfona, nie do mnie, puknąłem się w czoło. Ma rację, mój telefon może być na podsłuchu. Helena Pessayre była zdolna coś takiego zrobić. A jeśli gliny podłączyły się pod moją linię, to cokolwiek powiem, prędzej czy później trafi do mafii. Wystarczy zapłacić, jak to robił Gargette przez całe lata. Każda rzecz ma swoją cenę, a dla tych typów, którzy warowali u moich drzwi, cena nie grała roli.

Rozejrzałem się błyskawicznie po ulicy, żeby ich zlokalizować. Gangsterów i gliniarzy. Ale nie dostrzegłem ani fiata punto, ani renaulta 21. Nieważne. Gdzieś musieli być.

- Mogę zadzwonić? - spytałem Fonfona, wchodząc do baru.

Byłem tak zaabsorbowany swoim planem, że nie zastanawiałem się, co będzie dalej, jak już spotkam Babette i z nią pogadam. Czarna dziura. Na myśl, że zaraz się coś

wydarzy, otwierała się przede mną przepaść, która mnie nęciła.

- Na! - burknął Fonfon, stawiając przede mną aparat. - Czuj się jak na poczcie, tyle że połączenie bezpłatne, pastis też gratis.

- Daj spokój, Fonfon! - zachnąłem się, wykręcając numer Bruna w Sewenach.

- Co ty sobie myślisz! Wpadasz jak pędziwiatr, szybciej niż mistral. Nawet jak już usiądziesz, to też nic nie mówisz. Nic nie opowiadasz. Wiadomo tylko, że gdziekolwiek się pojawisz, ściele się trup. A niech cię szlag, Fabio!

Odłożyłem słuchawkę. Fonfon rozlał pastis do dwóch kieliszczków. Jeden postawił przede mną, drugi wypił, nie czekając na mnie.

- Im mniej będziesz wiedział...

- O nie, proszę pana! - przerwał mi ze złością. - To nie przejdzie! Koniec wygłupów! Mów, co jest grane! Bo gębę faceta, który wysiaduje we fiacie punto, już widziałem. I to z bliska. Minęliśmy się na ulicy. Kupowałem fajki u Michela. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak na mnie spojrział.

- Mafioso.

- No... Ale ja tę gębę już wcześniej widziałem. Całkiem niedawno.

- Gdzie? Tutaj?

- Nie. W gazecie. Widziałem jego zdjęcie w gazecie.

- Jak to w gazecie?

- Fabio, jak czytasz gazetę, to nie patrzysz na zdjęcia?

- Owszem, patrzę.

- No więc było jego zdjęcie. Ricardo Bruscati. Ricchie dla koleśków. Pisali o nim, jak się zrobił cały ten szum wokół książki o Yann Piat*.

- Co pisali? Pamiętasz?

* Yann Piat, deputowana z departamentu Var, zastrzelona przez gangsterów z mafii w lutym 1994 roku.

Wzruszył ramionami.

- Czy ja wiem... Powinieneś zapytać Babette. Mylę się? Honorine znalazła liścik załączony do dyskietek. Zostawiłeś go na stole, więc przeczytała.

W oczach Fonfona była wściekłość. Nigdy go jeszcze takim nie widziałem. Wrzeszczącego, klnącego - owszem. Ale z tą wściekłością w oczach - nigdy.

Nachylił się ku mnie.

- Słuchaj, Fabio - powiedział spokojniejszym, lecz surowym głosem. - Gdyby to chodziło tylko o mnie... Nie przejmowałbym się. Mam to gdzieś. Ale Honorine to co innego. Nie chcę, żeby ją spotkało nieszczęście. Rozumiesz?

Wszystko mi się przewracało w środku. Z miłości.

- Nalej mi jeszcze.

Tylko tyle mogłem z siebie wydusić.

- Nie mówię tego, żeby ci było przykro. Historie Babette to jej sprawa. Ty też jesteś dorosły, możesz się wygłupiać, jak chcesz. Nie będę ci dyktował, co masz robić, a czego nie robić. Ale jeśli Honorine choćby włos z głowy spadnie...

Nie dokończył zdania. Jedynie jego oczy utkwione w moich powiedziały to, czego nie chciał sformułować: że uważa mnie za odpowiedzialnego za wszystko, co się jej może przydarzyć. Chodziło tylko o nią.

- Nic jej się nie stanie. Przysięgam. Tobie też nie.

- Mhm. - Nie był przekonany.

Ale tym razem stuknęliśmy się kieliszkami.

- Przysięgam - powtórzyłem.

- No dobra, nie ma co gadać.

- Owszem, pogadamy. Zadzwonię do Babette i zaraz ci powiem, co i jak.

Babette zgodziła się. Przyjedzie. Porozmawiamy. Mój plan jej odpowiada. Ale domyśliłem się, sądząc po tonie, że nie będzie łatwo skłonić ją do rezygnacji z opublikowa-

nia reportażu. Sprawa pozostawała otwarta. Najważniejsze, że porozmawiamy w cztery oczy.

- Mam coś nowego - oznajmiła Helena Pessayre.
- Ja też - powiedziałem. - Słucham.
- Moi ludzie zidentyfikowali jednego z typów.
- Ja też. Ricarda Bruscatiego.

Cisza po drugiej stronie.

- Zaimponowałem pani, co?
- Owszem.
- Też kiedyś byłem gliniarzem.

Próbowałem wyobrazić sobie rozczarowanie malujące się na jej twarzy. Nie przypuszczam, by Helena Pessayre lubiła przegrywać wyścig.

- Pani Heleno?
- Słucham.
- Proszę tak na mnie nie patrzeć!
- Co pan opowiada?

- Z tym Ricardem Bruscatim to czysty przypadek. Rozpoznał go mój sąsiad, Fonfon. Niedawno widział zdjęcie tego typu w gazecie. Nic więcej nie wiem. Słucham panią.

Przełknęła ślinę. Trochę się jeszcze na mnie gniewała.

- To nas nie urządza.
- Co?
- Że to Bruscati.

- Dlaczego nie? Przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia.

- Nie wiemy. Bruscati jest z mafii departamentu Var. Nic nie wiadomo o tym, by był krwiożerczym mordercą. Operuje spluwą, nie nożem. Sprząta, jak mu każą, i tyle.

Tym razem ja zaniemówiłem. Wiedziałem, do czego pije.

- Chodzi o tego drugiego, tak? Prawdziwego kilera z mafii?
- Tak.

- Który teraz spokojnie sączy sobie wino gdzieś na tarasie w Nowym Jorku?

- No właśnie. A skoro zaangażowali Bruscatiego, czyli nie byle kogo, to znaczy, że sprawa jest poważna. Nie puszczają.

- Czy Bruscati był zamieszany w zabójstwo Yann Piat?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie sądzę. Ale był wśród tych, którzy rozrabiali w czasie wielkiego mitingu Yann Piat 16 marca 1993 roku w Espace 3000 we Frejus. Przypomina pan sobie?

- Tak. Rzucali bomby łzawiące. Na rozkaz Fargette'a. Yann Piat nie pasowała mu politycznie.

Czytałem o tym w prasie.

- Fargette postawił na kandydata UDF* - ciągnęła Helena. - Za zgodą Frontu Narodowego. Myślę, że Bruscati pracuje także dla nich. Koordynuje działalność służb porządkowych w regionie, od Marsylii po Niceę. Rekrutacja, szkolenia... Na białej dyskietce jest osobny plik na ten temat.

Przejrzałem ten plik. Wydawało mi się, że nie było tam nic więcej niż to, o czym już kiedyś czytałem w prasie. Wyglądało mi to raczej na rekapitulację spraw dotyczących departamentu Var niż na materiał wybuchowy. Zatrzymałem się chwilę na stosunkach Frontu Narodowego z Fargette'em. Przebiegłem oczyma retranskrypcję nasłuchu jego rozmów z marsyjskim watażką Danielem Savastano. Przypomniało mi się jedno zdanie: „Ci ludzie chcą działać, chcą postawić miasto na nogi. Powiedziałem mu, jeśli masz przyjaciół przedsiębiorców i tak dalej, spróbujemy ich włączyć do akcji...”

- To Bruscati sprzątnął Fargette'a?

Fargette został zastrzelony nazajutrz po tym mitingu, we własnym domu, we Włoszech.

- Było ich czterech.

- Wiem, ale...

* U.D.F. - Union Democratique Francaise - partia centroprawicowa.

- Nie warto się bawić w przypuszczenia. Zakładam, że od czasu zamordowania Yann Piat Bruscati sprzątnął kupę ludzi. Tych, co jako przeszkadzali.

- Na przykład? - spytałem zaciekawiony.

- Na przykład Michela Regniera.

Aż gwizdnąłem. Po śmierci Fargette'a Regnier uchodził za ojca chrzestnego południa Francji. Ojca chrzestnego, który się wywodził z tutejszego świata przestępczego, nie z mafii. 30 września 1996 został podziurawiony kulami, na oczach żony. W dzień swoich urodzin.

- To dla mnie najważniejsza informacja. Obecność Bruscatiego tutaj trzeba zapisać na konto mafii. A to znaczy, że mafia przejęła ekonomiczną kontrolę nad regionem. Sądę, że taką tezę stawia pańska przyjaciółka w swoim raporcie. Kładąc tym samym kres wszelkim przypuszczeniom o rzekomej wojnie „klanów”.

- Ekonomiczną, nie polityczną?

- Nie odważyłam się jeszcze otworzyć czarnej dyskietki.

- No. Im mniej będziemy wiedzieć... - powiedziałem od-ruchowo, już nie pierwszy raz dzisiaj.

- Naprawdę pan tak myśli?

Jakbym słyszał Babette.

- Nic nie myślę, Heleno. Mówię tylko, że jedni żyją, a drudzy nie. I że wśród tych żyjących są zleceniodawcy morderców tych, co zginęli. Że większość z nich hula na wolności. Że nadal prowadzą interesy. Dzisiaj z mafią, tak jak wczoraj z tutejszym światem przestępczym. Słucha mnie pani?

Nie odpowiedziała. Usłyszałem, jak zapala papierosa.

- Dowiedział się pan czegoś o pańskiej przyjaciółce Babette Bellini?

- Chyba ją wreszcie zlokalizowałem - skłamałem pewnym siebie głosem.

- Ja jestem cierpliwa, ale oni na pewno nie. Czekam na telefon od pana... Aha, po pańskim wyjeździe z Centre-

Bourse zmieniałam ekipę. Ponieważ jechał pan do domu, nie chciałam ryzykować, że nas zauważą. Teraz towarzyszy panu biały peugeot 304.

- A właśnie. Chciałem panią prosić o przysługę.

- Słucham.

- Skoro macie na to środki, chciałbym, abyście zapewnili stały nadzór nad domem Honorine i barem Fonfona, który jest tuż obok.

Milczenie.

- Zastanowię się.

- Heleno, nie chodzi o to, by się z panią targować. Coś za coś. To nie w moim stylu. Ale jeśli to się źle skończy... Nie chcę całować zwłok tych dwojga starych ludzi. Nikogo tak nie kocham jak ich. Tylko oni mi zostali, rozumie pani?

Zamknąłem oczy, żeby ujrzeć twarze Honorine i Fonfona. Ale na ten obraz nałożyła się twarz Loli. Ją też kochałem najbardziej na świecie. Nie była już moja. Żyła daleko stąd, z innym mężczyzną. Ale tak samo jak Honorine i Fonfon pozostawała dla mnie najważniejszą istotą na świecie. Moją miłością. Sensem mego życia.

- Zgoda - powiedziała Helena Pessayre. - Ale dopiero od jutra.

- Dziękuję pani.

Już miałem odłożyć słuchawkę, kiedy się odezwała:

- Montale.

- Tak?

- Mam nadzieję, że szybko zakończymy tę paskudną sprawę. I że... pozostaniemy przyjaciółmi. To znaczy... że zechce mnie pan zaprosić do siebie na kolację z Fonfonem i Honorine.

- Ja też mam taką nadzieję, Heleno. Naprawdę. Będzie mi bardzo miło panią gościć.

- Niech pan na siebie uważa.

Odłożyła słuchawkę. Za szybko. Zdążyłem usłyszeć leciutkie bzyknięcie. Jestem na podstuchu. „O, ty suko!”

- pomyślałem, ale nie miałem czasu nacieszyć się tymi słowami ani pomyśleć o czymś innym, bo telefon znów się rozdzwonił. Wiedziałem, że głos mojego rozmówcy nie będzie tak przejmujący jak głos Heleny Pessayre.

- Co nowego, Montale?

Postanowiłem zachowywać się potulnie. Żadnych uwag. Żadnych dowcipów. Pokorny sługa. Zmęczył się, padł na kolana.

- Rozmawiałem z Babette przez telefon.

- Teraz?

- Nie, teraz z gliniarzami. Nie dają mi chwili spokoju. Dwa trupy koło mnie to dla nich za dużo. Maglują mnie.

- To twój problem. Kiedyś dzwonił do tej zadymiary? Po południu, podczas swojej eskapady?

- Tak.

- Jesteś pewien, że nie ma jej w Marsylii?

- Nie blefuję. Przyjedzie za dwa dni.

Zamilkł na chwilę.

- Dobra, Montale, daję ci dwa dni. Mam jeszcze jedno nazwisko na liście. Na pewno się to nie spodoba twojej czarującej pani komisarz.

- Okay. A co zrobimy, kiedy ona tu będzie?

- Powiem ci w swoim czasie. Powiedz tej twojej Bellini, żeby się nie pojawiała z pustymi rękami. Słyszysz, Montale? Ma nam coś oddać, kapujesz?

- Mówiłem z nią o tym.

- To dobrze. Robisz postępy.

- A co z resztą? Z jej raportem?

- Mamy to gdzieś. Może sobie pisać, co chce i gdzie chce. Równie dobrze mogłaby mówić do ściany.

Zaśmiał się, a potem głosem ostrym jak nóż, którym tak zręcznie władał, rzucił:

- Dwa dni.

Interesowała ich wyłącznie zawartość czarnej dyskietki. Tej, której ani ja, ani Helena Pessayre nie odważyliśmy się

otworzyć. W dokumencie, który zaczęła redagować, Babette napisała: „Kanały prania brudnych pieniędzy pozostają te same i biegną w tym regionie przez „komitety biznesowe”. Swego rodzaju okrągły stół, przy którym zasiadają lokalni decydenci, przedsiębiorcy i przedstawiciele mafii”. Sporządziła listę szeregu takich „spółek mieszanych”, założonych przez mafię i zarządzanych przez notabli.

- Jeszcze jedno, Montale. Nie rób mi więcej takich numerów jak dziś po południu, okay?

- Zrozumiałem.

Poczekaj, aż odłożę słuchawkę. Znowu to samo bykanie. No tak, trzeba by wypić pastis. I posłuchać dobrej, starej muzyki. Niech będzie Nat King Cole. The Lonesome Road z Anitą O'Day w roli guest star. Tak, tego mi potrzeba, nim się spotkam z Honorine i Fonfonem. Honorine zapowiedziała na kolację zestaw faszerowanych jarzyn. Smak pomidorów, cukinii i bakłażanów odsunie śmierć na dystans. Dziś bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam spędzić wieczór z tymi dwójkiem.

Rozdział szesnasty,
w którym tak czy owak gra się toczy
na szachownicy Zła

Wątpliwości ogarnęły mnie przy stole. A przecież jedzenie było wyśmienite. Faszzerowane jarzyny rozplływały się w ustach. Honorine miała rękę do tej potrawy. W restauracjach nadzieje mięsne zawsze jest zbyt przypieczony z wierzchu. Może tylko w Haut du Sud, restauracyjce przy cours Julien, serwowano jeszcze prawdziwą kuchnię domową.

Jedząc te pyszności, nie mogłem się jednak uwolnić od myśli o sytuacji, w jakiej się znalazłem. Pierwszy raz w życiu dwóch gangsterów i dwóch gliniarzy warowało u moich drzwi. Dobro i Zło zaparkowane w dozwolonym miejscu pod moim domem. Taki układ. A w środku ja - niby iskra, która wznieci ogień. Czy ta iskra, o której myślałem, kiedy Lola ode mnie odeszła? Żeby uczynić ze swej śmierci ostatnią iskrę? Cały się spociłem. Nawet jeśli uda nam się z Babette uniknąć nożownika, grozi nam spluwa Bruscatiego, i kula nas nie ominie.

- Chcesz dokładkę? - spytała Honorine.

Z powodu mistralu siedzieliśmy w pokoju. Wiatr nieco przycichł, ale zrywami dał jeszcze potężnie. W wiadomościach podali, że wokół Marsylii szerzy się pożar. W ciągu jednego dnia dwa tysiące hektarów poszło z dymem.

Dramat. Tereny zalesione ledwie dwadzieścia pięć lat temu przepadły. Wszystko trzeba zacząć od nowa. Mówiono o zbiorowym traumatycznym doświadczeniu. Dyskutowano zażarcie, czy należy utworzyć osiemnastokilometrową strefę buforową na styku masywu Etoile i aglomeracji miejskiej. Strefę obsadzoną migdałowcami, oliwkami i winoroślami. No tak, ale kto za to zapłaci? W tym społeczeństwie wszystko zawsze się do tego sprowadza. Do forsy. Nawet w najgorszych sytuacjach. Forsa przede wszystkim.

Przy serach zabrakło nam wina. Fonfon zaproponował, że skoczy po nie do baru.

- Nie, nie, ja pójdę - powiedziałem.

Coś mi się nie zgadzało, musiałem się upewnić. Nawet gdyby rezultat był dla mnie przykry. Nie mieściło mi się w głowie, by Helena Pessayre zainstalowała podsłuch mojej linii telefonicznej. Nie żeby nie była do tego zdolna, ale to nie pasowało do tego, co powiedziała, nim odłożyła słuchawkę. Że pozostaniemy przyjaciółmi. A przede wszystkim, jako profesjonalistka, nie odłożyłaby pierwsza słuchawki.

Z baru Fonfona zadzwoniłem na komórkę Heleny Pessayre.

- Słucham - odezwała się Helena.

W tle muzyka. Jakiś włoski piosenkarz.

Un po' di la del mare c'e una terra chiara
che di confini e argini non sa

- Mówi Montale. Nie przeszkadzam?

Un po' di la del mare c'e una terra chiara

- Właśnie wyszłam spod prysznic.

Natychmiast zawirowały w mojej głowie cielesne, zmysłowe obrazy. Po raz pierwszy na myśl o Helenie Pessayre poczułem pożądanie. Nie była mi obojętna, bynajmniej, ale nasze stosunki były tak skomplikowane i napięte, że nie

zostawiały miejsca na uczucia. Tak mi się w każdym razie wydawało. Aż do tej pory. Ulotnym obrazom w głowie towarzyszyło cielesne podniecenie. Uśmiechnąłem się. Już zapomniałem, jak to przyjemnie, kiedy ci staje na myśl o kobiecym ciecie.

- Montale?

Nie mam skłonności do podglądactwa, ale strasznie lubiłem patrzeć na Lolę wychodzącą z kąpieli. Ta chwila, kiedy chwytiała ręcznik, żeby się weń owinąć. Ukazując moim oczom jedynie nogi i ramiona, na których perliły się kropelki wody. Zawsze miałem coś do zrobienia w łazience, gdy tylko usłyszałem, że zakręca kran. Czekałem, aż uniesie włosy, odsłaniając kark, i podchodziłem do niej z tyłu. W takich chwilach pragnąłem jej najmocniej. Lubiłem, kiedy nasze oczy spotykały się w lustrze. I ten dreszcz, który ją przebiegał, gdy moje usta dotykały jej szyi.

Un po' di la del mare c 'e una tetra sincera

- Tak - odezwałem się, przywoławszy ciało i myśli do porządku. - Mam jedno pytanie.

- Chyba ważne, skoro pan dzwoni o tej porze. - Roześmiała się.

Ściszyła dźwięk.

- Sprawa jest poważna, Heleno. Czy to pani zainstalowała podsłuch?

- Co takiego?

Mam odpowiedź. To nie ona.

- Mój telefon jest na podsłuchu.

- Od kiedy?

Dreszcz mnie przebiegł. Bo ja sobie tego pytania nie zadałem. Od kiedy? Jeśli od rana, to życie Babette, Bruna i jego rodziny jest w niebezpieczeństwie.

- Nie wiem. Zorientowałem się dziś wieczór. Po pani telefonie.

Czy po moim telefonie do Babette ona pierwsza odłożyła słuchawkę, czy ja? Nie wiem. Muszę sobie przypomnieć. Za drugim razem ja. Za pierwszym... Za pierwszym ona. „Odieprz się!” - powiedziała. Nie, nie było wtedy tego charakterystycznego bzykania. Jestem tego pewien. Ale czy naprawdę mogę być siebie pewien? Nie. Muszę zadzwonić do Le Castellas. Teraz zaraz.

- Dzwonił pan do pańskiej przyjaciółki Babette wieczorem z domu?

- Nie. Dzwoniłem do niej dziś rano. Heleno, kto mógł zainstalować podsłuch?

- Nie powiedział mi pan, że pan wie, gdzie ona jest.

Ta kobieta była nieubłagana. Nawet naga, owinięta w ręcznik.

- Powiedziałem pani, że ją zlokalizowałem.

- Gdzie jest?

- W Sewenach. Próbuję ją namówić, żeby przyjechała do Marsylii. Cholera, to poważna sprawa, Heleno!

Zdenerwowałem się.

- Niech pan się nie gorączkuje, kiedy pana przyłapują na błędzie, Montale! W trzy godziny mogliśmy tam zajechać.

- I co byśmy zrobili? - krzyknąłem. - Korowód samochodów, tak? Pani, ja, gangsterzy, gliniarze, kolejni gangsterzy... Zabawa w pociąg, jak po południu, po wyjściu z sali Mavrosa?

Nie odpowiadała.

- Heleno - powiedziałem spokojniejszym głosem. - Nie żebym pani nie ufał. Ale nie może być pani nikogo pewna. Ani swoich przełożonych, ani gliniarzy, którzy z panią pracują. Dowodem to, że...

- Mógł mi pan powiedzieć, do cholery! - Teraz ona krzyczała. - Mógł pan!

Zamknąłem oczy. Przed oczyma tańczyły mi obrazy już nie Heleny Pessayre wychodzącej z kąpieli, lecz pani komisarz, która dziś rano dała mi w pysk.

Ma rację, nie robię postępów.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Kto to mógł zrobić, ktoś od was?

- Nie wiem - powiedziała spokojniej. - Nie mam pojęcia. Zapadło ciężkie milczenie.

- Kto tam u pani śpiewał? - spytałem, żeby rozładować atmosferę.

- Gianmaria Testa. Ładnie, co? - odpowiedziała ze znużeniem. Po czym dodała tonem prawie stanowczym: - Jadę do pana.

- Ludzie będą gadać - zażartowałem.

- Woli pan dostać wezwanie na komendę?

Postawiłem na stole dwa litry czerwonego wina z Ville-neuve Flayosc w Roquefort-la-Bedoule. Odkryłem je tej zimy dzięki Michelowi, mojemu kumpłowi z Bretanii. Chateau-les-mures. Istne arcydzieło.

- Nareszcie. Fonfon mało nie umarł z pragnienia - po wiedziała Honorine.

Dała mi w ten sposób do zrozumienia, że długo kazałem na siebie czekać.

- Zgubiłeś się w piwnicy? - dorzucił Fonfon.

Nalałem im do kieliszków, potem sobie.

- Musiałem zatelefonować.

I nim zdążyli to skomentować, dodałem:

- Mam telefon na podsłuchu. Gliniarze. A musiałem zadzwonić do Babette.

Bruno powiedział mi, że Babette po południu wyjechała do Nimes, gdzie ma się zatrzymać na noc u ich wspólnych przyjaciół. Jutro koło południa wsiada w pociąg do Marsylii.

- A może i ty byś wyjechał na wakacje, Bruno? Na jakiś czas, z całą rodziną.

Mavrosowi powiedziałem dokładnie to samo. I Bruno odpowiedział mi niemal słowo w słowo tak jak Mavros.

Wszyscy wierzą, że są silniejsi niż Zło. Jak gdyby Zło było jakąś obcą chorobą. Tymczasem toczy nas ono wszystkich do szpiku kości, wżera się w głowy i serca.

- Mam za dużo zwierząt pod opieką...

- Bruno, cholera jasna, wyślij chociaż żonę z dziećmi. Ci faceci są zdolni do wszystkiego.

- Wiem. Ale my tutaj z kumplami mamy górskie drogi co do jednej pod kontrolą. I jesteśmy uzbrojeni - dorzucił po krótkiej pauzie.

Maj 1968 przeciwko mafii. Wyobraziłem sobie ten film i zmroziło mnie.

- Bruno, nie znamy się, ale cię lubię - powiedziałem. - Za to, co zrobiłeś dla Babette. Wziąłeś ją do siebie, narażając się na...

- Nie ma się czego bać - przerwał mi. - Gdybyś wiedział...

Działał mi na nerwy z tym swoim poczuciem bezpieczeństwa.

- Kurwa mać! Przecież to mafia, Bruno!

Pewnie i ja mu działałem na nerwy, bo uciałem rozmowę.

- W porządku, Montale. Zastanowię się. Dzięki za telefon.

Fonfon powoli wypił kieliszek do dna.

- Wydawało mi się, że ta kobieta ma do ciebie zaufanie. Ta pani komisarz.

- To nie ona. I nie wie, kto to zlecił.

- Takie buty.

Czułem, że ogarnia go niepokój. Przyglądał się Honorine, wyjątkowo mało rozmownej tego wieczoru. Ona też się niepokoiła, tyle że o mnie. Wiedziałem, byłem ostatni. Ostatni z trójki przyjaciół, których kochała jak matka. Manu i Uga pochłonęło draństwo tego świata. Zostałem tylko ja. Jeśli i mnie zabraknie, Honorine tego nie przeżyje.

- Co to za sprawa z tą Babette? - spytała w końcu. - W co się wpakowała?

- To sprawa z mafią. Wiadomo, gdzie się zaczęła, nie wiadomo, gdzie się skończy.

- Te wszystkie porachunki, o których mówią w telewizji?

- Mniej więcej.

Od śmierci Fargette'a istna hekatomba. Bruscati na pewno maczał w tym palce. Miałem w głowie całą tę makabryczną listę. W październiku 1993 roku został zastrzelony Henri Diana. W październiku 1994 zginął w strzelaninie Noel Dotori, a dwa miesiące później, w takich samych okolicznościach, Jose Ordioni. Następnie w 1996 roku dwaj wierni lejnanci Fargette'a - Michel Regnier i Jacky Champourlier. Ostatnio zaś Patrice Meillan i Jean-Charles Taran, jeden z ostatnich szefów przestępczego świata w departamencie Var.

- We Francji zbyt długo minimalizowano działalność mafii - powiedziałem. - Zajmowano się wyłącznie miejscowym środowiskiem przestępczym i bandytyzmem. Udawano, że chodzi o wojnę gangów. No i dziś mamy tutaj mafię, która przejmuje kontrolę nad interesami. Gospodarczymi i politycznymi również.

Nie musiałem otwierać czarnej dyskietki, żeby to zrozumieć. Babette pisała: „Nowe środowisko finansów międzynarodowych stanowi żywną glebę dla kryminalizacji życia politycznego. Powstają i umacniają się potężne grupy nacisku, związane z przestępczością zorganizowaną. Syndykat zbrodni wywiera wpływ na politykę gospodarczą państwa.

W nowych krajach gospodarki rynkowej i oczywiście w Unii Europejskiej osobistości polityczne zadzierzgnęły więzy ze światem zbrodni zorganizowanej. Nie dotyczy to bynajmniej wyłącznie Włoch, gdzie Cosa Nostra dotarła na szczyty państwa...”

To, co Babette pisała o sytuacji francuskiej, mroziło krew w żyłach. Będziemy świadkami bezpardonowej wojny z państwem prawa, wojny, która już się zaczęła i którą popiera wielu przemysłowców i lokalnych polityków. „Wczoraj można było zastrzelić niewygodną deputowaną. Jutro ofiarą gangsterów może paść wysoki dygnitarz państwowy. Prefekt lub minister. Wszystko jest możliwe”.

- Nic dla nich nie znaczymy. Tyle co pionki.

Fonfon, przejęty i pochmurny, nie spuszczał ze mnie oczu. Potem spojrzął na Honorine. Po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie, jacy są starzy i zmęczeni. O wiele bardziej, niż myślałem. Wolałbym, żeby tego wszystkiego nie było. Ale wszystko to istniało jak najbardziej realnie. I chcąc nie chcąc, byliśmy pionkami na szachownicy Zła. Ale może nigdy nie było inaczej? Przypadek czy zbieg okoliczności sprawił, że odkryliśmy prawdę. Tym przypadkiem była Babette. I okazało się, że jesteśmy pionkami w grze. Grze na śmierć i życie.

Sonia. Georges.

Jak z tym wszystkim skończyć?

Babette cytowała raport ONZ: „Wzmocnienie międzynarodowych służb, dbających o poszanowanie prawa, to tylko półśrodek. Jeśli nie nastąpi jednocześnie rozwój gospodarczy i społeczny, przestępczość zorganizowana na skalę globalną i wyposażona w odpowiednie struktury będzie trwać”.

Jak z tego wybrnąć? Jak my wybrniemy? Fonfon, Honorine, Babette i ja?

- Jeszcze trochę sera? Nie smakuje panu *prouolone*?
- Dziękuję, Honorine, pyszny jest, tylko że...
- No weź, weź kawałek, napijemy się jeszcze po kielichu
- powiedział Fonfon sztucznie ożywionym głosem i nalał mi bez pytania.

Nie wierzę w przypadki. Ani w zbiegi okoliczności. Są one tylko znakiem, że przeszliśmy na drugą stronę, zajrze-

liśmy pod podszewkę rzeczywistości. Gdzie nie ma miejsca na żadne kompromisy z tym, czego znieść niepodobna. Myśl jednego człowieka spotyka się z myślą drugiego. Jak w miłości. Jak w rozpacz. Dlatego Babette zwróciła się do mnie. Bo byłem gotów jej wysłuchać. Nie mogłem znieść tego, co nie do zniesienia.

Rozdział siedemnasty,
w którym mowa o tym, że zemsta do niczego
nie prowadzi, pesymizm też nie

Pograżyłem się w myślach. Beładnych, jak często u mnie bywa. Chaotycznych i siłą rzeczy podlanych alkoholem. Wypiłem dwie dobre szklaneczki lagavulina. Pierwszą prawie jednym haustem, gdy tylko wróciłem do domu.

Obraz Soni zacierał się w mojej głowie. Jakby była tylko snem. Ledwie trzy dni minęły. Ciepło jej uda przy moim, jej uśmiech. Te wątle wspomnienia już blakły. Nawet szaroniebieskie oczy. Traciłem Sonię. I powoli do mojej głowy wracała Lola. Do swego stałego mieszkania. Jej długie, delikatne palce otwierały walizki naszej wspólnej przeszłości. Minione lata tańczyły przed moimi oczyma. Lola tańczyła. Tańczyła dla mnie.

Siedziałem na kanapie. Nastawiła Amor Verdadero Rubena Gonzaleza. Z zamkniętymi oczami, prawą ręką muskając brzuch, lewą unosząc nad głową, prawie się nie ruszyła. Jedyne kręcące się biodra nadawały ruch ciału. Całemu ciału. Uroda Loli zapierała mi dech.

Później przytuliła się do mnie. Wdychałem zapach jej wilgotnej skóry i ciepło wiotkiego, a zarazem mocnego ciała. Poddaliśmy się ogarniającej nas żądzy. Na usta cisnęły się banalne słowa: „Kocham cię. Dobrze mi z tobą... Taka jestem szczęśliwa... A ty?”

I kolejne utwory Rubena Gonzaleza: Alto Songo, Los Sitio'Asere, Pio Mentiroso...

Miesiące, tygodnie, dni. Aż słowa zaczęły się szukać, wahać, zdania stały się za długie. „Pragnę cię zatrzymać w moim sercu. Nie chcę cię utracić, nie do końca. Zależy mi tylko na tym, byśmy pozostali sobie bliscy, byśmy się nadal kochali...”

Ostatnie dni i noce. „Noszę cię w sercu. Zawsze będzie dla ciebie miejsce w moim życiu...”

Lola. Jej ostatnie słowa. „Nie poddawaj się, Fabio”.

A teraz śmierć szybuje nade mną. Jest tuż, tuż. Czuję jej odór. Jedyna woń towarzysząca obecnie moim nocom. Odór śmierci.

Z zamkniętymi oczami wypilem szklaneczkę lagavulina. Twarz Enza. Jego szaroniebieskie oczy. Oczy Soni. Łzy Enza. Muszę zabić mordercę z powodu tego chłopca. Nie dla Soni. Nawet nie dla Mavrosa. Tak, teraz to sobie uświadomiłem. Zrobię to dla tego dzieciaka. Tylko dla niego. W jego wieku nie rozumie się tych rzeczy. Śmierci. Rozstania. Nieobecności. Tej podstawowej strasznej krzywdy, jaką jest brak ojca i matki.

Mój mały Enzo.

Na cóż by się zdały łzy, gdyby nie znajdowały oddechu w sercu drugiego człowieka? W moim sercu.

Nalałem sobie właśnie kolejną szklaneczkę, gdy Helena Pessayre zapukała do drzwi. Niemal zapomniałem, że miała przyjść. Dochodziła północ.

Na progu po obu stronach niepewność. Wahanie, czy uścisnąć sobie ręce, czy się pocałować. Nie zrobiliśmy ani jednego, ani drugiego. Zaprosiłem ją do środka.

- Proszę wejść.
- Dziękuję.

Poczuliśmy się nagle zażenowani.

- Nie oprowadzę pani po mieszkaniu, jest za małe.
- Ale większe od mojego, z tego, co widzę. To dla pana. Podała mi CD. Gianmaria Testa. Extra-Muros.
- Będzie pan mógł przesłuchać całość.

Omam jej nie powiedziałem: „Wystarczyłoby zaprosić mnie do siebie”.

- Dziękuję. Teraz będzie pani musiała przyjść do mnie, żeby go posłuchać.

Uśmiechnęła się. Plotłem androny.

- Napije się pani? - spytałem, pokazując moją szklaneczkę.
- Wolałabym wino.

Otworzyłem butelkę tempiera rocznik 1992 i podałem jej kieliszek. Stuknęliśmy się i wypiliśmy w milczeniu. Nie mieliśmy odwagi na siebie spojrzeć.

Miała na sobie sprane dzinsy i ciemnoniebieską rozpiętą, płócienną bluzkę. Pod nią biały podkoszulek. Ciekawe, że nigdy jej nie widziałem w spódnicy czy sukience. „Może nie lubi swoich nóg” - pomyślałem.

Mavros miał teorię na ten temat.

- Wszystkie kobiety lubią pokazywać nogi, nawet jeśli nie są zbudowane jak modelki czy gwiazdy filmowe. To jest gra w uwodzenie, rozumiesz?

- Mhm.

Uzmysłowił sobie, że Pascale od tamtego przyjęcia u Pierre'a i Marie, gdzie spotkała Benoit, nosiła wyłącznie spodnie.

- A jednak nadal kupuje sobie rajstopy. A nawet Dim Up. Wiesz, te półczochy do pół uda...

Któregoś dnia zaczął ze smutku grzebać w rzeczach Pascale. Nadal mieszkali pod wspólnym dachem, czekając, aż Bella i Jean wyprowadzą się z domku przy rue Villa-Paradis. Poprzedniego wieczoru Pascale powiedziała mu, że wyjeżdża na weekend. Wyszła z domu w dzinsach, na spotkanie z Benoit, ale Mavros wiedział, że miała w torbie minispódniczkę i rajstopy, a nawet Dim Up.

- Masz pojęcie, Fabio?

Zadzwoił do mnie zaraz po jej wyjściu tego piątkowego wieczoru. Był zrozpaczony.

Mogłem się tylko uśmiechnąć z politowaniem. Nie mam żadnej teorii na temat tego, z jakich powodów kobieta woli rano włożyć raczej spódnice niż spodnie. A przecież wobec mnie Lola zachowywała się tak samo. Uprzytomniłem to sobie z goryczą. Przez ostatnie miesiące nosiła wyłącznie dzinsy. I oczywiście drzwi do łazienki były zamknięte, kiedy wychodziła spod prysznicza.

Zaprzagnąłem spytać o to Helenę Pessayre. Jednak posunąłbym się chyba za daleko. Zbyt poważne miała oczy.

Wyjęła z torebki paczkę papierosów. Poczęstowała mnie.

- Kupiłam papierosy, jak pan widzi.

Znow zapadła cisza wypełniona obłoczkami dymu.

- Osiem lat temu zamordowano mojego ojca - powiedziała cichym głosem. - Byłam świeżo po dyplomie. Skończyłam prawo. Chciałam zostać adwokatem.

- Dlaczego mi pani o tym mówi?

- Pytał pan wczoraj, czy nie mam nic innego w życiu do roboty. Pamięta pan? Niż grzebać się w gównie, paść oczy widokiem trupów...

- Byłem wściekły. To u mnie reakcja obronna. Robię się wściekły i wulgarny.

- Mój ojciec był sędzią śledczym. Rozpracowywał wiele spraw związanych z korupcją. Zafałszowana księgowość. Ukryte finansowanie partii politycznych. Jedna sprawa zaprowadziła go dalej, niż się spodziewał. Od tajnej kasy partii politycznej byłej większości parlamentarnej dotarł do pewnego banku w Panamie. La Xoilan Trades. To jeden z banków generała Noriega. Wyspecjalizowany w narkodolarach.

Opowiedziała mi całą tę historię. Powoli. Niskim, gardłowym głosem. Pewnego dnia paryska brygada finansowa poinformowała ojca Heleny o przyjeździe do Francji

Pierre'a-Jeana Raymonda, szwajcarskiego bankiera owej partii. Natychmiast wydał nakaz zatrzymania go na lotnisku. Teczka Raymonda była wypchana kompromitującymi dokumentami. Dotyczyły pewnego ministra i wielu deputowanych. Raymond został aresztowany. Skarżył się później swoim politycznym przyjaciółom, że „nie mógł spać wśród islamistów”.

- Ojciec oskarżył go o naruszenie przepisów dotyczących finansowania partii politycznych, o nadużycie mienia publicznego, nadużycie zaufania i fałszerstwa. Komplet, jednym słowem. W ten sposób Raymond stał się pierwszym szwajcarskim bankierem, ściganym we Francji w sprawie politycznej.

Ojciec mógł się do tego ograniczyć. Ale postanowił prześledzić kanały finansowania. No i tu wszystko wymknęło się spod kontroli. Raymond zajmował się również kontami klientów hiszpańskich, libijskich, a także nieruchomościami generała Mobutu, dziś sprzedanymi. Był jednocześnie właścicielem kasyna w Szwajcarii dla pewnej grupy z Bordeaux oraz administratorem blisko pięćdziesięciu spółek panamskich, działających na rzecz przedsiębiorstw szwajcarskich, francuskich i włoskich...

- Bezbłędny mechanizm.

- Pańska przyjaciółka Babette dotarła tam, gdzie mojemu ojcu się nie udało. Do samego centrum tej maszyny. Zanim do pana przyszłam, jeszcze raz przeczytałam pewne fragmenty raportu, który zaczęła redagować. Południe Francji służy jej za przykład, ale rzecz dotyczy całej Unii Europejskiej. Przede wszystkim ukazuje tę pełną sprzeczności rzeczywistość i zatrważający fakt, że im mniej państwa-sygnatariusze układu z Maastricht jednoczą się w walce z mafią, tym bardziej ta prosperuje na nawozie - takiego używa słowa - przestarzałych i niespójnych przepisów prawnych poszczególnych państw.

- Tak, też to czytałem.

Omali nie powiedziałem tego wszystkiego Fonfonowi i Honorine. „Ale dość się dzisiaj nasłuchali” - pomyślałem sobie. Nic to nie wnosilo do opisu paskudnej sytuacji, w jakiej się znalazła Babette. A tym samym i ja.

Babette gęsto cytowała wypowiedzi wysokich urzędników europejskich. „Niewydolność państw członkowskich Maastricht - twierdził Diemut Theato, przewodniczący komisji kontroli budżetowej - jest tym groźniejsza, że od podatników europejskich wymaga się coraz większych ofiar, podczas gdy oszustwa podatkowe wykryte w 1966 roku sięgają 1,4 procent budżetu”. Anita Gradin, odpowiedzialna za walkę z oszustwami podatkowymi, oznajmiła: „Organizacje przestępcze działają na zasadzie minimum ryzyka: każde ze swoich rozlicznych działań prowadzi w tym z krajów członkowskich, gdzie ryzyko jest najmniejsze”.

Nalałem Helenie Pessayre kolejny kieliszek wina.

- Znakomite - pochwaliła.

Nie wiedziałem, czy istotnie tak uważa. Wydawało się, że myślami jest gdzie indziej. W sprawach zapisanych na dyskietkach Babette. Tam, gdzie zginął jej ojciec. Spojrzała na mnie. Ciepłym, czułym wzrokiem. Zapragnąłem wziąć ją w ramiona, przytulić do siebie i pocałować. Ale to była ostatnia rzecz, jaką wypadało teraz zrobić.

- Ojciec zaczął dostawać anonimowe listy. Ostatni zapamiętałam, brzmiał tak: „Zabezpieczanie Pańskiej rodziny mijają się z celem, podobnie jak lokowanie dokumentów w rozmaitych zakątkach kraju. Nic się nam nie wymknie. Niech więc Pan z łaski swojej pójdzie po rozum do głowy i przestanie się tym zajmować”.

Matka odmówiła wyjazdu z domu, ja z braćmi również. Nie wierzyliśmy naprawdę w te groźby. „Chcą nas tylko zastraszyć”, mówił ojciec. Niemniej jednak poprosił o ochronę policyjną. Dom był pod stałym nadzorem. A jemu stale

towarzyszyli dwaj inspektorzy. Nam zresztą też, tylko bardziej dyskretnie. Nie wiem, jak długo moglibyśmy tak żyć... Przerwała, spojrzała na wino w kieliszku.

- Pewnego wieczoru znaleźliśmy go w garażu pod domem. Z podejrzanym gardłem, w samochodzie.

Podniosła na mnie oczy. Mgiełka, która przed chwilą przyćmiewała ich blask, rozpieczęła się. Znowu było z nich ciemne światło.

- Użyto noża o podwójnym ostrzu długości piętnastu centymetrów i szerokości ponad trzech.

Teraz mówił do mnie komisarz policji. Kryminolog.

- Takiego samego jak w przypadku Soni De Luca i Georges'a Mavrosa.

- Chyba nie chce pani powiedzieć, że to ten sam morderca...

- Nie. Ta sama broń. Ten sam typ noża. Uderzyło mnie to, kiedy dostałam raport lekarza sądowego w sprawie zabójstwa Soni. To mnie cofnęło osiem lat wstecz, rozumie pan?

Przypomniało mi się, co jej rzuciłem w twarz na tarasie u Ange'a, i poczułem się niezbyt dumny z siebie.

- Bardzo żałuję tego, co pani wczoraj powiedziałam.

Wzruszyła ramionami.

- Ależ miał pan rację, to prawda, nie mam w życiu nic innego do roboty. Zgadza się: tylko to. Tego chciałam. I wyłączenie z tego powodu zostałam gliną. Żeby ścigać zbrodnię. Zwłaszcza zbrodnię zorganizowaną. Teraz to jest moje życie.

Skąd miała w sobie tyle determinacji? Mówiła beznamietnym, chłodnym głosem.

- Nie można żyć tylko po to, żeby się mścić - powiedziałam, bo wydawało mi się, że tym się powoduje.

- Kto mówi o zemście? Wcale nie muszę pomścić ojca. Po prostu chcę kontynuować to, co on zaczął. Na swój sposób. Na innej płaszczyźnie. Sprawcy zbrodni nigdy nie

zatrzymano. Sprawa została w końcu zamknięta. I dlatego wybrałam pracę w policji.

Upiła łyk wina i mówiła dalej:

- Zemsta do niczego nie prowadzi. Podobnie jak pesymizm, już panu mówiłam. Wystarczy determinacja.

Spojrzała na mnie i dodała:

- I realizm.

Realizm. Dla mnie to słowo było jedynie usprawiedliwieniem moralnego komfortu, brudnych czynów i podłego zapomnienia, jakich ludzie co dzień się dopuszczają. Realizm był walcem, który pomagał tym, co dzierżą władzę albo choćby okruchy władzy w społeczeństwie, miazdżyć wszystkich pozostałych.

Wolałam z nią nie dyskutować.

- Pan mi nie odpowiada? - spytała z leciutką ironią.

- Być realistą to dać się wyrołować.

- Też tak sędzę.

Uśmiechnęła się.

- Chciałam tylko sprawdzić, jak pan zareaguje.

- No cóż... Bałam się, że dostanę po gębie.

Znów się uśmiechnęła. Podobał mi się jej uśmiech. Dołeczki w jej policzkach. Ten uśmiech stał mi się bliski. Helena Pessayre również.

- Fabio...

Pierwszy raz zwróciła się do mnie po imieniu. To, jak wymówiła moje imię, też mi się spodobało. Nawet bardzo. Poza tym spodziewałam się najgorszego.

- Otworzyłam czarną dyskietkę. Przeczytałam ją.

- Oszalała pani!

- To naprawdę wstrętne.

Była jak sparaliżowana.

Wyciągnąłem do niej rękę. Położyła dłoń na mojej dłoni i mocno ją uściskała. W tym uścisku zawierało się wszystko, co mogło się między nami stać bądź nie stać.

„Przed wszystkim musimy się uwolnić od śmierci, która nas prześladowa” - pomyślałem sobie. Jej oczy zdawały się mówić to samo. To było jak krzyk. Niemy krzyk wobec czekających nas potworności.

Rozdział osiemnasty,
w którym im mniej używamy życia,
tym bardziej użeramy się ze śmiercią

Ci, co umarli, umarli bezpowrotnie, myślałem, wciąż ściskając rękę Heleny Pessayre. Ale my musimy żyć dalej.

- Musimy wygrać ze śmiercią - powiedziałem.

Wydawało się, że mnie nie słyszy. Pograżyła się w swoich myślach, nie wiadomo gdzie.

- Heleno? - spytałem, leciutko ściskając jej palce.

- Tak, tak. Oczywiście...

Uśmiechnęła się ze znużeniem, potem powoli uwolniła dłoń z uścisku. Wstała i przeszła się po pokoju.

- Dawno nie miałam mężczyzny - powiedziała niemal szeptem. - Chodzi mi o mężczyznę, który nie wymyka się o świcie, szukając wykrętu, żeby się ze mną nie spotkać wieczorem albo następnej nocy.

Wstałem i podszedłem do niej.

Stała przed drzwiami na taras, z rękami w kieszeniach, jak wtedy, w porcie. Patrzyła przed siebie w mrok. W stronę szerokiego morza. W stronę brzegów, które kiedyś porzuciła. Wiem, że ten, kto się tam urodził i wyrósł, nigdy nie zapomni Algierii. Didier Perez nie przestawał o niej opowiadać. A że go słuchałem, znałem wszystkie pory roku w Algierii, jej dni i noce. „Latem, wieczorami, jest taka cisza...” Miał nostalgię w oczach. Strasznie tęsknił za krajem.

A najbardziej za tą wieczorną letnią ciszą. Krótkimi chwila-
mi, będącymi dla niego obietnicą szczęścia. Byłem pewien,
że Helena czuje to samo.

- Króluje absurd, ale miłość ratuje nas przed nim - po-
wiedziała, patrząc mi w oczy. - Camus tak mówił. Te
wszystkie trupy, śmierć, z którą stykam się na co dzień...
To wszystko oddaliło mnie od miłości. Nawet od cielesnej
rozkoszy...

- Heleno...

- Niech się pan nie czuje zażenowany, Montale. Dobrze
mi robi, że to mówię. Że to panu mówię.

Czułem, że niemal fizycznie przeżuwa własną przeszłość.

- Ostatni mężczyzna, którego poznałam...

Wyjęła z kieszeni paczkę papierosów, poczęstowała
mnie. Podałem jej ogień.

- Jakbym wyziębła w środku, rozumie pan? A przecież
go kochałam. Ale jego pieśczoły nic mi... Nic nie czułam.

Nigdy nie rozmawiałem z kobietą o tych sprawach. O
tej chwili, kiedy ciało się zamyka, jakby było nieobecne.

Długo próbowałem odtworzyć w pamięci ostatnią noc,
kiedyśmy się kochali z Lolą. Kiedy ostatni raz ściskaliśmy
się czule. Kiedy ostatni raz objęła mnie ramieniem w pasie.
Spędzałem na rym godziny, ale, oczywiście, nie udało się.
Pamiętałem jedynie tę noc, gdy moja ręka, moje palce po
długim pieśczeniu całego jej ciała rozpaczliwie zamarły na
zupełnie suchym łonie.

- Nie mam ochoty - powiedziała.

Przytuliła się do mnie, kładąc głowę na moim ramieniu.
Członek mi zmiękł przy jej gorącym brzuchu.

- Nic nie szkodzi - szepnąłem.

- Owszem.

Ja też wiedziałem, że szkodzi. Ostatnimi czasy rzadziej
kochaliśmy się w łóżku, a Lola za każdym razem odczu-
wała mniejszą rozkosz. Pewnego dnia, kiedy ją powoli chę-
dożyłem, uprzytomniłem sobie, że jest totalnie nieobecna.

Ciało było tu, pode mną, ale Lola odeszła daleko. Daleko ode mnie. Nie potrafiłem osiągnąć rozkoszy. Wycofałem się. Oboje leżeliśmy bez ruchu. Nie powiedzieliśmy ani słowa. W końcu sen nas zmorzył. Spojrzałem na Helenę.

- To po prostu znaczy, że pani przestała go kochać. Nic innego.

- O nie, nie... Kochałam go. Pewnie nadal go Kocham, już sama nie wiem. Brak mi dotyku jego rąk. Czasem mnie to budzi w nocy. Prawda, że coraz rzadziej.

W zamyśleniu zaciągnęła się dymem.

- Mam wrażenie, że sprawa jest o wiele poważniejsza. Czuję, że śmierć kładzie się cieniem na moim życiu. I... Jak to powiedzieć? Kiedy człowiek się spostrzeże, że tak jest, to jakby brodził po omacku w ciemnościach. Niczego nie widać. Nawet twarzy ukochanego. I wtedy wszyscy wokół patrzą na pana jak na umarłego raczej niż jak na żywego.

Gdybym ją teraz pocałował, byłoby to beznadziejne z mojej strony. Zresztą nie wyobrażałem tego sobie. Tylko taki trochę zwariowany pomysł przyszedł mi do głowy, byleby nie dać się wciągnąć w zawrotny wir jej słów. Wiedziałem, dokąd Helena zmierza. Nieraz sam tam wdepnąłem.

Zaczynało do mnie docierać, co usiłowała sformułować. Miało to związek ze śmiercią Soni. Śmierć Soni kazała jej myśleć o śmierci ojca, a to znaczy o tym, czym było jej własne życie. O wszystkim, co się strzępi i rozpada, w miarę jak postępujemy naprzód, jak dokonujemy wyborów. Im mniej używamy życia, tym bardziej użeramy się ze śmiercią. Miała trzydzieści cztery lata, tyle samo co Sonia. Powtórzyła mi to kilka razy wtedy, na tarasie u Ange'a.

Brutalna śmierć Soni w momencie, gdy zarysowała się przed nią jakaś przyszłość - ze mną, miłosna przyszłość, jedyna, jaka może nam się jeszcze trafić - uświadomiła Helenie jej własny impas. Jej porażki. Jej lęki. Lepiej teraz

rozumiałem, dlaczego tak natarczywie wypytywała mnie, co czułem do Soni tamtej nocy.

- Wie pani...

Nie dokończyłem zdania.

Było dla mnie jasne, że śmierć Mavrosa raz na zawsze pozbawiła mnie moich szczenięcych lat. Mojej młodości. Dzięki Mavrosowi mogłem znieść śmierć Manu, a potem Uga, nawet jeśli nie łączyło mnie z nim tak wiele wspólnych przeżyć.

- Tak? - spytała.

- Nic, nic.

Świat się zamknął. Mój świat. Nie wiedziałem, co to dokładnie znaczy i jakie będą tego konsekwencje w najbliższych godzinach. Stwierdziłem fakt. I jak to Helena powiedziała przed chwilą o sobie, błąkałem się w ciemnościach. Niczego nie widziałem wyraźnie. Tylko najbliższy czas. I parę ruchów nie do naprawienia, które mi przyjdzie wykonać. Jak na przykład zabić tego sukinsyna z mafii.

Ostatni raz zaciągnęła się papierosem i zgniotła go niemal ze złością. Popatrzyliśmy sobie w oczy.

- Myślę, że kiedy ma się zdarzyć coś ważnego, przestajemy zachowywać się normalnie - powiedziała. - Nasze myśli - chodzi mi o moje i o pańskie - biegną ku sobie... Pańskie do moich i na odwrót. Rozumie pan?

Nie chciało mi się tego dłużej słuchać. Naprawdę. Pragnąłem ją przytulić, do diabła z całą resztą. Stała zaledwie metr ode mnie. Nie byłem jednak pewien, czy na to czeka. Czy tego się po mnie spodziewa. Właśnie teraz. Dzielily nas dwa trupy jak przepaść. Mogliśmy co najwyżej podać sobie ręce. Dobrze uważając, żeby nie runąć w otchłań.

- Chyba tak. Ani pani, ani ja nie możemy żyć w głowie drugiego. Za bardzo się tego boimy. O to chodzi?

- Mniej więcej. To zbyt ryzykowne. Jeśli ja... jeśli pójdziemy do łóżka, za łatwo będzie nas zranić... potem.

Potem to znaczy w najbliższym czasie. Kiedy przyjedzie Babette. Kiedy spotkam się z mafiosami. Kiedy podejmiemy decyzje. Babette i ja. Niekoniecznie zgodne. Helena Pessayre będzie chciała wszystko kontrolować. A w tle Honorine i Fonfon. I ich lęk.

- Nie ma gwałtu - odpowiedziałem głupio.

- Pan mówi byle co. Pan tego pragnie tak samo jak ja.

Odwróciła się do mnie, jej piersi uniosły się z wolna. Lekko rozchylone usta czekały. Nie ruszyłem się z miejsca. Tylko nasze oczy osmieliły się na pieszczoty.

- Wyczułam to pragnienie przez telefon, dopiero co... Nie jest tak? Mylę się?

Nie byłem w stanie wydusić słowa.

- No, niechże pan powie.

- Tak, to prawda.

- Proszę...

- Tak, pragnąłem pani. Strasznie pani pragnę.

Jej oczy rozświeciły się.

Wszystko było możliwe.

Nie ruszyłem się z miejsca.

- Ja też - szepnęła, niemal nie poruszając wargami.

Ta kobieta zdolna była wyrwać ze mnie słowa, jedno po drugim. Gdyby mnie teraz zapytała, kiedy Babette ma przyjechać do Marsylii i gdzie się mamy spotkać, powiedziałbym jej.

Ale nie zapytała.

- Ja też - powtórzyła. - Myślę, że zapragnęłam pana w tym samym momencie. Jakbym czekała na pański telefon... I to miałam na myśli, kiedy powiedziałam panu, że zaraz przyjeżdżam. Chciałam z panem pójść do łóżka, spędzić noc w pańskich ramionach.

- I co? Po drodze zmieniła pani zdanie?

- Tak - potwierdziła z uśmiechem. - Zdanie zmieniłam. ale ochota mi nie przeszła.

Powoli wyciągnęła ku mnie rękę. Delikatnie pogłaskała palcami po policzku. Leciuteńko. Zaczerwieniłem się o wiele gwałtowniej, niż kiedy mi dała w twarz.

- Późno się zrobiło - szepnęła.

Uśmiechnęła. Twarz miała znużoną.

- Zmęczyłam się - dodała. - Ale nie ma gwałtu, prawda?

- Najgorsze jest to, że cokolwiek bym pani powiedział, zwraca się przeciwko mnie - próbowałem zażartować.

- Tego się pan musi przy mnie nauczyć.

Wzięła torebkę do ręki.

Nie mogłem jej dłużej zatrzymywać. Oboje mieliśmy coś do roboty. Prawie to samo. Ale zrobimy to każde po swojemu. Wiedziała o tym i chyba się z tym pogodziła. To nie była tylko kwestia zaufania. Każde z nas musiało dać z siebie wszystko. Pokonać swoją samotność i swoje pragnienia. A na końcu czeka nas może prawda. Śmierć albo życie. Albo miłość? Kto to może wiedzieć?

Zabobonnie musnąłem kciukiem sygnet od Didier Peraza. Przypomniały mi się jego słowa: „Tak czy owak, co zapisane, to zapisane”.

- Powinien pan wiedzieć jedno - powiedziała już przy drzwiach. - To szefostwo brygady założyło panu podsluch. Ale nie dowiedziałam się, od kiedy.

- Tak właśnie myślałem. A co to oznacza?

- Dokładnie to, co pan myśli. Że będę zaraz zmuszona złożyć wyczerpujący raport w sprawie tych dwóch zabójstw. Powody, rola mafii itede. Lekarz sądowy zwrócił uwagę na to, że ofiary zostały zamordowane w ten sam sposób. Nie ja jedna interesuję się techniką mafijnych zbrodni. Lekarz przedstawił swoje wnioski mojemu przełożonemu.

- A co z dyskiecikami?

Była zła, że o nie pytam. Widziałem to po oczach.

- Niech je pani złoży razem z raportem - dodałem po śpiesznie. - Nie ma przecież żadnych dowodów, że pani przełożony nie jest w porządku.

- Gdybym tego nie zrobiła, byłabym spalona - odparła bezbarwnym głosem.

Przez ułamek sekundy przyglądaliśmy się sobie uważnie.

- Dobranoc, Heleno.

- Dziękuję.

Nie mogliśmy uściskać sobie dłoni. Ani tym bardziej się pocałować. Helena Pessayre wyszła tak, jak weszła. Tyle że sytuacja przestała być dwuznaczna.

- Zadzwoni pan do mnie, Montale? - rzuciła w progę. Bo niełatwo było nam się rozstać. Tak jakbyśmy się mieli zgubić, nim się odnajdziemy.

Skinąłem głową na tak i nie spuszczałem z niej oczu, póki nie przeszła na drugą stronę drogi i nie wsiadła do samochodu. Wyobraziłem sobie przez chwilę nasz czuły, delikatny pocałunek. Nasze złączone wargi. Zaraz potem wyobraziłem sobie dwóch mafiosów i dwóch gliniarzy, jak otwierają zaspane oczy na widok Heleny Pessayre, po czym znów zasypiają, zadając sobie pytanie, czy bzykaliśmy się z panią komisarz. Ten obraz przegonił wszelkie erotyczne fantazje.

Nalałem sobie resztkę lagavulina i nastawiłem płytę Gianmarii Testy.

Un po' di la del mare c'e una terra sincera

Come gli occhi di tuo figlio quando ride

Te słowa towarzyszyły mi aż do świtu. „Trochę dalej za morzem jest ziemia szczerą jak oczy twego syna, kiedy się śmieje”.

Przywróć śmiech twojemu synowi, Soniu. Zrobię to dla nas, w imię tego, co mogło się stać między nami, w imię naszej możliwej miłości, możliwego życia, radości, która trwa mimo śmierci, w imię jadącego nad morze pociągu, Turchino, w imię czekających nas dni i godzin, rozkoszy, naszych ciał i pragnień, i w imię tej piosenki, której bym

się nauczył dla ciebie, którą bym ci śpiewał, szczęśliwy, że mogę ci powiedzieć:

Se vuoi restarmi insieme anche stasera

I powtarzać wciąż na nowo: jeśli chcesz, zostaniemy razem jeszcze tej nocy.

Zrobię to, Soniu, żeby Enzo się uśmiechnął.

Rano nie było śladu po mistralu.

Wysłuchałem wiadomości, robiąc sobie kawę. Pożar rozszerzył się jeszcze bardziej, ale o świcie kanadery mogły przystąpić do ofensywy. Jest szansa, że uda się szybko ugasić ogień.

Z filiżanką kawy w ręce i szlukiem w drugiej wyszedłem na taras. Morze uspokoiło się, odzyskało swój głęboki błękit. Pomyślałem sobie, że to morze, omywające Marsylię i Algier, niczego nie obiecuje, niczego nie pozwala się spodziewać. Zadawała się tym, że daje. Za to daje w bród. Powiedziałem sobie, że to może wcale nie miłość ciągnie nas do siebie z Heleną. Może tylko wspólne poczucie, że mamy jasny obraz rzeczy, a więc nie ma dla nas pocieszenia.

Wieczorem miałem się spotkać z Babette.

Rozdział dziewiętnasty,
w którym trzeba wiedzieć,
jak się rzeczy mają

Krew mi zastygła. Okiennice u Honorine były zamknięte. W lecie nigdy nie zamykaliśmy okiennic. Zostawialiśmy je uchylone przy otwartych oknach, by korzystać z chłodu nocy i poranka. Odstawiłem filiżankę i pobiegłem na jej taras. Drzwi były zamknięte. Na klucz. Honorine nigdy nie zamykała, nawet jak „jechała do miasta”.

Wciągnąłem szybko džinsy i podkoszulek i nawet się nie czesząc, pogałem do Fonfona. Stał za kontuarem i niedbale przeglądał „La Marseillaise”.

- Gdzie ona jest? - spytałem.

- Zrobić ci kawy?

- Fonfon!

- Cholera, opamiętaj się! - powiedział i postawił przede mną spodek.

Jego bardziej niż zwykle zaczerwienione oczy były pełne smutku.

- Zabrałem ją.

- Co?

- Dziś rano. Alex nas zawiózł. Mam kuzynkę w Caillols. Tam ją zabrałem. Na kilka dni... Dobrze jej tam będzie.

Rozumował tak samo jak wcześniej ja, gdy chodziło o Mavrosa, a potem Bruna i jego rodzinę. Głupio mi się

zrobiło, że sam tego nie zaproponowałem. Ani Honorine, ani Fonfonowi. Po naszej rozmowie z Fonfonem to powinno być oczywiste. Przecież widziałem, że boi się o Honorine. Fonfon umiał ją przekonać. Zgodziła się. Oboje wspólnie postanowili, że Honorine na jakiś czas wyjedzie. I nic mi nie powiedzieli! Bo to już mnie nie dotyczyło, to była sprawa ich dwojga. Zabolało mnie bardziej niż policzek Heleny Pessayre.

- Mogliście mnie uprzedzić - zauważyłem oschłym tonem. - Mogliście mnie obudzić. Niechbym się chociaż z nią pożegnał!

- Nie gniewaj się, Fabio. Zrobiłem to, co uznałem za najlepsze.

- Nie gniewam się.

Gniew to nie to słowo. Nie umiałem zresztą znaleźć właściwych słów. Życie rozłaziło mi się w palcach i nawet Fonfon nie miał do mnie zaufania. Taka jest prawda.

- Nie przyszło ci do głowy, że te typy pod drzwiami mogą was śledzić?

- Owszem, wyobraź sobie! - krzyknął, stawiając na spodeczku filiżankę kawy. - Masz mnie za idiotę, czy co?

- Należ mi koniaku.

Chwyił nerwowo za butelkę, nalał mi kielicha. Nie spuszczaaliśmy się z oczu.

- Fifi pilnował drogi. Gdyby jakiś nieznajomy samochód ruszył za nami, miał zadzwonić do Aleksa, do taksówki. Wtedy byśmy zawrócili.

„Stary wyga” - pomyślałem sobie. Wypiłem koniak jednym haustem. Natychmiast poczułem pieczenie w żołądku. Plecy miałem mokre od potu.

- I nikt was nie śledził?

- Facetów z fiata punto dzisiaj nie było. Tylko gliniarze, a ci się nie ruszyli.

- Skąd masz pewność, że to gliniarze?

- Po facjatach. Nie można się pomylić.

Łyknąłem kawy.

- Mówisz, że fiata punto nie było na ulicy?

- Nadal go nie ma.

Co tu jest grane? „Masz dwa dni” - powiedział mafioso. Nie mogłem uwierzyć, że kupił to wszystko, co mu naopowiadałem. Może i głupi palant ze mnie, ale jednak!

I nagle przerażająca wizja: wycieczka gangsterów do Le Castellas, żeby dorwać Babette. Potrząsnąłem głową. Muszę odpędzić tę myśl. Uwierzyć, że podstępni założyli dopiero wczoraj wieczór, nie wcześniej. Przekonać sam siebie, że gliniarze nie są tak bardzo powiązani z mafią. No nie, próbowałem się pocieszyć, niemożliwe, żeby komendant. Zwykły, szeregowy glina - owszem. Którykolwiek. Wystarczy jeden. Jeden, który macza w tym palce. Jeden, kurwa mać!

- Podaj mi telefon, proszę.

- Masz - powiedział Fonfon, stawiając przede mną aparat. - Zjesz coś?

Wzruszyłem ramionami i wykręciłem numer w Le Castellas. Sześć, siedem, osiem dzwonek. Obląłem się potem. Dziewięć.

Wreszcie ktoś odebrał.

- Porucznik Bremond.

Władczy głos.

Zrobiło mi się najpierw gorąco, potem zimno. Nogi mi zaczęły dygotać. Więc tam pojechali. Założyli podstęp. Dygotałem od stóp do głów.

- Halo!

Powoli odłożyłem słuchawkę.

- Zapiekane figatelli ci pasują? - zawołał z kuchni Fonfon.

- Tak.

Wykręciłem numer Heleny Pessayre.

- Heleno - odezwałem się, gdy podniosła słuchawkę.

- Wszystko w porządku?

- Nie. Nie w porządku. Myślę, że pojechali do Le Castellas, tam gdzie Babette się ukrywała. Myślę, że chyba stało się nieszczęście. Nie chyba, tylko na pewno! Dzwoniłem tam. Odebrał jakiś porucznik. Porucznik Bremond.

- Gdzie to jest?

- Gmina Saint-Jean-du-Gard.

- Zaraz oddzwonię.

Ale nie odłożyła słuchawki.

- Babette tam była?

- Nie, jest w Nimes - skłamałem.

Bo o tej porze Babette powinna już być w pociągu. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

- Aha - powiedziała krótko Helena Pessayre i odłożyła słuchawkę.

W barze zapachniały figatelli. Nie byłem głodny. A przecież ten zapach przyjemnie łaskotał nozdrza. Muszę jeść. Mniej pić. Jeść. I mniej palić.

Jeść.

- Zjesz coś mimo wszystko? - spytał Fonfon, wychodząc z kuchni.

Rozstawił talerze, kieliszki i sztućce na stoliku z widokiem na morze. Potem otworzył butelkę różowego wina z Saint-Cannat. Kupowaliśmy je w kooperatywie. W sam raz do porannej przekąski.

- Dlaczego z nią nie zostałeś?

Wrócił do kuchni. Słyszałem, jak obraca figatelli na grillu. Poszedłem za nim.

- No, Fonfon?

- Co jest?

- Dlaczego nie zostałeś z nią u kuzynki?

Spojrzał na mnie. Nie umiałem nic wyczytać z jego oczu.

- Powiem ci...

Widziałem, że złość go bierze.

- A gdzie by do ciebie Feliks zadzwonił, co? - wybuchnął. - Żeby ci powiedzieć, kiedy weźmie Babette na łódkę? Przecież miał zostawić wiadomość tutaj, w moim barze.

- Tak mi zaproponował i...
- Czyli on też nie jest taki głupi i stetryczały, jakby się wydawało.
- I tylko dlatego zostałeś? Mogłeś...
- Co mogłem? Zamelinować się tam, zamiast czekać tutaj na telefon?
- Znów obrócił figatelli na grillu.
- Zaraz będą gotowe.
- Zsunął je na półmisek, wziął chleb i skierował się do stołu. Poszedłem za nim.
- Feliks do ciebie dzwonił?
- Nie, sam do niego zadzwoniłem. Wczoraj. Przed naszą rozmową. Chciałem się czegoś dowiedzieć.
- Mianowicie czego?
- Czy sprawa jest naprawdę poważna. Zapytałem go, czyś przyszedł wziąć... no, tego... spluwę Manu. A on na to, że owszem. Wszystko mi opowiedział.
- I wszystko to już wiedziałeś wczoraj wieczór?
- Mhm.
- I nic mi nie powiedziałaś?
- Bo chciałem to usłyszeć z twoich ust! Ty powinie-
neś mi to powiedzieć, ty sam!
- Cholera!
- Ukrywasz coś przed nami, Fabio. Feliks też tak my-
śli. Ale ma to gdzieś. Powiedział mi. Bo jemu niespecjal-
nie zależy na życiu, nawet jeśli tego po nim nie widać.
Widzisz, Fabio... Nie, ty niczego nie widzisz.. Nie zwrac-
asz uwagi...
- Fonfon zabrał się do jedzenia. Wpatrywał się w ta-
lerz. Ja nie byłem w stanie. Przełknął trzy kęsy i po dłuż-
szym milczeniu podniósł głowę. Miał łzy w oczach.
- Jedz, kurwa, bo wystygnie!
- Słuchaj, Fonfon...
- I jeszcze coś ci powiem. Zostałem tutaj, żeby być
blisko ciebie. Nie wiem dlaczego, Fabio. Nie wiem dla-
czego!

Honorine mnie o to prosiła. Inaczej by nie wyjechała. Tylko pod tym warunkiem dała się namówić. Rozumiesz, kurwa? Zerwał się gwałtownie z miejsca. Położył ręce na płask na stole i nachylił się ku mnie.

- Nie wiem, czybym został, gdyby mnie o to nie poprosiła.

Odwrócił się tyłem i poszedł do kuchni. Wstałem od stołu i ruszyłem za nim. Objąłem go za ramiona.

- Fonfon - powiedziałem cicho.

Odwrócił się powoli. Objąłem go. Płakał jak dziecko.

Aleś ty narozrabiała, Babette. Aleś narozrabiała.

Lecz przecież to nie ona była winna. Podziałała jak detonator. I dzięki temu odkryłem, jaki jestem naprawdę. Nie-uważny wobec innych, nawet wobec ludzi, których kocham. Nieczuły na ich udrękę, ich lęk. Niewrażliwy na to, że chcą jeszcze troszkę pożyć, i to szczęśliwie. W moim świecie nie było dla nich miejsca. Żyłem obok, nie dzieliłem się z nimi. Przyjmowałem od nich wszystko biernie, nie zważając, często po prostu z lenistwa, na to, co mówili czy robili, jeśli mi nie odpowiadało.

Właśnie dlatego Lola ode mnie odeszła. Z powodu mego obojętnego, biernego stosunku do innych ludzi. Z powodu mego braku zainteresowania. Nawet w najgorszych chwilach nie umiałem okazać, jak bardzo jestem do nich przywiązany. Nie umiałem również im tego powiedzieć. Wierzyłem, że pewne sprawy dzieją się same. Przyjaźń. Miłość. Helena Pessayre miała rację. Nie dałem Loli wszystkiego. Nigdy nikomu nie dałem z siebie wszystkiego.

Straciłem Lolę. Teraz tracę Fonfona i Honorine. Najgorsze, co mi się mogło przytrafić. Jak sobie dam radę bez nich? To ostatnie ostoje mojego życia. Jedyne latarnie, które mogą mi wskazać drogę do portu. Moją drogę.

- Kocham was oboje, Fonfon. Naprawdę was kocham.

Podniósł na mnie oczy, odsunął się.

- No już dobrze, dobrze.

- Nikogo nie mam prócz was!

- Już dobrze, mówię.

Znów się zezłościł.

- Teraz sobie przypomniałeś, że jesteśmy jak rodzina! Kiedy pod naszym domem krążą mordercy... Kiedy gliniarze włączają u ciebie podsłuch, nie informując o tym twojej pani komisarz... A ty co? Niepokoisz się, oczywiście, skoro jedziesz do Feliksa po spluwę. Ale my? O nas się nie martwisz, ani trochę!... My mamy czekać, aż wielmożny pan sam wszystko załatwi. I znów zapanuje porządek. A jeśli śmierć nas ominie, wrócimy do naszych zwyczajów. Wędkowanie, aperitif, gra w bule albo w remika... Czy nie tak, Fabio? Tak to widzisz? No powiedz, kurwa, kim my dla ciebie jesteśmy?

- Nie, nie tak to widzę - powiedziałem cicho.

- No a jak w takim razie?

Zadzwoił telefon.

- Montale?

Głos Heleny Pessayre był bezdźwięczny, martwy.

- Słucham.

- Dziś rano około siódmej Bruno dostał ataku szału...

Zamknąłem oczy. Obrazy kłębiły się pod czaszką. Nawet nie obrazy, tylko strugi krwi.

- Zabił żonę i dwójkę dzieci... Siekierą...

Nie była w stanie mówić.

- A co z nim, Heleno?

- Powiesił się.

Fonfon podszedł do mnie cichutko i postawił przede mną kieliszek różowego wina. Wypiłem do dna i dałem mu znak, żeby jeszcze nalał. Postawił butelkę przy mnie.

- Co mówią gliniarze?

- Dramat rodzinny.

Wypiłem kolejny kieliszek.

- No tak, oczywiście.

- Podobno ostatnio nie najlepiej się układało między Brunem i jego żoną. Od jakiegoś czasu... We wsi dużo gadają o młodej kobiecie, która z nimi mieszkała.

- Zdziwiłbym się. Nikt nie wiedział, że Babette jest w Castellas.

- Są świadkowie. A przynajmniej jeden świadek. Leśniczy. Stary kumpel Bruna.

- No tak.

- Pańska przyjaciółka jest poszukiwana przez policję. Chcą ją przesłuchać.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że gliniarze depczą jej po piętach, a za gliniarzami mafiosi. I przyczajony morderca.

Jeżeli Bruno się wygadał, a musiał się wygadać, mafiosi na pewno pojechali do Nimes, do znajomych Babette, u których miała przenocować. Miałem nadzieję, że zdążyła wyjechać. Ze względu na nią i na tych ludzi, którzy ją gościli. I że jest teraz w pociągu.

- Gdzie jest Babette, Montale?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Może w pociągu. Powinna dziś przyjechać do Marsylii. Ma do mnie zadzwonić, jak przyjedzie.

- Miał pan jakiś plan, co zrobić, jak już tu będzie?

- Tak.

- Telefon do mnie mieścił się w tym planie?

- Nie od razu. Później.

Słyszałem jej oddech.

- Wysyłam dyskretną ekipę na dworzec. Na wypadek gdyby ci dranie tam czekali i próbowali coś zrobić.

- Lepiej, żeby nikt jej nie śledził.

- Boi się pan, że się dowiem, dokąd pójdzie.

Teraz ja głęboko wciągnąłem powietrze.

- Tak. Nie chcę narażać kolejnej osoby. A pani nie jest niczego pewna. Ani nikogo. Nawet swego najbliższego współpracownika, Berauda, prawda?

- Wiem, dokąd pójdzie, Montale. Chyba się domyślam, gdzie się macie spotkać w nocy.

Nalałem sobie jeszcze jednego. Oszło mi na mnie.

- Depcze mi pani po piętach?

- Nie. Wyprzedziłam pana. Powiedział mi pan, że osoba, z którą miał się pan spotkać, mieszka w Vallon-des-Auffes. Wysłałam tam Berauda. Spacerował w porcie, kiedy pan się pojawił.

- Nie ma pani do mnie zaufania, co?

- Nie mam. Ale to chyba lepiej. Dziś każdy rozgrywa swoją partię. Tego pan chciał, nieprawdaż?

Znów usłyszałem jej ciężki oddech. Odezwała się ściszym, gardłowym głosem:

- Mam nadzieję, że się spotkamy, kiedy to wszystko się skończy.

- Ja też mam taką nadzieję, Heleno.

- Nigdy nie byłam tak szczerą wobec mężczyzny jak z panem tej nocy.

Odłożyła słuchawkę.

Feliks siedział przy stole. Nie skończył swoich figatelli, ja ich nawet nie tknąłem. Patrzył na mnie ze znużeniem. Podszedłem do niego.

- Jedź do niej, Fonfon. Do Honorine. Powiedz jej, że to ja decyduję, nie ona. I że chcę, żebyście byli razem. Nie masz tu nic do roboty!

- A ty?

- Zaczekam, aż zadzwoni Feliks, a potem zamknę bar. Zostaw mi telefon, pod którym mogę cię zastać.

Wstał, spojrzał mi prosto w oczy.

- Co zamierzasz zrobić?

- Zabić, Fonfon. Zabić.

Rozdział dwudziesty, w którym każda prawda jest gorzka

Teraz, kiedy mistral ucichł, w powietrzu czuć było spaleniżnę. Gryząca mieszanina drewna, żywicy i chemikaliów. Strażacy wreszcie opanowali pożar. Mówiło się o 3450 hektarach strawionych ogniem. Spłonęły głównie lasy. Ktoś, już nie wiem kto, powiedział w radiu, że milion drzew poszło z dymem. Pożar porównywalny z tym z 1989 roku.

Po krótkiej sjeście wybrałem się do calanques. Musiałem oczyścić sobie głowę, uwolnić się od paskudnych myśli, napełnić obrazami pięknej przyrody. A także przewietrzyć moje biedne płuca.

Wyruszyłem z portu Calelongue, dwa kroki od Goudes. Łatwa, zaledwie dwugodzinna trasa ścieżką celników. Po drodze wspaniałe punkty widokowe na archipelag Riou i południową ścianę calanques. Doszedłszy do Plan des Cailles, skręciłem do lasu nad calanque, zwaną des Queyrans. Spocony i zdyszany dotarłem do końca ścieżki, nad calanque Podestat. Tam zrobiłem pauzę.

Miałem przed sobą morze i wreszcie poczułem się dobrze. Cisza. Nic nie trzeba rozumieć, nic nie trzeba wiedzieć. Człowiek syci oczy urodą świata.

Wyruszyłem w drogę po telefonie Feliksa. Tuż przed drugą. Babette właśnie przyjechała. Oddał jej słuchawkę. Nie wsiadła do pociągu w Nîmes. Powiedziała, że na dwor-

cu ogarnęły ją wątpliwości. Weszła do biura wynajmu samochodów i pojechała do Marsylii małą 205. Dotarwszy na miejsce, zaparkowała samochód w porcie i pojechała autobusem do Corniche, a stamtąd zeszła piechotą do Vallon-des-Auffes.

Zamknąłem bar, zarygnowałem okiennice od strony morza i spuściłem metalową żaluzję. Tylko małe okienko nad wejściem słabo oświetlało salę.

- Stęskniłam się za miastem - powiedziała. - Chciałam się nasycić marsylskim światłem. Nawet się zatrzymałam w La Samaritaine, żeby coś przekąsić. Myślałam o tobie. Nieraz mówiłeś, że kto jest nieczuły na światło, ten nie zrozumie tego miasta.

- Słuchaj, Babette...

- Kocham Marsylię. Patrzyłam na ludzi wokół mnie. Na tarasie. Na ulicy. Zazdrościłam im, że żyją. Dobrze lub źle, raz na górze, raz na dole, jak każdy. Ale żyją. A ja się czułam, jakbym była z innej planety.

- Babette...

- Poczekaj... Więc zdjęłam okulary słoneczne i zamknęłam oczy. Wystawiłam twarz do słońca, żeby poczuć, jak grzeje. Jakbym była na plaży. Znow poczułam się sobą. Powiedziałam sobie: „Jesteś w domu”. Ale wiesz, Fabio...

- Co?

- To nieprawda. Nie czuję się jak w domu. Kiedy idę po ulicy, myślę tylko o tym, czy aby mnie ktoś nie śledzi.

Umilkła. Trzymając aparat w ręce, usiadłem na podłodze, oparłem się plecami o kontuar. Byłem zmęczony. Spać mi się chciało. Wszystko, byleby nie słyszał tego, co mi zaraz powie, czego się domyślałem, w miarę jak mówiła. Z każdym jej słowem coraz mocniej.

- Długo się nad tym zastanawiałam - powiedziała głosem dziwnie spokojnym, przez co tym trudniejszym do zniesienia. - Już nigdy nie będę się czuła w Marsylii jak w domu, jeśli zrezygnuję z publikacji tego raportu. Pracy,

jaką wykonałam przez te wszystkie lata. Muszę dać z siebie wszystko. Jak tutaj każdy, na każdym szczeblu. Z właściwą tylko nam przesadą. Przesadą, która nas zgubi...

- Babette, nie mam ochoty dyskutować z tobą przez telefon.

- Chcę, żebyś to wiedział, Fabio. Wczoraj wieczorem byłam gotowa przyznać ci rację. Zważyłam wszystkie za i przeciw. Ale dziś, kiedy tu przyjechałam, kiedy poczułam słońce na skórze i to światło w oczach... To ja mam rację, Fabio.

- Masz ze sobą dokumenty? - spytałem. - Masz oryginały?

- Nie. Ukryłam je w bezpiecznym miejscu.

- Babette, do kurwy nędzy!

- Nie denerwuj się. Jest, jak jest. Jak człowiek może żyć szczęśliwie, jeśli wie, że ilekroć gdzieś idzie czy coś sobie kupi, mafia go roluje? Nie inaczej.

Miałem przed oczami całe fragmenty jej tekstu. Jakbym tamtej nocy u Cyryla włożył sobie do głowy twardy dysk komputera.

„W egzotycznych rajach podatkowych syndykaty zbrodni kontaktują się z największymi bankami handlowymi świata, których lokalne agendy, wyspecjalizowane w private banking, zapewniają dyskretną i kompetentną obsługę wysoko oprocentowanych kont. Z takich możliwości korzystają zarówno przedsiębiorstwa legalne, jak i organizacje przestępcze. Rozwój techniki bankowej i telekomunikacji umożliwia szybki obrót kapitałami i zatajenie zysków płynących z nielegalnych transakcji”.

- Fabio, słuchasz mnie?

Zatrzepotałem powiekami.

„Elektroniczny transfer ułatwia cyrkulację pieniędzy między macierzystą spółką a jej filią, zarejestrowaną jako spółka-ekran w podatkowym raju. W ten sposób przepływają miliardy dolarów pochodzących z przedsiębiorstw zarządzających funduszami powierniczymi - w tym kas

ubezpieczeniowych i oszczędnościowych - przechodząc kolejno przez konta zarejestrowane w Luksemburgu, na Wyspach Normandzkich, Kajmanach itd.

Konsekwencją tej ucieczki przed fiskusem jest akumulacja w rajach podatkowych olbrzymich rezerw kapitałowych należących do wielkich spółek, co przyczynia się do wzrostu deficytu budżetowego większości państw zachodnich".

- Nie o to chodzi - powiedziałem.

- Ach tak? A o co?

Nie wspomniała słowem o Brunie. Pewnie jeszcze nie wie o tej makabrycznej masakrze. Postanowiłem nic jej nie mówić. Zachować to bestialstwo jako ostateczny argument. Kiedy wreszcie spotkamy się twarzą w twarz. Dziś w nocy.

- Nie o to chodzi. Ja też nigdy nie będę szczęśliwy, jeśli... jeśli jutro poderzną gardło Fonfonowi i Honorine! Tak jak to zrobili Soni i Mavrosowi.

- Myślisz, że nie widziałam krwi? - krzyczała Babette.

- Mam jeszcze przed oczyma okaleczone ciało Gianniego. Więc mi nie opowiadaj, że...

- Ale ty, kurwa, żyjesz! A oni nie! I ja żyję! Honorine, Fonfon i Feliks też jak na razie żyją! Tylko mi nie opowiadaj, co widziałas! Bo jak tak dalej pójdzie, to jeszcze się napatrzysz. I to na gorsze rzeczy! Będą cię kroić po kawałku...

- Przestań!

- ...póki im nie powiesz, gdzie są te cholerne dokumenty. Jestem pewien, że się załamiesz przy pierwszym obcięciu palcu!

- Ty świnió!

Zastanawiałem się, co z Feliksem. Czy oddaje się lekturze swojego ulubionego komiksu i popija dobrze schłodzone piwo? Obojętny na to, co słyszy? Czy też wyszedł do portu, żeby Babette mogła swobodnie ze mną rozmawiać?

- Gdzie jest Feliks?

- W porcie. Szykuje łódkę. Powiedział, że wyjdziemy w morze o ósmej.

Dobrze.

Znów cisza.

Fajnie mi się siedziało w półmroku. Miałem ochotę wyciągnąć się na posadzce i zasnąć. Wyspać się porządnie. Z nadzieją, że we śnie całe to świństwo rozpuści się w marzeniu o brzasku nad morzem.

- Fabio - odezwała się Babette.

Przypomniało mi się, że na przełęczu Cortiou pomyślałem sobie, że każda prawda jest gorzka. Gdzieś to kiedyś czytałem.

- Słuchaj, Babette, nie chcę, żeby ci się stało coś złego. Nie będę mógł żyć, jeśli... jeśli cię zabiją. Moi przyjaciele nie żyją. Wszyscy, których kochałem. Lola ode mnie odeszła...

- Ach tak?

Nie odpowiedziałem Babette na ten list, który Lola otworzyła i przeczytała. O ten list rozbiła się nasza miłość. Miałem żal do Loli, że się wdziera w moje sekrety. Potem miałem żal do Babette. Ale żadna z nich nie była odpowiedzialna za to, co nastąpiło później. List Babette przyszedł dokładnie w momencie, gdy Lola zwątpiła we mnie i w samą siebie. W nasze wspólne życie.

Którejś nocy, kiedy kolejny raz próbowałem ją przekonać, żeby jeszcze zaczekała, została ze mną, powiedziała:

- Wiesz, Fabio, już dawno podjęłam decyzję. Dałam sobie dużo czasu do namysłu. List od twojej przyjaciółki nie ma tu nic do rzeczy. Tyle tylko, że przyspieszył moją decyzję... Wątpliwości miałam od dawna. To żaden kaprys z mojej strony. I dlatego to jest takie okropne. Czuję i wiem, że muszę odejść. To dla mnie zasadnicza sprawa.

Nie umiałem odpowiedzieć nic innego niż to, że jest uparta jak osioł. I tak dumna, że nie chce się przyznać do błędu. Wycofać się. Wrócić do mnie. Do nas.

- Uparta? Jesteś tak samo uparty jak ja! Nie, Fabio...

I wtedy padły słowa, które definitywnie zatrzasnęły za nią drzwi:

- Nie kocham cię już tak, jak trzeba kochać, żeby z kimś żyć.

Kiedy indziej Lola spytała, czy odpowiedziałem Babette na jej list.

- Nie.

- Dlaczego?

Nie znalazłem słów, żeby napisać do Babette czy choćby do niej zadzwonić. Cóż jej mogłem powiedzieć? Że nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia nasza miłość z Lolą była krucha? I że pewnie każda prawdziwa miłość taka jest. Pryska jak kryształ. Bo miłość napina człowieka do ostatnich granic. A to, co ona, Babette, bierze za miłość, to tylko złudzenie.

Nie miałem odwagi jej tego powiedzieć. Ani tego, że z tą pustką w środku po odejściu Loli nasze spotkanie nie wydaje mi się konieczne.

- Dobrze wiesz, że jej nie kocham.

- Może się mylisz.

- Daj spokój, Lola.

- Nie przyjmujesz do wiadomości tego, co się dzieje.

Ja odchodzę, ona na ciebie czeka.

Pierwszy raz w życiu miałem ochotę ją uderzyć.

- Nie wiedziałam - powiedziała Babette.

- Dajmy sobie z tym spokój. Ważne jest to, co teraz... Gangsterzy nas ścigają. O tym musimy pogadać. Mam pewien pomysł, jak z nimi negocjować.

- Zobaczymy, Fabio. Ale wiesz... uważam, że jedyne wyjście na dziś to operacja „czyste ręce” we Francji. Tylko w ten sposób można skutecznie odpowiedzieć na oczekiwania ludzi. Nikt już w nic nie wierzy. Nikt nie wierzy

w polityków i ich projekty. Nikt nie wierzy w wartości republikańskie. Tylko tak można odpowiedzieć na Front Narodowy. Wielkie pranie brudnej bielizny. I żeby wszyscy widzieli!

- Łudzisz się! Co to zmieniło we Włoszech?
- Wiele zmieniło.
- Akurat.

Oczywiście miała rację. Wielu sędziów we Francji było tego zdania. I odważnie rozpracowywali afery, jedną po drugiej. Często zupełnie osamotnieni. Niekiedy ryzykując życie. Jak ojciec Heleny Pessayre. Wiedziałem o tym dobrze.

Ale wiedziałem również, że głośna akcja w mediach nie przywróci morale w tym kraju. Wątpiłem w prawdziwość dziennikarzy. Wiadomości wieczorne w telewizji otumaniały widzów obrazami okrucieństwa. Jak w kalejdoskopie: ludobójstwo w Bośni, potem w Rwandzie, teraz w Algierii. I miliony obywateli przyjmują to spokojnie. Nikt nie manifestuje na ulicach, ani we Francji, ani gdzie indziej. Byle trzęsienie ziemi czy katastrofa kolejowa, i już zapomina się o tamtym. Prawdę znają tylko ci, dla których to chleb codzienny. Prawda jest chlebem biednych, a nie ludzi szczęśliwych lub sądzących, że są szczęśliwi.

- Sama pisałaś, że bez jednoczesnego rozwoju gospodarczego i społecznego walka z mafią nie będzie skuteczna.
- Ale trzeba powiedzieć prawdę. Najwyższy czas, Fabio.
- Pieprzysz!
- Mam odłożyć słuchawkę?
- Ile trupów jest warta twoja prawda?
- Nie wolno tak myśleć. Tak rozumują przegrani.
- Kiedy jesteśmy przegrani! Niczego nie zmienimy. Niczego!

Przypomniało mi się to, co mówiła Helena Pessayre, kiedy spotkaliśmy się w forcie Saint-Jean. I ta książka o Banku Światowym. Zamknięty świat, który się obecnie organizuje i z którego będziemy wykluczeni. Już jesteśmy

wykluczeni. Z jednej strony cywilizowany Zachód, z drugiej „niebezpieczne klasy” Południa i Trzeciego Świata. I ta granica. Limes.

Inny świat. Wiedziałem, że nie ma w nim dla mnie miejsca.

- Nie chcę słuchać tych bredni.

- Coś ci powiem, Babette. Rób, jak uważasz. Ogłoś swój tekst. Zdechnij, wszyscy zdechnijmy, ty, ja, Honorine, Fonfon, Feliks...

- Chcesz, żebym się zmyła, tak?

- A niby dokąd? Gdzie się ukryjesz, bidulo!

Nie mogłem się już powstrzymać.

- Dziś rano mafia zlikwidowała twojego przyjaciela Brunna i jego rodzinę. Siekierą!

Zapadło milczenie. Ciężkie jak ziemia, która niebawem spadnie na ich cztery trumny.

- Strasznie mi przykro, Babette. Myśleli, że jesteś tam w górach.

Pląkała. Słyszałem to. Nie szloch, tylko łzy. Paniczny lęk.

- Niechby się to wreszcie skończyło - szepnęła.

- Nigdy się nie skończy. Bo wszystko jest już skończone. Nie chcesz tego zrozumieć, Babette. Ale możemy sobie z tym poradzić. Przetrwąć jakiś czas. Jeszcze parę lat. Możemy kochać. Wierzyć w życie. Wierzyć w piękno... A nawet zaufać wymiarowi sprawiedliwości i policji w tym kraju.

- Głupi jesteś - powiedziała i rozbeczała się na całego.

Rozdział dwudziesty pierwszy,
w którym okazuje się oczywiste,
że zgnilizna jest ślepa

Wpłynąłem do portu na wyspie Frioul. Dochodziła dziewiąta. Morze było bardziej wzburzone, niż mi się wydawało, gdy wyruszałem z Goudes. Zmniejszyłem obroty silnika. Dla Babette ta trzydziestominutowa przeprawa musiała być trudna do zniesienia. Ale miałem ze sobą coś na pocieszenie. Kiełbasę z Arles, pasztet z dzika, sześć kozich serków z Banon i dwie butelki czerwonego wina. Bandol z winnicy Cagueloup. No i jeszcze butelkę mojego lagavulina na później. Nim wyruszymy z powrotem na morze. Feliks na pewno nim nie wzgardzi.

Byłem napięty. Pierwszy raz wybrałem się na morze, mając cel, z jakiegoś konkretnego powodu. W głowie mi się kręciło. Jak to się mogło stać, myślałem sobie, że dożyłem swoich lat, nie zastanawiając się, kim naprawdę jestem i czego chcę w życiu. Nie było odpowiedzi na to pytanie. Nasuwały się za to inne, jeszcze bardziej dociekliwe, które próbowałem od siebie odsunąć. Ostatnie było proste: co ja tu robię w nocy, na łódce, ze spluwą w kieszeni?

Bo wziąłem ze sobą broń Manu. Nie bez wahania. Po wyjeździe Honorine i Fonfona czułem się bezradny. Osamotniony. Bez żadnych punktów odniesienia. Przyszło mi nawet do głowy, żeby zadzwonić do Loli. Chciałem usłyszeć

jej głos. Ale co jej powiem? Miejsce, w którym się teraz znajdowała, w niczym nie przypominało tego tutaj. Nikogo tam nie zabijano. I pewnie ludzie się tam kochali. W każdym razie ona i jej przyjaciel się kochali.

Strach mnie zdjął.

Kiedy wyprowadzałem łódź na morze, zadałem sobie pytanie: a co będzie, jeśli się mylisz, Fabio? Jeśli wyczuli sprawę i będą cię ścigać na morzu? Poszedłem kupić kilka paczek papierosów i wracając, stwierdziłem, że fiat punto nie stoi nigdzie w pobliżu. Zawróciłem i dotarłem piechotą aż na skraj miasteczka. Białej 304 też nie było. Ani mafiosów, ani gliniarzy. W tym momencie strach mnie obleciał. Skurcz w żołądku, jak dzwonek alarmowy. To nie jest normalne, powinni tu przecież być. Mafiosi dlatego, że nie udało im się dopaść Babette, gliniarze, bo Helena Pessayre obiecała mi obstawę. Ale było za późno, żeby zmienić zdanie. O tej porze Feliks już wyruszył na morze.

Dostrzegłem łódź Feliksa daleko po prawej, przy grobli łączącej wyspy Pomegues i Ratonneau. Od strony zabudowań. Tam gdzie było kilka otwartych barów. W porcie panował spokój. Nawet w lecie Frioul nie przyciąga tłumów wieczorami. Marsylczycy przyjeżdżają tu tylko za dnia. Wszystkie plany zabudowy wyspy kolejno upadały z braku zainteresowania. To nie było miejsce do mieszkania, przyjeżdżało się tu, żeby nurkować, łowić ryby i popływać w zimnej wodzie na otwartym morzu.

- Hej, Feliks! - zawołałem, podpływając do jego łodzi. Nie ruszył się. Siedział lekko pochylony do przodu. Wydawało się, że śpi.

Kadłub mojej łódki lekko stuknął o jego łódź.

- Feliks.

Wyciągnąłem rękę i lekko go dotknąłem. Głowa Feliksa poleciała w bok, potem w tył. Ujrzałem wlepione we mnie martwe oczy. Z rozciętej szyi płynęła krew.

A więc tu są.

Co z Babette?

Dorwali nas. Feliks nie żyje.

Gdzie jest Babette?

Jakby mnie kto dźgnął nożem w żołądek. Poczułem w gardle kwaśny smak żółci. Zgiąłem się wpół, żeby rzygać. Ale nic nie miałem w brzuchu prócz lagavulina, który gołnałem sobie w połowie drogi.

Feliks.

Jego martwe oczy.

I ta krew, która nie przestanie ciec w mojej pamięci aż do końca mego zasranego życia.

Nie mogę tu zostać.

Oparłszy się o kadłub jego łodzi, energicznie odepchnąłem swoją łódkę, włączyłem motor i wrzuciłem tylny bieg. Czujnie obserwowałem port, groble i okolice. Nikogo. Usłyszałem śmiech dobiegający z jakiejś żaglówki. Śmiech mężczyzny i kobiety. Jej śmiech perlił się jak szampan. Pewnie się kochają. Leżą na drewnianym pokładzie. Rozkosz pod nocnym niebem.

Wycofałem się na wschodni kraniec zatoki. Po tej stronie nie było światła. Wpatrywałem się badawczo w mrok. Białe skały. I nagle ich zobaczyłem. Całą trójkę. Bo było ich trzech. Bruscati, kierowca i ten skurwysyn nożownik. Szybkim krokiem pieli się w górę ścieżką biegnącą po skałkach i prowadzącą do kolejnych zatoczek.

Pewnie Babette tędy uciekła.

- Montale!

Zesztywniałem. Ale ten głos nie był mi nieznamy. Z cienia skały wyłonił się Beraud. Alain Beraud, partner Heleny Pessayre.

- Widziałem, jak pan przyplłynął - powiedział, zręcznie wskakując do łodzi. - Oni nie, moim zdaniem.

- Co pan tutaj robi? Ona też tu jest?

- Nie.

Trzej mężczyźni zniknęli za grania.

- Skąd wiedzieli, sukinsyny?

- Nie wiem.

- Jak to, kurwa, nie wiesz?! - krzyknąłem zduszonym głosem.

Miałem ochotę go udusić.

- Co ty tu robisz w takim razie?

- Byłem wcześniej w Vallon-des-Auffes.

- Jak to?

- Nie wygłupiaj się, Montale! Przecież ci powiedziała, nie? Wiedzieliśmy, że twoja kumpelka ma się zjawić u tamtego faceta. Byłem tam wczoraj, kiedy przyjechałeś się z nim zobaczyć.

- Tak, wiem.

- Helena się domyśliła. Ten numer z łódką... Sprytny, trzeba przyznać.

- Nie pierdol!

- Chciała, żebym tu pana osłaniał.

- Ale przecież załatwili Feliksa! Gdzie wtedy, kurwa, byłeś?

- W drodze. Dopiero co dojechałem.

Zamyślił się na chwilę.

- Wyjechałem ostatni. To było głupie z mojej strony. Należało przyjechać prosto tutaj. Ale... nie byliśmy pewni, gdzieście się umówili. To mogło być Chateau dTf. Albo Plancier... Czy ja wiem...

- No tak.

Nie rozumiałem, co jest grane, ale to już było bez znaczenia. Trzeba się śpieszyć, znaleźć Babette. Ma tę przewagę nad mafiosami, że zna wyspę na pamięć. Każdą najmniejszą zatoczkę. Każdą ścieżynę. Całymi latami przyjeżdżała tutaj nurkować.

- Idziemy - powiedziałem.

Zastanowiłem się sekundę.

- Będę się trzymał brzegu. Spróbuję ją znaleźć w którejś zatoczce. Inaczej się nie da.

- A ja pójdę piechotą za nimi. Pasuje?

- Okay.

Włączyłem motor.

- Beraud!

- Tak?

- Dlaczego jesteś sam?

- Mam dzisiaj wolne - odpowiedział całkiem serio.

- Jak to?!

- W tym sęk, Montale, że nas odsunięto. Odebrano jej sprawę po tym, jak złożyła raport.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Wydawało mi się, że w oczach Berauda odnajduję wściekłość Heleny. Wściekłość i obrzydzenie.

- Dostała po łapach. Mocno.

- Kto ją zastąpił?

- Brygada finansowa. Nie wiem jeszcze, który komisarz. Teraz mnie ogarnęła wściekłość.

- Tylko nie mów, że powiedziała im, coś wysłedził!

- Nie powiedziała.

Złapałem go gwałtownie za koszulę, pod szyją.

- Ale nie wiesz, dlaczego tu trafili, co?! Nie wiesz?

- Owszem... Chyba wiem.

Głos miał spokojny.

- Więc dlaczego?

- Kierowca. Nasz kierowca. Nie widzę, kto inny mógłby donieść.

- Psiakrew! - Puściłem go. - Gdzie jest Helena?

- W Septemes-les-Vallons. Prowadzi śledztwo w sprawie pożaru, czy aby nie chodzi o umyślne podpalenie... Wszędzie o tym gadają... Prosiła, żebym nie spuszczał pana z oczu.

Wyskoczył z łodzi.

- Montale?

- Tak?

- Tego faceta, co ich przywiózł motorówką, związali i zakneblowali. Wezwałem gliniarzy. Pewnie zaraz tu będą.

I ruszył ścieżką w górę. Wyciągnął spluwę. Dużą. Ja też wyciągnąłem spluwę Manu. Naładowałem ją i zabezpieczyłem.

Powoli okrążałem wyspę, wypatrując Babette i kilerów. Wymarły krajobraz w zimnym świetle księżyca. Nigdy jeszcze te wyspy nie wydawały się aż tak pępne.

Przypomniało mi się, co powiedziała rano Helena Pessayre przez telefon. „Każdy rozgrywa swoją partię”. Ona swoją przegrała. Ja zaraz przegram moją. „Tego pan chciał, prawda?” Czy znowu wszystko spieprzyłem? Czy doszłoby do tego, gdybym...

Wąskim kominem Babette spuszczała się ze skały w dół.

Zbliżyłem się do brzegu, trzymając się środka zatoczki.

Zawołać ją? Jeszcze nie. Niech najpierw zejdzie. Niech stanie na brzegu, w głębi.

Podpłynąłem jeszcze bliżej, zgasilem motor. Łódź kołysała się na wodzie. Czułem, że w tym miejscu jest jeszcze głęboko. Chwyciłem za wiosła i podpłynąłem bliżej.

Wyszła na wąski pas piasku.

- Babette! - zawołałem cicho.

Ale mnie nie słyszała. Patrzyła w górę, na skały. Wydawało mi się, że słyszę jej ciężki oddech. Strach. Panika. Ale to tylko moje serce tłukło się w piersi. Jak bomba z opóźnionym zapłonem. „Kurwa, uspokój się!” - powiedziałem sobie. Bo ci serce wyskoczy!

Uspokoić się!

- Babette!

Odwróciła się, zobaczyła mnie wreszcie. Zrozumiała. W tym samym momencie pojawił się facet. Zaledwie trzy metry ponad nią. I trzymał w ręku bynajmniej nie rewolwer.

- Kryj się! - wrzasnąłem.

Seria z karabinu zagłuszyła mój krzyk. Potem następne. Babette wstała, jakby miała dać nurka, potem upadła. Do wody. Strzały raptownie umilkły, i zobaczyłem, że facet wyskakuje w powietrze. Jego karabin potoczył się po kamieniach. Nagle cisza. Sekundę później ciało runęło w dół. Odgłos czaszki uderzającej w skałę rozległ się echem w zatoczce.

Beraud miał cela.

Wiosłowałem co sił. Poczułem, że dziób łodzi wrzyna się w kamienisty brzeg. Wyskoczyłem z łódki. Ciało Babette wciąż leżało w wodzie. Nieruchome. Próbowałem je unieść. Ołów.

- Babette!

Delikatnie wyciągnąłem ciało Babette na piasek. Osiem dziur w plecach. Przewróciłem ją powoli. Położyłem się obok niej.

Twarz, którą kochałem. Ta sama. Tak samo piękna. Taką sobie wyśnił w nocy Botticelli. Taką namalował za dnia. Narodziny Wenus. Pogłaskałem Babette po czole, po policzkach. Palcem dotknąłem warg. Tych warg, które mnie niegdyś całowały. Które okrywały moje ciało pocałunkami. Ssały mnie.

Jak wariat przyłgnałem ustami do jej ust.

Babette.

Smak soli. Najsilniej i najdalej jak mogłem, wepchnąłem jej język w usta. Chciałem, żeby zabrała ze sobą ten niemożliwy pocałunek. Łzy płynęły mi po twarzy. Też słone. Na jej otwarte oczy. Ucałowałem śmierć. Namiętnie. Oczy w oczy. Miłość. Patrząc sobie w oczy. Śmierć. Nie odwracać spojrzenia.

Babette.

Jej ciało drgnęło. Poczułem w ustach smak krwi. I wyrzygałem tę ostatnią rzecz, która mi została do wyrzucenia. Życie.

- Cześć, palancie.

Rozpoznałbym ten głos wśród tysięcy innych.

Nad nami rozległy się strzały.

Odwrociłem się powoli, nie wstając. Siedziałem tyłkiem na mokrym piasku. Z rękami w kieszeniach kurtki. Prawą ręką odwiodłem bezpiecznik spluwy. Nie ruszałem się.

Mierzył we mnie z wielkiego kolta. Przyglądał mi się. Nie widziałem jego oczu. Zgnilizna nie ma spojrzenia, powiedziałem sobie. Jest ślepa. Wyobraziłem sobie te oczy, wpatrzone w ciało kobiety. Kiedy ją chędoży. Czy Zło może chędożyć?

- Próbowaleś nas wydymać, co?

Poczułem na skórze jego pogardę. Jakby mi napluł w pysk.

- To już bez znaczenia - powiedziałem. - Jutro rano wszystko, absolutnie wszystko będzie w Internecie. Cała lista.

Przed wyjściem z domu zadzwoniłem do Cyryła. Poleciłem mu, żeby wszystko nadał w nocy. Nie czekając na to, co powie Babette.

Roześmiał się.

- Internet, powiadasz.

- Każdy będzie mógł przeczytać te kurewskie listy.

- Stul pysk, palancie. Gdzie są oryginały?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie zdążyła mi powiedzieć, ty dupku. Po to mieliśmy się spotkać.

Znów rozległy się strzały w skałach. Beraud żyje. Przy najmniej na razie.

- Aha.

Zbliżył się. Stał teraz cztery kroki ode mnie. Ze spluwą w wyciągniętej ręce.

- Złamałeś nóż na szyi mojego kumpla.

Roześmiał się szyderczo.

- Wolisz, żebym i ciebie pociął, palancie?

Teraz, powiedziałem sobie.
Palec na spust.
Strzelaj!
„Pozwoli mi pani go zabić?”
„Strzelaj, do cholery!” - wrzasnął Mavros. Sonia też zaczęła krzyczeć. I Feliks. I Babette. „Strzelaj!” - wołali. Fonfon ze złością w oczach i Honorine ze smutkiem. „Honor tych, co przetrwali...” Strzelaj!
„Montale, skurczybyku, zabij go! Zabij!”
„Zabiję go”.
„Strzelaj!”
Lekko opuścił ramię. Wyciągnął rękę. W kierunku mojej głowy.
„Strzelaj!”
- Enzo! - krzyknąłem.
I strzeliłem. Cały magazynek.
Zwalił się na ziemię. Bezimienny morderca. Głos. Głos śmierci. Wcielenie śmierci.
Zacząłem dygotać. Kurczowo ścisnąłem w dłoni spłuwę. Rusz się, Montale. Rusz się, nie możesz tu zostać. Wstałem. Trzęsło mną coraz bardziej.
- Montale!
Głos Berauda, gdzieś niedaleko. Znowu strzał. Potem cisza.
Beraud nie odezwał się więcej.
Chwiejnym krokiem dobrnąłem do łodzi. Spojrzałem na broń, którą trzymałem w ręku. Spluwa Manu. Gwałtownym ruchem rzuciłem ją daleko przed siebie, do morza. Wpadła do wody z pluskiem, który w mojej głowie skojarzył się ze świstem kuli. Tej, co mnie trafiła w plecy. Bo strzał usłyszałem dopiero później. A może odwrotnie.
Zrobiłem jeszcze kilka kroków przed siebie. Dotknąłem dłonią otwartej rany. Poczułem na palcach gorącą krew. Paliło mnie w środku. Ogień, jak pożar na wzgórzach, rozprzestrzeniał się. Płonęły hektary mojego życia.

Sonia, Mavros, Feliks, Babette. Zwęgleni ludzie. Zło się szerzy. Cała planeta stoi w ogniu. Za późno. Piekło.

Ale przecież dobrze jest, Fabio. Dobrze jest. To tylko kula. Czy wyszła? Nie, kurwa. Chyba nie. Runąłem do łodzi. Leżąc, zapaliłem motor. W drogę. Teraz do domu. Wracam do domu. To się już skończyło, Fabio.

Chwyciłem butelkę lagavulina, odkorkowałem, przystawiłem szyjkę do ust. Płyn wlał się we mnie. Ciepły. Poczuliśmy się dobrze. Życia nie da się uchwycić, po prostu się żyje. Co? Nic. Spać mi się chce. Zmęczenie. Tak, spać. Tylko nie zapomnij zaprosić Heleny na kolację. W niedzielę. Tak, w niedzielę. Kiedy jest niedziela? Fabio, kurwa, nie śpij. Łódka. Kieruj łódką. Do domu, do Goudes.

Łódź sunęła teraz na pełnym morzu. Wszystko w porządku. Whisky lała mi się po brodzie na szyję. Niczego już nie czułem ani w ciele, ani w głowie. Ból? Żadnego bólu. Skończyły się bóle. I lęki.

Teraz śmierć to ja.

Gdzie ja to czytałem? Niechże sobie przypomnę.

Śmierć to ja.

Lola, czy mogłabyś spuścić kurtynę na nasze życie? Proszę cię. Taki jestem zmęczony. Lola, bardzo cię proszę.

Pisząc o mafii, korzystałem z oficjalnych źródeł, mianowicie dokumentów ONZ - Światowy szczyt w sprawie rozwoju społecznego. Globalizacja zbrodni - wydanych przez departament informacji publicznej ONZ oraz z artykułów opublikowanych na łamach „Le Monde diplomatique”: Europejskie konfetti w wielkim planetarnym kasynie Jeana Chesneaux (styczeń 1996) i Jak za sprawą mafii gangrena zżera gospodarkę światową Michela Chossovskiego (grudzień 1996). Wiele z przytoczonych faktów podawały również dzienniki „Le Canard enchaîné”, „Le Monde” i „Liberation”.

Spis treści

Prolog

Z dala od oczu, blisko serca, zawsze Marsylia

11

Rozdział pierwszy,
w którym czasem lepiej słycać to, co leży człowiekowi
na sercu, niż to, co mówi

17

Rozdział drugi,
w którym przyzwyczajenie nie jest
dostatecznym powodem do życia

27

Rozdział trzeci,
w którym nie jest źle mieć w życiu jakieś złudzenia

36

Rozdział czwarty,
w którym łzy są jedynym lekarstwem na nienawiść

46

Rozdział piąty,
w którym dobrze jest powiedzieć i usłyszeć nawet to,
co na nic się nie zda

56

Rozdział szósty,
w którym tajemna miłość łączy nas z miastem
65

Rozdział siódmy, w którym bywają
grzechy tak straszne, że na nic skrucha
74

Rozdział ósmy, w którym co się da
zrozumieć, to i da się wybaczyć
83

Rozdział dziewiąty,
w którym dowiadujemy się, że ciężko jest przeżyć tych,
co umarli
91

Rozdział dziesiąty,
w którym beztroska pozwala opanować smutek
z powodu odlotu mewki
99

Rozdział jedenasty,
w którym życie rozgrywa się tutaj,
i to do ostatniego tchnienia
109

Rozdział dwunasty,
w którym pada pytanie, jak żyć szczęśliwie
w niemoralnym społeczeństwie
118

Rozdział trzynasty,
w którym łatwiej jest coś komuś wytłumaczyć,
niż to zrozumieć samemu
128

Rozdział czternasty,
w którym znajdujemy dokładny sens wyrażenia
„śmiertelna cisza”
136

Rozdział piętnasty,
w którym na myśl, że zaraz coś się wydarzy, otwiera się
przed człowiekiem nęcąca przepaść

145

Rozdział szesnasty,
w którym tak czy owak gra się toczy na szachownicy Zła

154

Rozdział siedemnasty,
w którym mowa o tym, że zemsta do niczego nie prowadzi,
pesymizm też nie

163

Rozdział osiemnasty, w którym
im mniej używamy życia, tym bardziej
użeramy się ze śmiercią

172

Rozdział dziewiętnasty,
w którym trzeba wiedzieć, jak się rzeczy mają

180

Rozdział dwudziesty, w któ-
rym każda prawda jest gorzka

189

Rozdział dwudziesty pierwszy,
w którym okazuje się oczywiste, że zgnilizna jest ślepa

197

Redakcja: Elżbieta Rawska
Korekta: Anna Sidorek, Anna Hegman
Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt okładki i stron tytułowych: Alek Radomski,
na podstawie koncepcji graficznej Marka Goebła
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Maciej Zientarski
Fotografia autora: © Sophie Bassouls/Sygma

Wydawnictwo W.A.B.
02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne
Piaseczno, Żółkiewskiego 7
Druk i oprawa: Opolgraf S.A.
Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

ISBN 97&S3-7414-254-0